

Wincenty Kosiakiewicz

"HALLALI!"

powieść

I.

«Wiatr tymczasem roznosił jego grób i z ziemią równał; ponieważ na cmentarz oddano kawałek ziemi bezużytecznej i niepłodnej, groby długo nie zarastały trawą i mały kopczyk, którym przyciśnięto trumnę z ciałem Karola, od lata do wiosny stał się już ruiną; pordzewiała i blaszana tarcza z napisem, która grób Karola odróżniała od setki bezimiennych, chłopskich, jednakowymi krzyżykami drewnianymi oznaczonych grobów; wilgoć starła już daty, imię i nazwisko — i tylko wyczytać jeszcze można było: Żył lat ».

Napisawszy te słowa, Eustachy zerwał się z krzesła ruchem raptownym, cisnął niedbale na stół pióro, jak ciska się coś, co już nigdy człowiekowi nic będzie potrzebne i zaczął wielkimi krokami chodzić po malutkim swoim pokoiku. Ale nie uczynił w ten sposób i dwudziestu kroków, kiedy wrócił do stołu, wziął pogar-

dzony przed chwilą pisarski instrument znowu w rękę, umoczył go w kałamarzu i pod napisanymi tylko co wierszami napisał w pewnym odstępnie słowo: Koniec. Koniec! Jaki słodki wyraz. Wczoraj, dziś jeszcze Eustachy nie wierzył, że zdoła powieść swoją doprowadzić do tego ostatniego tryumfálnego słowa. Tyle bo już w życiu narozpoczywał był różnych dramatów, powieści, studyów literackich — w walizce skórzanej, pod brudną bielizną leży tego chyba pud cały — i zawsze pióro wypadało mu z ręki po pierwszym rozdziale, po pierwszym akcie. A teraz — po raz pierwszy w życiu nareszcie coś skończył. Zaczął znowu nerwowo biegać po pokoju... Jakiż on malusi ten pokój! Tak blisko stoi ściana przy ścianie, tak nisko sufit zawieszony!

Był to prawdziwie studencki pokój, umeblowany tem tylko, bez czego w żaden sposób obejść się nie można; a więc łóżko żelazne z jedną poduszką, stolik papierami i książkami zavalony, przy niem jedno krzesło, drugie w kącie, a na nim umywalka i mydło; na ścianie nad stołem gabinetowa fotografia młodej pani w pozie stojącej, w kapeluszu rembrandtowskim, z parasolką w ręku, po za tem nic dla ozdoby.

Okno było otwarte i Eustachy zaspokoiwszy pierwszą potrzebę ruchu, wyrzał na świat.

Gwiazdy pogasły już i kawał miejskiego

nieba zamknięty liniami dachów, niby jakiś geometryczny wielobok, bladł i światłością ranną nasiąkał. Na dole, wśród murów kamienicy, trzymał się jeszcze cień nocny, ale i ten już zrzędł i Eustachy mógł dojrzeć z wysokości swojego czwartego piętra szare asfaltowe dno podwórza. Cisza była ranna, zupełna, najgłębsza; powietrze chłodne, wilgotne trochę, rzeźwiące. Ostudziło ono rozpaloną głowę młodego autora, który popatrzawszy trochę na dół i na górę, znowu zaczął chodzić po pokoiku, ale już równiejszymi i spokojniejszymi krokami «I skończyłem!» — cieszył się i z dumą rzucał spojrzenia na gruby, zapisany zeszyt. «No, teraz zobaczymy». W jego serce wstąpiła tak wielka odwaga, jakiej jeszcze nigdy nie miał. Czuł się stworzonym do rzeczy wielkich. Ta noc, która

zeszła mu na pisaniu — a jak mu się pisało łatwo pod koniec! Ręka za myślą nie mogła wydażyć, pióro leciało po papierze w jakimś ognistym galopie, żadnego namysłu, wahania, pauzy, odpoczynku — ta noc jest epoką w jego życiu. Wczoraj umarł w tym pokoiku chłopiec ubogi i nieznany, niedawno jeszcze zmuszony szukać na wsi nauczycielskiej kondycji, aby żyć, ostatnio najlichszy z redakcyjnych pionków, szczęśliwy, że mu kolega niegdyś szkolny dał jako zastępstwo na dwa miesiące nikczemne zajęcie: tłumaczenie z pism

niemieckich «Ostatnich wiadomości — dziś urodził się w tymże pokoiku świetny artysta, który przynosi do ogólnej sumy cywilizacji swój dorobek, artysta, zdolny zadziwiać rzesze ludzkie, zachwycać i wzruszać, który z głową do góry podniesioną zażąda jutro miejsca dla siebie na świecie. Tak, dziś dokonał się przełom w jego egzystencji; wczoraj jeszcze cisnął się jak robak jaki przez szczelinę w podłodze do tego świata literackiego, który był marzeniem całej jego młodości, jutro wejdzie do niego przez szeroko otwarte drzwi główne i przy odgłosie wielkiego dzwonu. Przepaść, jaka leżała pomiędzy wczorajszym szaraczkiem a dzisiejszym senatorem, wypełniona została przez dzieło Eustachego. Ze słodkiej zadumy wyrwało go energiczne pukanie do drzwi.
— Proszę! — zawołał zdumiony — że ktoś może przychodzić o tej porze niezwyklej, tembardziej, że nie miał on prawie wcale takich znajomych, którzyby go odwiedzali.
Drzwi się otworzyły i wszedł Drewnowski.
— Co? To ty, Julek? Ja się spodziewałem ciebie za miesiąc dopiero. Kiedyś przyjechał?
Eustachy serdecznie go uścisnął.
— Świetnie wyglądasz — rzekł — poprawiłeś się, utyliś nawet.

II.

Julian Drewnowski mieszkał na tym samym kurytarzu czwartego piętra, ale był to już literat z niejakiem stanowiskiem i mieszkanie jego różniło się wielce od studenckiego pokoiku Eustachego. Składało się ono z dużego gabinetu o dwóch oknach i mniejszej sypialni. W gabinecie było porządne biurko z czerwonym suknem, fotel, otomana okryta zieloną skórą, w sypialni porządne łóżko, marmurowy stoliczek, szeroka umywalnia z garniturem całkowitym; wszędzie zaś było pełno książek, jedne oprawione porządnie, podręczniki i encyklopedye, stały w szafie oszklonej, inne nie oprawione ale usystematyzowane i ponumerowane zajmowały półki od podłogi do sufitu, jeszcze inne mniejszej wartości, leżały kupami: w kątach, pod oknem, przy piecu, w gabinecie i sypialni. Osobna była etażerka na pisma bieżące, osobna szafa na roczniki.

Eustachy miał klucz od tego mieszkania i pilnie wypełniał polecenie przyjaciela układania na swoje miejsce wszystkich pism i książek które przychodziły. Zaraz też na wstępie rzekł mu:

— Utrzymywałem twoją bibliotekę w porządku.

— Widziałem — odpowiedział Drewnowski. — Dziękuję ci.

Drewnowski był o rok ledwie starszy od Eustachego, wyglądał jednak znacznie starzej i poważniej. Od Eustachego aż biła świeżość i brawura młodości, oczy zdawały się sypać iskry, a bujna czupryna trzęsła się ciągle od ruchu; w Drewnowskim nie było widać wcale młodości, był jakiś ciężki, ruszał się powoli i bez wdzięku, mówił tylko energicznie i z wielką pewnością; twarz miał nieładną, skąpym jasnym zarostem obrzuconą, jakby czemś płynnem nalaną, pozbawioną karnacyi; cerę żółtawo-brudną, nos gruby.

— Tyś już wstał? — zapytał Eustachego.

— Nie, ja się jeszcze nie położyłem.

— Czytałeś?

— Pisałem.

Powiedział to prawie z nieśmiałością, Drewnowski bowiem powstrzymywał go zawsze od pisania.

Nie szczędził on Eustachemu rad zbawiennych i życzliwych: «Ty się nie spiesz — mówił

mu — kształć się, ucz, przygotowuj, czytaj; co to wiedzy trzeba do zawodu takiego jak literacki! — wybierał dla niego książki ze swojej biblioteki, w ten sposób sam biorąc na siebie w pewnej mierze troskę o jego wykształcenie. Dawał mu różne studia literackie, historye literatur, estetyki; jego «Filozofia sztuki» Taine'a leżała w tej chwili na stole Eustachego.

— Coś pisał? — zapytał bez przekonania.

— Powieść.

Pokiwał głową, jakby żałując zmarnowanego czasu.

Eustachy znajdował się w tej chwili pod wpływem niezwykłej potrzeby mówienia o swojej powieści i nie był w stanie o niczym innym myśleć.

— I wyobraź sobie, że skończyłem — pierwszy raz w życiu coś skończyłem.

Szczególniej dziś szło mi nadzwyczajnie; czy uwierzysz, że pisałem bez przerwy przez osiemnaście godzin; samo szło jakoś, bardzo mi się smarowało. I patrz, jaka gruba.

— W literaturze — rzekł Drewnowski ostro — chodzi nie o ilość, ale o jakość.

— Oczywiście. Ciekaw jestem, co powiedzą o mojej powieści. Mam jednak, wiesz, prawie pewność, że nie jest ona zła, może nawet... (zawahał się w wypowiedzeniu tego, co rzeczywi-

ście myślał o wartości swojej powieści). Jakiś głos wewnętrzny mi to mówi.

— Ty nie mogłeś napisać dobrej powieści — rzekł Drewnowski — za mało na to umiesz, za młody jesteś.

— Schiller napisał »Zbójców« w dziewiętnastym roku życia.

— Tak, ale Schiller był geniuszem. Eustachy umilkł.

Drewnowski powolnym ruchem sięgnął po rękopis powieści.

— Powiedz mi przynajmniej, czyś się starał o to, aby ta powieść była z życia, rozumiesz mnie: z życia? Czyś pamiętał o tem, aby figury były realne, i stosunki pomiędzy figurami realne? Czyś miał, innymi słowy, na uwadze cel uczynienia czego realnego?

Eustachy zapominał zawsze języka w gębie, ile razy wykształcony i kuty jego przyjaciel dotknął się sztuki i literatury. I teraz, choć była tu mowa o własnym jego dziele, nie potrafił na razie zdać sobie sprawy, czy powieść jego była z życia lub nie, i czy stosunki pomiędzy figurami jego są realne, czy realne nie są; ale szczęśliwy, że ma z kim mówić o swojej powieści, odpowiedział:

— Owszem, z życia, bo sporo włożyłem tu z tego, co sam przeżyłem i odczułem. Wiesz, materiału na bohaterkę dostarczyła mi Henryeta.

Nie to, że bym ją miał opisać, ale ją miałem w oczach, kiedy opisywałem moją Helenę; jej głos dźwięczał mi w uszach, kiedy moja Helena otwierała do mówienia usta.

— To i źle, mój drogi! — rzekł Drewnowski.

— Dlaczego źle? — zapytał Eustachy nieśmiało i z nieufnością.

— Gdzież bowiem obiektywność, ten pierwszy warunek sztuki, to pierwsze prawo, obowiązujące artystę? Napisałeś powieść — mówił z ironią — tylkoś zapomniał o obiektywności, to tak, jakbyś poszedł na wojnę i zapomniał wziąć ze sobą karabina. Nie powinno się brać na bohaterkę powieści kobiety, w której się

kocha...

— Ja niezupełnie...

— Wszystko jedno. Wcale! Sonet, to co innego. Tu miłość jest niejako składową częścią twórczości, choć może i dlatego sonet się przeżył, a przynajmniej przeżywa. Poczekaj... (wyjął szybko z kieszeni notesik i zanotował sobie myśl, która mu właśnie przyszła do głowy — Drewnowski notował sobie w notesiku wszystkie myśli, jakie mu w rozmowie przychodziły). Co innego powieść... »Hallali!« Tytuł dałeś »Hallali«. Niedobry tytuł. To jest słowo specjalne; wielu ludzi nie zrozumie go, zwłaszcza wśród mniej wykształconych czytelników, autor zaś powinien posiadać ambicję — jest to najszła-

chetniejsza z ambycji autorskich — aby dzieło jego najdalej i najgłębiej (to główne) sięgnęło. Zresztą zobaczymy, zobaczymy...

I po chwili, jakby namysłu i wahania, rzekł tonem, w którym było przeświadczenie o ważności proponowanej przysługi:

— Słuchaj, ja to przeczytam...

— Chciałem cię właśnie o to prosić — pośpieszył Eustachy.

Nie miał on wiele zaufania do sądu Drewnowskiego, przed którego wiedzą schylał głowę i nieraz go podziwiał, ale którego zupełnie nie rozumiał. Pominąć go jednak nie mógł. Drewnowski wyświadczył mu dużą przysługę. On to go zetknął ze światem literackim, on to go przeprowadził przez zakłętą próg redakcyjną, on dał mu pierwszą pracę i zarobek piórem, miał więc dla niego żywe uczucie wdzięczności.

— Preczytam, owszem — powtórzył — i powiem ci, co to jest warte; będziesz wiedział, czy masz dalej iść tą drogą, czy nie.

— Dziękuję ci.

Drewnowski począł przerzucać rękopis, zajrzał do początku, do środka, potem ostatnią kartkę przebiegł oczyma.

— Śmierć! — rzekł — nie pokusiłeś się więc o przełamanie szablonu powieściowego. Śmierć i ślub, ślub i śmierć — oto dwie recepty, od których odstąpić nie chcą nasi aptekarze lite-

raccy. Powieść nie może się kończyć inaczej. Jakby nieskończone istnienie, rozwijające się w nieskończonej liczbie form, nie nasuwało samo myślącemu mózgowi idei o nowych bytach artystycznych.

Wstał.

Eustachy nie chciał się natychmiast rozstawać ze swoim dziełem; jeszcze się nim dostatecznie nie napięścił i nie nasycił.

— Ja ci ją przyniosę wieczorem — rzekł — chcę jeszcze to i owo poprawić.

Drewnowski oddał rękopis.

— Ale ja o sobie tylko mówię — spostrzegł się Eustachy — i nie zapytałem cię nawet, dlaczego tak bardzo skróciłeś swój pobyt na wsi?

— Wiem nie dla mnie, mój drogi; ja się tam duszę w tym czystym powietrzu; mnie potrzebnym jest do życia miasto, ruch, atmosfera gorączkowej, intensywnej pracy mózgowej.

— Odpoczywałeś aby?

— Ja nie umiem odpoczywać. Pracowałem i dużom zrobił. Postanowiłem też zmienić tytuł mojej pracy. Nie wiesz, czy może już drukarnia odbiła kartkę tytułową?

— Chyba nie. A jakiż tytuł ostateczny?

— Najprostszy: »O determinizmie literackim słów kilka«.

Podał Eustachemu rękę, zabierając się do wyjścia.

— A zagaś lampę.

Pod mlecznym szkłem tliło się czerwone światełko, ledwie w blasku dnia widoczne. Eustachy dmuchnął silnie w szkło lampy, popatrzał raz jeszcze na swój rękopis, przeszedł się kilka razy po pokoju ociężałymi krokami, znużony już, i zrzuciwszy tylko marynarkę z rękawów, położył się na nierozebrane łóżko.

III.

Obudził go szelest przewróconej w książce kartki. Otworzył oczy i zobaczył siedzącą przy stoliku siostrzyczkę.

— To ty, Nina?

— Ja.

— Dawno czekasz?

— Nie, niedawno.

Nina weszła cichutko do jego pokoiku, podczas gdy spał (nie zamykał nigdy drzwi na klucz) i szanując sen brata, usiadła ostrożnie na krzeselku, otworzywszy pierwszą lepszą książkę.

Była to panienka młodziutka, piętnastoletnia, szczuplutka, bardzo biała z czarnymi włosami, cerą trochę anemiczną. Patrzała w książkę, podparłszy skronie białymi piąstkami i starała się nie poruszyć wcale.

Eustachy zaczął się wytrzeźwiać.

— Która to godzina?

— Będzie piąta.

— Hm, piąta.

Po chwili zapytał:

— Co u ciebie słychać?

— A nic.

— Prędko się zaczyna lekcje na pensji?

— W przyszłym tygodniu.

— Hm, w przyszłym tygodniu...

Zeskoczył z łóżka, nałożył marynarkę, rozstawionymi palcami kilka razy przejechał po czuprynie, odsapnął, podszedł do Niny i pocałował ją we włosy.

Nina, choć nie czytała już książki, zachowywała bezwładnie ciągle te samą pozę: piątki u skroni, łokcie na stole.

— Tom się wyspał!

— A cóż ty w nocy robiłeś?

— Co? Patrz! — rzekł, biorąc w rękę »Hallali« — ot, com robił.

— Pisałeś?

— Pisałem i napisałem powieść.

— Skończyłeś już?

— Skończyłem.

Mówiła bez ożywienia, spokojnie i apatycznie. Wiedziała, że pisze powieść, bo dość często zachodziła do brata, więcej z nudów, niż z przywiązania, mając dużo wolnego czasu w czasie wakacji. Przedsięwzięciem Eustachego nie interesowała się prawie wcale; było to jeszcze dziecko, rozwinięte i inteligentne nawet, tylko drzemała w niej jeszcze cała strona energii

i duszy; nie okazywała żywszej ciekawości do niczego i brakło jej zupełnie inicjatywy i samodzielności.

Teraz po raz pierwszy zadała mu pytanie, mające związek z jego powieścią:

— Słuchaj-no, co to znaczy »hallali?«

— »Hallali«, moje dziecko? Jeżeli na polowaniu jeleni zostanie osaczony przez psy i myśliwych w taki sposób, że już niema dla niego ratunku ani nadziei, wtedy strzelcy grają na rogach specjalne hasło, krzyk tryumfu i rozpaczy. To granie

nazywa się: »hallali«.

Kiwnęła główką na znak, że zrozumiała.

Eustachy zestawiał miednicę na ziemię, zyskał w ten sposób drugie krzesło, na którym usiadł i zaczął przeglądać »Hallali«, poprawiając trochę styl tu i owdzie i dopisując opuszczone czasem w prędkości pisania słowo.

Janince jeszcze kwestya przysłała do głowy:

— A co ty teraz zrobisz z tą powieścią? Eustachy przespał był swój pierwszy entuzjazm i ta świetna, nowa epoka jego życia, nie wydawała mu się tak bardzo już bliską.

— Ba! moje złoto! Żebym ja wiedział — rzekł.

Po chwili powiedział jej poważnie:

— Myślę naprzód dać temu i owemu do przeczytania; sam autor nie może sądzić swego dzieła: mnie się zdaje, iż jest to bardzo piękne

a może tem tylko warto w piecu napalić. Niech więc osądzi, kto się zna.

Przemówiło to Janince do przekonania.

— No, tak.

— Dam naprzód do przeczytania Drewnowskiemu, choć od niego nie spodziewam się mądrego słowa. A potem dam Wienkiewiczowi. Czyś czytała co Wienkovicza?

— Nie.

— Może »Nieskończone prace?«

— A, to czytałam.

— Smarkata! Czytasz powieść, a nie rzucisz okiem na nazwisko autora.

— Co mi tam! Milczeli przez chwilę.

— Cóż tam w domu słychać?

— Nic.

— Mama zdrowa?

— Zdrowa.

— A ojciec?

— Jak zawsze. Po chwili dodała:

— Był list od Antka; został zatwierdzony jako pomocnik naczelnika depo.

— Maryna nie pisała?

— Nie.

Janinka miała misyę dziś do spełnienia.

— Słuchaj-no — rzekła wreszcie — mama

kazała się zapytać, dlaczego nie przychodzisz teraz do domu?

Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

— Mama myśli, że ty się obraziłeś.

A kiedy na to nie dał żadnej odpowiedzi, zapytała go:

Więc co ja mam powiedzieć mamie?

— A już co ci się będzie podobało. I dodał życzliwym tonem:

— Przecież byłeś przy naszej rozmowie.

— Mama się bardzo martwi, że ty nie chcesz nic robić i że nie pojechałeś do Antka; on i w tym liście pisał, że ci może posadę wyrobić.

Machnął ręką.

— Widzisz, mama to inaczej, niż ty...

— Wszystko, jedno — rzekł — nie podnosi się takich kwestyj bezpośrednio przed obiadem, bo obiad sam wygląda jak jakaś łaska, czy jałmużna Co u dyabła!

— I od ojca mama ma o ciebie przykrość.

— O mnie?

— Ciągłe ojciec mamie dokucza, że ty się o nic nie starasz...

— Przecież nie biorę pieniędzy z domu.

— Ojciec myśli, że mama ci daje.

— Mnie ani słowa nie powie; wydaje się najsłodszy.

— A mamie dokucza.

Po chwili dodała:

— Mama prosiła, żebyś jutro przyszedł na obiad.

— Nie wiem, zobaczę.

Niezrażona jego suchą odpowiedzią, zaczęła go prosić:

— Przyjdź, Stachu, przyjdź. Widzisz, mamie będzie przykro.

I dodała z rezerwowością prawie dziecinną:

— E! co tam będę zważała na twoje miny! Powiem, że przyjdziesz i już.

Uśmiechnęła się.

— A ciastek chcesz?

— Hm! Nie pogardzę — odrzekła wesoło.

— No, to poczekaj tu chwilkę.

Zostawił ją samą w pokoiku, nakładającą rękawiczki na rączki ładne i długie, tylko szczupłe i blade zanadto, i poszedł zanieść »Hallali« Drewnowskiemu..

Zastał go nad »Geniuszem« Saleilles'a.

— Ot, co powinieneś przeczytać — powitał go Drewnowski.

— Przyniosłem ci »Hallali« — rzekł Eustachy.

— Dobrze.

— I słuchaj, mój miły, zabierz się do tego... niezadługo.

— Już zrobię to dla ciebie i zacznę czytać zaraz; tylko zapiszę sobie wyciąg z pierwszego rozdziału.

(Drewnowski nie przeczytał jednej książki, żeby nie uczynić z niej wyciągu).

Eustachy uściśnął mu rękę, wrócił do siebie i rzekł siostrze:

— No chodź, bębnie!

I zaprowadził ją do cukierni.

IV.

— Odprowadzę cię kawałek — rzeki do Janinki, którą dwa ciastka z kremem i jedno tortowe ożywiły aż do wesołości.

— Kawałek? Nie chcę! Odprowadź mnie do samego domu.

— A co! Daj kurze grzędę...

— Ja nie jestem kura. Ja jestem inny ptaszek, trochę większy...

— Gąska? Jesteś dowcipna!

— Widzisz! Więc mnie odprowadzisz do domu.

— Nie, nie mam czasu — rzekł udobruchany zupełnie miłemi minkami najmłodszej siostrzyczki, którą się trochę opiekował i którą lubił najwięcej z rodziny — ale powiedz mamie, że przyjdę jutro na obiad.

— Pamiętaj! — rzekła mu z pogroźką. — A daleko mnie odprowadzisz?

— Do ogrodu Saskiego.

Ale ledwie zrobił kilkadziesiąt kroków obok

niej, przystanął, szybko ją pożegnał, powiedział, że musi odejść, zawołał: »Do jutra!« — i pobiegł na drugą stronę ulicy.

— Dzień dobry, panno Anno! Kiedyż panie przyjechały? Ja zachodziłem do państwa kilka dni temu, zaraz, kiedy to? W poniedziałek...

— Przyjechałyśmy onegdaj.

— Doskonale pani wygląda!

— Dobrze? Naprawdę?

— Doskonale!

Panna Anna się uśmiechnęła. Istotnie wyglądała doskonale. Miała lat ośmnaście,

figurkę niedużą, ale zgrabną, teraz w czasie kilkomiesięcznego pobytu na wsi trochę zaokrągloną; buzię świeżą, zawsze lekkim rumieńcem pokrytą, delikatną, okrągłą, z noskiem leciutko zadartym, z zębami zdrowymi i białymi, oczyma bladobłękitnymi, jasnymi włosami.

Na powitanie Eustachego odpowiedziała mocnym, prawie radosnym uściskiem ręki, kiedy zaś potwierdził, że wygląda doskonale, wydawała się szczerze ucieszoną, choć usiłowała to ukryć.

Eustachy nie był z nią nigdy naprawdę dobrze, ale przymilał się jej i znosił jej kaprysy, a nieraz i impertynencye (chwilami była słodka jak miód, a zaraz potem nieznośna jak osa) z wielką cierpliwością, bo dziewczyna była mu potrzebna. Od jej matki właśnie Henryeta od-

najmowała pokój, a Eustachy, dążąc do pozyskania, jeżeli już nie jej serca, to choć sympatii i przyjaźni, starał się pozyskać wszystkich, którzy ją otaczali: panią Wolską, pannę Annę, Marcysię, Trezora, kanarkę i papugę; pragnął, aby wszyscy mówili Henryecie dobrze o nim.

Z Anną jedną to mu się niezupełnie udawało — inni byli stanowczo pozyskani. Pani Wolska uważała go za wyjątkowego młodzieńca, wiedzącego, jakie względy należą się starości. Marcysia mówiła sobie o nim: »To ci dopiero hojny pan!« — i otwierając mu drzwi, wyszczerzała do niego zęby; Trezor był to jego przyjaciel; kanarek nie bał się go wcale i nie trzepotał przeraźliwie żółtymi skrzydełkami, gdy zobaczył przy klatce bujną czuprynę Eustachego; co do zielonej papugi, ta okazywała mu przywilej całkowicie wyjątkowy: jemu jednemu siadała na palcu, groźnym dzióbem swoim, zdolnym przekrajać drzewo jak nożem, żadnej nie czyniąc krzywdy.

— Miała pani tam na wsi jaki instrument grający?

— Miałam fortepian.

— Rozstrojony?

— Nie bardzo; zresztą organista z sąsiedniej wsi umiał stroić fortepiany.

— I zagrywała się pani?

— Czasu nie traciłam.

— Kiedyż się zaczynają lekcye w koneserwatoryum?

— W poniedziałek już. To też, jeżeli pan

chce, żebym panu pograła, to niech pan przyjdzie przed poniedziałkiem — jutro, albo dziś...

»O jaka dobra dziś!« — z radością pomyślał Eustachy.

— Można będzie dziś? — zapytał.

— Dlaczegoż nie?"

Ile razy Eustachy przyszedł do domu pani Wolskiej, a nie zastał Henryety, zawsze prosił Anny, aby mu co zagrała. Prośba ta miała skomplikowaną doniosłość; naprzód lubił muzykę wogóle, a w szczególności granie Anny — dziewczyna miała prawdziwie artystyczne poczucia — potem uderzał w ten sposób w czułą jej strunę. Przyjaciółka Henryety była szczęśliwą, gdy mogła grać komuś, kto rozumiał muzykę. Wreszcie Eustachy miał prawdziwą słabość do rąk Anny; były to ręce duże i pełne, za duże może do średniego wzrostu dziewczyny, ale tak piękne, tak bardzo białe, tak kształtne i pońtne, z palcami wyrysowanymi w tak prawdziwie artystyczny sposób, tak klasycznymi paznociami zakończone, że Eustachemu aż usta do nich ciągnęło, pomimo, iż inną kochał. Kiedy Anna siadała przy fortepianie, sadowił się tuż przy niej, na taborecie, pod pozorem, aby lepiej mógł słyszeć, i przez cały czas, kiedy te prześliczne

ręce latały po klawiaturze, całował je spojrzeniami.

I teraz, idąc obok dziewczyny, rzucił spojrzenia na te duże ręce, które zdawały

się rozrywać skórę cisnących je rękawiczek.

— Zagra mi pani »sonatę patetyczną.« Bethovena?

Skinęła głową.

— I dostanę szklankę herbaty?

— I bułki z masłem, i szynki, i jeszcze tam czego.

— Mamie posłużyła wieś?

— Bardzo. Tylko markotno mamie było, że kościół był daleko.

— A daleko był?

— O siedm wiorst. A pan wie, mama przyzwyczajona codziennie być w kościele.

Od początku rozmowy usta drżały mu od zapytania o Henryetę; wstrzymywał się, czekał, aż ono naturalnie wypłynie, usiłował ułożyć mu drogę i spodziewał się, że Anna sama o niej zacznie. Ale ona nie zaczynała. Trochę niepewnym głosem zapytał więc:

— Panna Henryeta nie przyjechała jeszcze?

— Nie.

— A kiedyż się panie jej spodziewają?

— Nie wiemy.

— Pewnie wróci w tych dniach. Lekcje na

pensjach zaczynają się w przyszłym tygodniu; mówiła mi to siostra.

— Siostra pana na jakiej jest pensji? Eustachy wymienił pensję.

— Ale panna Henryeta będzie nadal mieszkała u państwa?

— Będzie.

— Jej pokoik nie jest zajęty?

— Nie.

Anna zaczęła nagle przyśpieszać kroku. Eustachy chciał zapytać jeszcze, czy Henryeta pisała do niej i co mniej więcej pisała, ale zdawało mu się, że Anna nie ma już dla niego tej życzliwości, co przed chwilą. Przyśpieszył i on kroku, aby jej dorównać. Ona zaczęła iść jeszcze prędzej.

— Pani śpieszy się — rzekł.

— Spieszę.

— Ma pani interesy?

— Mnóstwo, mnóstwo: muszę kilka koleżanek odwiedzić, plan sobie przepisać...

Stanowczo mówiła to innym już tonem, suchym jakimś. I tak jej się nagle zrobiło pilno, że zaczęła już nie iść, ale prawie biegać.

Eustachy usiłował jej dorównać kroku, leciał więc obok niej zły, czując, że staje się śmiesznym. W tym pędzie niepodobna było rozmawiać, słowa ginęły, frazes się nie składał. Chciał już

ją chociaż pożegnać, ale nie wiedział, jak to zrobić zręcznie.

Nagle, na rogu ulicy, Anna sama się zatrzymała i prędko, niedbale podała mu rękę.

— Ja tędy... Adieu panu! Skręciła i pobiegła.

Eustachy pozostał na miejscu, zirytowany mocno.

— Z nią tak zawsze! — gniewał się. — Nie sposób być dobrze całe pół godziny. Raz tak, raz tak! Sam dyabeł chyba wie, czego się z nią trzymać.

Nie wiedział, czy ma pójść do niej na wieczór, czy nie. Tu go zapraszała, obiecała »bułkę z masłem, szynkę i jeszcze co« — a tu rzuciła go na środku ulicy, jednym słówkiem nie przypomniawszy zaproszenia.

Ma kilka koleżanek jeszcze odwiedzić... Jakiś plan przepisać, a tu przecież już wieczór! Bądź-że mądry z takim czartem!

Dowiedział się jednak, że Henryeta nie wróciła jeszcze do Warszawy.

I zdawało mu się, że teraz, kiedy napisał »Hallali«, nie stoi już tak daleko od serca ukochanej dziewczyny.

V.

Nazajutrz zrzęda mu nieco mina. Oswoił się już z faktem napisania powieści, przywykł do myśli, że jest autorem »Hallali«. Tylko — co to naprawdę warte jest to »Hallali?«

Trochę niepokoju znalazł dziś w swojej duszy. Napisał tak prędko tę powieść: we dwa miesiące; i co innego był układał, a co innego mu potem z pod pióra wyszło. Gotów był już przyznać, że to jest rzecz jeszcze nieopracowana i pełna niedbalstwa; że właściwie to nie jest powieść, lecz tylko szkic, od ręki, ot, rzucony i nierozwinięty. Ale nie przychodziło mu na myśl nic, coby do tego szkicu dodać i coby w nim rozwinąć. Szkic, czy powieść? — dyabeł wie. Zresztą niech to będzie i szkic — czy tylko wart jest tyle, ile autor o nim trzyma? Niepokoje Eustachego mieszały się jednak z marzeniami i zasępione przez kilka minut czoło jego rozpozadzało się. Widział oto w myśli sympatyczną postać Wieńkowicza, który zwraca

do niego swój ciepły i życzliwości pełen uśmiech i mówi mu: »Przeczytałem, panie, »Hallali!« Wyborna rzecz, wyborna!«

I marzenie jego leci dalej. Widzi grube, czarne zgłoski słowa: »Hallali«, wydrukowane w "Biegunie", pod czarną linią, odznaczającą odcinek, i mniejsze litery, składające się na dwa wyrazy: Eustachy Żurski...

Księga marzeń jego odwraca się jeszcze o jedną kartę: »Hallali« leży za szybą księgarską, porządny tom w żółtej okładce, obok kilku innych nowości zimowego sezonu, w sąsiedztwie »Biegalskich« Wieńkowicza, którzy właśnie drukują się obecnie w odcinku »Bieguna«... Jeszcze jedna kartka: Henryeta siedzi przy swoim biurku i trzyma w białych rączkach porządny tom w żółtej okładce, zadziwiona i zamyślona...

Szara fala niepewności zalewa mu całą tę kolorową księgę marzeń.

Ale widząc tę powódź, Eustachy robi się zły, przewraca się na łóżku i powiada sobie:

— Cóż u dyabła starego! Żebym za całą moją pracę nie mógł sobie choćby trochę pomarzyć!

I przywołuje marzenia, które tylko co odeszły.

Ale marzenia nie chcą wrócić.

Na ich miejsce wchodzi lokaj Walenty, który obsługuje wszystkich kawalerów na czwartym piętrze i pyta Eustachego, czy może zaraz sprzą-

tać pokój, czy też ma poczekać, aż Eustachy wyjdzie?

— Ja zaraz wychodzę.

po chwili woła za lokajem:

— Walenty!

Walenty wraca.

— Pan mnie wołał?

— Czy pan Drewnowski wyszedł?

— Wyszedł tylko co.

— A klucz zostawił?

— Klucz jest we drzwiach.

— Dobrze.

Walenty wychodzi, Eustachy zaś wstaje, ubiera się i idzie do mieszkania Drewnowskiego.

»Hallali« leży na samym środku wielkiego biurka z czerwonym sukniem, przełożone zakładką. Eustachy otwiera swoją powieść w tem miejscu, gdzie jest zakładka, i widzi z pociechą, że Drewnowski przeczytał już mniej więcej trzy czwarte dzieła. Zaczyna dzieło wertować i spostrzega w kilku miejscach z boku długie linie, zakreślone niebieskim ołówkiem; tu i owdzie znajduje niebieski wykrzyknik, tu i

owdzie znak zapytania, tu i owdzie wykrzyknik i znak zapytania, w jednym zaś miejscu stały w szeregu cztery wykrzykniki obok pięciu znaków zapytania. Groźnie i ostro wyglądały te niebieskie znaki pisarskie. Nic dobrego nie wróżyły. Serce opadło w Eustachym jeszcze niżej.

Zamknął »Hallali«, wrócił do siebie, dokończył się ubierać i wyszedł na miasto. Była godzina jedenasta bez kilku minut. Wstąpił do cukierni na kawę i ułożył sobie, że pójdzie do redakcji »Bieguna« zaraz po dwunastej. O samej dwunastej Drewnowski wychodził z redakcji na śniadanie, Wienkowicz zaś przychodził w tym mniej więcej czasie robić korektę ze swoich »Biegalskich«.

Z pomiędzy kilkunastu literatów, których Eustachy poznał w redakcja »Bieguna « przez czas, kiedy pisał za Drewnowskiego "Ostatnie wiadomości", Wienkowicz wydał mu się najsympatyczniejszym i najprzystępniejszym.

Był to człowiek lat około czterdziestu, żywy i energiczny, blondyn z dużymi wąsami i prawie łysy. Jako autor, był mało płodnym; wszystko przecie, co wychodziło z pod jego pióra, nosiło cechę wielkiego skończenia. Podobno każdą rzecz przepisywał po wiele razy, zanim oddał ją do zecerni. Wielu było takich, którzy jego »Nieskończone prace« uważali za arcydzieło. U publiczności nie był zbyt popularny, w kołach literackich bardzo był przecież ceniony, szanowany i lubiany.

Eustachy zachwycony był w swoim czasie "Nieskończonymi pracami". Uważał też za wielce niezwykajny ten dzień, w którym poznał ich autora.

Jak każdy wrażliwy i szczerzy czytelnik, wy-

robił sobie o Wienkowiczu pewną ideę, której Wienkowicz żywy wcale nie odpowiadał.

Wienkowicz w obejściu był łatwy, jednakowo uprzejmy dla dygnitarzy redakcyjnych i dla takich jak Eustachy pionków. Wiało od niego jakąś spokojną siłą i pogodą; dumy i pedanteryi nie miał ani odrobiny. Mówił dużo, wesoło, często dowcipnie, zawsze rozumnie. Eustachy słuchał go chciwie, dziwił się czasem, że to, co słyszy, takie było proste, i kilka razy miał sposobność nabrać dobrego o sobie przekonania, widząc, że jego sąd lub gust w jakiejś bieżącej rzeczy odpowiadał mniej więcej temu, co Wienkowicz mówił.

Teraz w cukierni czekał na dwunastą godzinę, przeglądając dzienniki, które wcale go nie interesowały.

Od chwili, kiedy napisał »Hallali«, tysiące rzeczy, na które przedtem zwracał uwagę, przestały dla niego istnieć. To też czas włókł mu się teraz bardzo wolno i uciążliwie.

Doczekał się wreszcie godziny dwunastej i poszedł do redakcji. Trafił doskonale. Drewnowski tylko co wyszedł, a Wienkowicz tylko co przyszedł i jeszcze nawet nie podano Eustachemu rękopisu i odbitek.

— Mam do . pana wielką prośbę — rzekł Eustachy półgłosem, aby nie być słyszany przez wszystkich.

— Służę panu — rzekł pośpiesznie Wienkowicz, podchodząc z nim do okna, gdzie mogli swobodnie rozmawiać na stronie.

— Proszę pana, napisałem powieść i chciałbym wiedzieć, czy ona jest co warta.

— Dobrze, z przyjemnością — rzekł Wienkowicz.

— Będę panu prawdziwie wdzięczny...

— Masz pan ją tu?

— Nie, nie mam.

— Współczesna?

— Współczesna.

— Spodziewam się, że jest... jednotomowa? Eustachy uśmiechnął się bez urazy.

— Jednotomowa.

— Realistyczna? Naturalistyczna?

— Nie wiem, doprawdy...

— To już dobrze. Więc przynieś pan ją — podał mu swój adres. — Zawsze do szóstej jestem w domu. I obym mógł się panu na co przydać. Tylko, panie, ja jestem bardzo bezwzględny.

— Tem lepiej.

— Jeżeli się pan nie boi...

Ścisnął mu przyjaźnie rękę i podszedł do biurka, gdzie chłopiec redakcyjny położył zwitek wygniecionych i zabrudzonych kartek. W Eustachym zaś, chociaż bez. rozsądnej przyczyny, serce znowu się podniosło.

VI.

Eustachy chętnie poszedł dziś do domu rodziców, bo mu to zajmowało czas aż do wieczora, którego niecierpliwie wyczekiwał; spodziewał się, że Drewnowski skończy dziś czytanie »Hallali« — już tak nie wiele mu zostało — i powie mu swoje zdanie o jego dziele i o jego talencie.

W Eustachym było pełno nadziei, pełno niepewności, w głębi jednak był przygotowany na najgorsze. Znał Drewnowskiego jako człowieka, u którego niezadowolenie było normalnym stanem duszy i który chwalił to jeno, co było ogólnie, powszechnie i oddawna uznanem; co prawda, chwalił wtedy bardzo. Dla utworów chwili bieżącej był bardzo surowy. Eustachy, kiedy myślał o nim, nie wyobrażał go sobie nigdy inaczej, tylko w tej jego specjalnej i charakterystycznej pozie człowieka, który coś potępia, odpycha i neguje. Zresztą motywował on sąd swój zawsze z punktu teorii ogólnych.

Skoro miał wyrazić swoją opinię o jakiej rzeczy, stawiał przedewszystkiem teorię, jakieś wymaganie natury ogólnej i potem w sposób wielce przekonywający dowodził, że dana rzecz wymaganiom wyluszczonej nie odpowiada.

Eustachy przez pewien czas błogosławił nieba, że pozwoliły mu mieszkać na jednym korytarzu z człowiekiem, od którego tyle będzie mógł skorzystać. Usiłował też wygłaszane przez Drewnowskiego teorie zapamiętać, rozważyć i ująć w jeden system; ale wkrótce uzbierało mu się tych teorii tak dużo i tak trudno mu je było ze sobą związać, iż zgubiła się wśród nich* myśl jego, jak dziecko w gęstym lesie bez ścieżki. Poczuł się więc upokorzonym i dał Drewnowskiemu kredyt bez ograniczeń. Instynktownie miał jednak w sobie nieufność do wszystkiego, co Drewnowski mówił, i ta nieufność zostawała w nim przez jakąś dziwną tajemnicę duszy nawet wtedy, kiedy raz i drugi poczuł się zupełnie przez Drewnowskiego przekonany. Teraz, kiedy Drewnowski miał w swoich rękach powieść jego, nieufność w nim wzrosła. Postanowił zdanie Drewnowskiego — jakiegokolwiek ono będzie — poprostu przyjąć do wiadomości, ale na niem nie poprzestawać, a zwłaszcza nie budować.

Rodzice Eustachego mieszkali we własnej niedużej i bardzo starej kamieniczce na ulicy

Gołębiej. Pomimo dusznej i ciężkiej atmosfery, iaką się tam oddychało, lubił on zajrzeć tam kiedy niekiedy. W tem niewygodnym mieszkaniu, o dziwnym rozkładzie, czuł temperaturę powietrza o jeden stopień wyższą, niż na świecie. Zwłaszcza kiedy ojca nie było w domu, przepędzał tu czas nawet mile. Rozmowa z matką zazwyczaj była niedługa i wtedy tylko się przeciągała, kiedy matka doznawała potrzeby wygadania się przed nim i poskarżenia na złe obejście ojca. Słuchał ze współczuciem tych skarg, cierpiąc, że pomódz nic jej nie zdoła. Samo poskarżenie się jednak już sprawiało matce widoczną ulgę i przyjmowała go,

czem mogła, stawiała przed nim szklankę herbaty i to, co z obiadu zostało mięsa na kolację (przychodził umyślnie po obiedzie, bo w tych godzinach ojciec szedł na spacer do ogrodu Krasińskiego), oglądała na nim ubranie, wypytywała o bieliznę, o pościel, czasem kazała mu zdjąć marynarkę lub spodnie, ażeby naprawić rozpruty rękaw, albo przyszyć oberwany guzik. Pytała, co u niego słychać? Zbывał te zapytania odpowiedzią byle jaką, tyle razy przekonawszy się, że matka go nie chce zrozumieć.

Matka zawsze na jego odpowiedź znajdowała kilka słów, aby powiedzieć mu, że żadnej z niego nie ma pociechy, że marnuje czas i młodość,

że o przyszłość nie dba. Mówiła przez długi czas, że tylko dziewczęta są pociechą jej starości, zwłaszcza Marysia, kiedy ta za męża za Stokowskiego wyszła; ale kiedy Stokowscy pisali ciągle listy o swojej biedzie i potrzebie, a w tym czasie Antek, najstarszy, wyskoczył na pomocnika naczelnika depo, zlewała swoją czułość na jego głowę. »n jeden — mówiła — mój syn ukochany...« I kręciły się jej łzy w oczach ze wzruszenia macierzyńskiego.

Porozmawiawszy trochę z matką, Eustachy sadzał Janinkę obok siebie na kanapce, całował ją w czoło lub policzek i wyciągał na rozmowę. Żartował z nią, mówił do niej jak do małego dziecka, nazywał smarkatą i bębniem, pytał czy jej lalka nie jest chora i mimo to rozmawiał z nią poważnie. Lubił słuchać, jak opowiadała mu o swoich nauczycielkach i koleżankach, zdarzenia z pensji i z życia. Było to dziecko jeszcze, ale dziecko bardzo szczere, rozwinięte i poważne. Miała ona mało sądów, sympatyj i antypatyj, co zdradzało jej naturę do zbytku bierną, obserwowała tak rozsądnie, że Eustachy mógł doskonale odtworzyć sobie świat, w którym się obracała. Lubił ją jeszcze i za to, że tak naturalnie nosiła swoje lat piętnaście, że nie pilno jej było uchodzić za dorosłą pannę.

Matka skarżyła się czasem na jej upór. Domyślał się, że dziewczyna będzie miała chara-

cter i odgadywał w niej duszę cichą, może trochę chłodną, ale prostą i prawą. Czasem pomagał jej w lekcjach, częściej zachęcał do czytania i kształcenia się samej; napędzał ją też do fortepianu. Dziewczyna miała trochę słuchu i przez kilka lat brała lekcje muzyki, ale rosnące z latami skąpstwo ojca pozbawiło ją nauczycielki (ledwie wymódz na ojcu było można, aby za pensję płacił, a i to obawiano się ciągle, że lada pierwszego miesiąca odmówi).

Eustachy namawiał ją, aby grała sama, żeby nie zapomnieć tego, co się już nauczyła i nie wyjść z wprawy; ale nie można ją było natchnąć do tego stopnia energią — i stary klawikord, przez okazyje kupiony inwalida, stał w pokoju, jako dekoracja, starannie codzień przez matkę ocierany z kurzu, ale zupełnie bezużyteczny.

Z chwilą kiedy ojciec wchodził do mieszkania, wszyscy tracili swobodę. Matka ponuro i manifestacyjnie topiła całą uwagę w robótce, jaką miała w ręku; Janinka wciskała się w kącik i zagłębiała w jaki szkolny podręcznik.

Ojciec Eustachego był niegdyś człowiekiem towarzyskim i umiejącym sobie zjednywać ludzi. W domu zawsze despota, był ojcem, jeżeli nie czułym, to jednak dbałym o wychowanie i przyszłość dzieci. Niewysoki urzędnik i nie-

zbyt skrupulatny, awansował powoli, nie dbał jednak o to zbyt mocno, potrafił bowiem na boczku uskładać sumkę dość poważną, aby zostać za nią właścicielem domu na Gołębiej ulicy. Lubił dobrze zjeść, zwłaszcza na cudzy koszt i dobrze wypić, choć mu to szkodziło.

Pewnego razu, przed dziesięciu laty, lekceważąc ostrzeżenia lekarzy, przebrał dozwoloną miarę i padł ofiarą ataku apoplektycznego. Szczęściem było to w domu, i matka, która miała przytłumione, ale niewyczerpane zasoby energii, szybkim

ratunkiem wyrwała go śmierci. Kiedy się jednak podniósł z łóżka, nie był to już ten sam człowiek. Władze umysłowe do dawnej sprawności nie wróciły i trzeba było podać się do dymisyi.

To zmieniło sytuację materialną rodziny; zbrakło pensyi, zbrakło dochodów, emeryturę wyznaczono śmiesznie małą — pozostał dom jako deska ocalenia. Ta zmiana wyrodziła w ojcu Eustachego popęd do oszczędności nadmiernych, który wkrótce nabrał cech skąpstwa. Wspomnienie ataku wyrodziło w nim obawę o życie i znowu nadmierne środki ostrożności. W tych dwóch uczuciach: trosce o zdrowie swoje i wstrętowi do jakichkolwiek wydatków po za pożytkiem własnej osoby (bo sobie na nic nie żałował), zamknął się, jak ostryga w muszli. Stał

się przykrym i ciężkim dla matki, ponieważ widział w niej przedewszystkiem kogoś, kto wydaje jego pieniądze i przestał się zupełnie troszczyć o dzieci. Życie jego stało się teraz pełne wszelkich trosk codziennych. Pieniądze trzeba było wydawać na różne rzeczy, wiele razy na dzień. Wpływały zaś one powoli i trudno.

Dom na ulicy Gołębiej był »starym gruchotem«, w którym jeno grube, prawie forteczne mury trzymały się mocno; wszystko inne wymagało naprawy: schody, kurytarze, sufity, podłogi, rynny i dachy. Gospodarz nigdy porządnej i gruntownej naprawy nie przeprowadził; żał mu było na to pieniędzy, dom więc znajdował się w stanie ciągłej ruiny i nie było dnia, żeby nie trzeba było czegoś zażegnać, zmienić podeprzeć, poprawić, odnowić. Gospodarz złościł się, kłął, wymyślał, stróża kułakami częstował, do żony mówił, że mu głowa pęka, musiał jednak sięgać po kilka razy do górnej szuflady w komodzie, gdzie leżały pieniądze, starannie chowane i zamknięte.

Ciemną i niewygodną kamieniczkę zamieszkiwali ludzie ubodzy, rzemieślnicy, kelnerzy, emerytki, przekupki ze Starego Miasta; płacili oni komorne nieregularnie, małemi kwotami, często nie płacili wcale. Gospodarz groził, stróża posyłał, sam nachodził, wymyślał, procesował

się, komornika sprowadzał, rzeczy nie wypuszczał. I to tak było od rana do nocy, z przerwą kilkogodzinną po obiedzie, kiedy wychodził dla zdrowia na spacer, a żona wszystkich interesantów odprawiała słowami: »Niema męża w domu« — i cieszyła się, że »choć przez te kilka godzin głowa zazna trochę wypoczynku«. Najnieszcześniejszą istotą w tej machinie całej był stróż domu, któremu wszyscy i zawsze wymyślali: gospodarz, że nie ściągnął komornego od lokatora; lokator, że mu mieszkanie nachodzi; administracja wreszcie, dbała o zawartość rynsztoków i regularność meldunku.

Dorastające dzieci wyrwały się poprostu z tej atmosfery.

Antek, jak tylko skończył szkołę kolejową, wziął z radością mizerną posadę w warsztatach, byle najdalej od Gołębiej ulicy.

Eustachy, nazajutrz po skończeniu gimnazjum, wyprowadził się od rodziców i zamieszkał z kolegami szkolnymi.

Marysia wyszła za mąż bez rzeczywistej miłości za Stokowskiego, ponieważ był to człowiek, który wyprowadzał ją z domu rodzicielskiego.

W tym ponurym domu z ojcem starym, zniedołężniałym, samolubnym, despotycznym i trzęsącym się na widok pieniędzy, pozostała już tylko matka, nieszczęśliwa, ale jakoś umiejająca

sobie to energią, to przedsiębiorczością poradzić ze starym i Janinka, apatyczne dziecko ze zdrową duszą, które rosło tu, jak w jakim zadusznym kącie rośnie skromny, ale pachnący kwiatusek.

VII.

— Czy niema mamy? — zapytał Eustachy, przywitawszy siostrzyczkę, a nie widząc matki na zwykłym jej miejscu pod oknem.

— Jest, ale się zdrzemnęła — rzekła Ninka cichutko.

Eustachy zniżył głos.

— Widzisz, przyszedłem. Podziękuj mi za to. Nadstawił jej policzka.

— Co? Ja mam cię całować? To byłoby za wiele honoru. Nie. Najwyżej pozwolę się pocałować.

Podsunęła mu bladą buzię.

Eustachy pocałował ją i usiadł przy niej.

— Co słyhać?

— Żebyś wiedział, mama taka jest zmartwiona...

— No?

— Przyjechał Stokowski. Na jutro naznaczono licytację ich rzeczy.

— To już drugi taki wypadek.

— Właśnie...

— Cóż ojciec?

— Ojciec jeszcze nic nie wie. Stokowski poszedł z ojcem na spacer. Tak mu się przymilał...

W rodzinie nazywano Stokowskiego po nazwisku, tak się to jakoś utarło. Był to chłopiec młody, naiwny, z prowincyi, któremu zaimponowała kamienica w Warszawie; liczył oczywiście na posag, ale kiedy go nie dostał, przyjął to spokojnie i naturalnie.

Marysia bardzo krótko go trzymała. Kiedy niekiedy Marysia albo Stokowski przyjeżdżali do Warszawy (mieszkali w Piotrkowie), aby wykonać atak na szufladę górną od komody ojca. Nie było to zupełnie niemożliwe, ale co to kosztowało trudu i nieprzyjemności!

Matka, która pomagała dzieciom, po takiej sprawie kładła się na trzy dni do łóżka. Antoni i Eustachy oddawna zrezygnowali z pomocy, opłacanej takim kosztem.

— Dużo mu potrzeba?

— Ośmdziesiąt rubli.

Matka słyszała jego wejście, podniosła się powoli i przysłała go powitać.

— Tak dawno cię nie widziałam, mój synu — rzekła, przykładając swoją siwą głowę do jego piersi.

Wobec tego cały jego żal znikł doszczętnie, jakieś uczucie wdzięczności podniosło się w nim i silnie ucałował ręce matczyne.

Pogłaskała go rękoma po bujnej czuprynie.

— Nie powinienes się gniewać na mnie. Ja jeżeli co powiem, to przecież z dobrego serca.

Znowu ucałował jej ręce, mocniej jeszcze wzruszony jej tłumaczeniem się.

— Jadłeś obiad?

— Nie bardzo.

Kazała służącej prędko zrobić herbaty i sama, nakrywszy stół, przyniosła półmisek i talerze. Potem usiadła naprzeciwko niego i kiedy zaczął jeść zimną pieczeń wołową, zapytała:

— Czy wiesz?...

— O Stokowskim?

— Właśnie.

Pokiwała głową, chcąc wyrazić w ten sposób, co to ją czeka. Potem wzruszyła szybko ramionami.

— Ja nie rozumiem, jak ta Marysia się rządzi. Wychowałam ją przecież w rachunku i oszczędności. Mąż oddaje jej całą pensję...

— Rzeczywiście?

— Powiadam ci co do grosza. O! on się jej boi. I ciągle brak, ciągle długi, ciągle komornik, ciągle pieniędzy i pieniędzy. Ja nie wiem, ja głowę tracę. Ojciec nie da już więcej...

Skarżyła się jeszcze jakiś czas, potem usiadła pod oknem, na zwykłym swoim miejscu.

— Czy wiesz, że Antka zatwierdzili?...

— Mówiła mi Nina.

— Pomocnik naczelnika! To już figura. I dodała po chwili do siebie:

— Kochane dziecko!

Eustachy spróbował ją pocieszyć i sobą: — Powiem mamie dobrą nowinę. Może mama niezadługo doczekać się pociechy i ze mnie... Sceptycznie, choć dyskretnie, pokiwała głową i wyglądając przez okno z taką miną, jak gdyby patrzyła w przyszłość, rzekła:

— Chyba to już po mojej śmierci...

— A jeżeli to będzie za tydzień? Za miesiąc?

Spojrzała na niego zaciekawiona.

— Moja mamó, wczoraj skończyłem pisać powieść.

— Tyle miałeś mi do powiedzenia? — rzekła lekceważąco.

— Może to więcej, niż mama myśli.

Wzięła za robótkę i manifestacyjnie milcząc, zaczęła pracować. Widząc, że i Eustachy umilkł, rzekła po długiej chwili:

— Mało to jest literatów? Mało to mają powieści?

— Urzędników na kolei jest jeszcze więcej...

— Ale każdy z nich chleb je... Przybierało to charakter sprzeczki. Eustachy więc nie podtrzymał dalej rozmowy z matką; mniej był dziś jednak rozżalony za ten brak zaufania, może dlatego, że czuł tak blisko sła-

wę. Zwrócił się więc do Janinki i zaczął ją zarzucać zapytaniami, aż się pozbyła zwykłej apaty, ożywiła i sama płynnie poczęła zwierzać mu się i pokazywać wszystko, co się w jej młodym mózgu zatrzymało.

Tak rozmawiali aż wrócił ojciec ze Stokowskim.

— Zaraz, zaraz papeczko! — wołał Stokowski. — Niech się papeczko nie męczy, to zdrowiu może zaszkodzić; ja sam zdejmę z papeczka palto, ot, tak, i powieszę, ot, tak! Teraz niech sobie papeczko siada i odpocznie. Nie zgadnie mateczka (jak się masz, Stachu?) gdzieśmy dziś z papeczką byli. Co to jest, myślę sobie, papeczko ciągle i ciągle chodzi do ogrodu Krasińskiego. Żadnej rozmaitości.

Więc zaprowadził papeczkę na Pragę, do parku, tak. Tam inne powietrze. Co papeczko? Napiliśmy się mleka, pochodziliśmy, a potem przywiozłem papeczkę w dorożce do Warszawy. Jak też papeczko poprawił się od ostatniego mojego widzenia się. Prawda, mateczko? Co Stachu? Wy może tego nie zauważyliście, bo codzień papeczkę widzicie, ale ja z daleka... PoAvoli, papeczko, niech papeczko sobie usiądzie, tak, ja zaraz napiszę skargę do sądu, więc o co? O komorne zaległe i o wyrzucenie z mieszkania... doskonale.

Stary, widocznie zmęczony, powoli zbliżył się do kanapy, prowadzony przez Stokowskiego

i usiadł na niej ciężko. Ale ledwie usiadł i z Eustachym się przywitał, weszła lokatorka, niosąc w ręku zielony trzyrublowy papiererek, co zobaczywszy, stary zerwał się i pobiegł do niej z chyżością i lekkością młodzieńca.

— Co? Trzy ruble! — zawołał, biorąc papiererek. — Nie przyjmę, nie przyjmę, jak Boga kocham, nie przyjmę! Obiecałaś pani dać dziesięć.

— Chciałam, ale nie mogę...

— Dobrze, dobrze; jutro każę panią wyrzucić!...
— Wyrzucić jak wyrzucić — odrzekła. — Jak będzie mi się chciało, to się sama wyprowadzę. Ale mówię po dobroci, że niech pan gospodarz będzie cierpliwy, to wszystko zapłacę; ja jestem uboga, ale uczciwa...
— Uczciwa, uczciwa! A kiedyż pani dasz resztę?
— W sobotę.
Mruczając gniewnie, zaniósł trzyrublówkę do komody.
— Jakie przyjemności! Jaki spokój! Widzisz! — zwrócił się do Stokowskiego.
— Papeczko się za wiele irytuje.
— Jak się nie irytować, kiedy nie płacą. A tu reperacje, a tu podatki, stróż, służąca, policz... A co, jeszcze i ten przyszedł — mruknął gniewnie, widząc wchodzącego mularza,

który niedawno reperacje poczynił i krzyknął mu gniewnie: — Jutro! Dziś nie mam pieniędzy.

— Ola Boga! — rzekł mularz. — Cały miesiąc już chodzę o te głupie pięć rubli.
— Jak głupie, to pan nie chodź.

Stary nigdy nie zapłacił od razu, co się należało rzemieślnikowi; dawał po rublu, zwłóczył, odkładał i trzeba było wielkiej awantury, żeby dwa ruble od razu z niego wydusić.

— Niech pan choć trzy ruble da. Teraz tak daleko mam robotę, na Czerniakowskiej... Tem chodzeniem to więcej zedrę butów, niż co warto.

— Nie mam pieniędzy.

— Toć mi się należy, zarobiłem.

Wobec miny mularza, który widać było, że nie ustąpi, stary podszedł do komody, wziął rubla i dał rzemieślnikowi.

— Jeszcze choć jednego, panie gospodarzu.

— Za kilka dni, za kilka dni!

Mularz wyszedł, stary kazał stróża zawołać.

— Byłeś u szewca?

— Byłem.

— Co powiedział?

— Że jak będzie miał, to zapłaci.

— Mówiłeś, że podam do sądu.

— Mówiłem.

— A on co?

— Śmiał się.

Stary zwrócił się do Stokowskiego.

— Widzisz! — rzekł.

Wszystko to były rzeczy znane, codzienne, i Stokowski się nie zniechęcał.

— A u tego z góry byłeś?

— Byłem.

— I co?

— Wyrzucił mnie za drzwi i nawymyślał tak brzydko...

— Pójdiesz jeszcze raz wieczorem...

— Kiedy, proszę pana...

— Pójdiesz, powiadam ci. Będziesz do niego chodził po pięć, po dziesięć razy na dzień. A teraz wynoś się.

Wrócił na kanapę.

— Co to za umordowanie! Nie chcą płacić, stróż o nic nie dba, łajdak! Na dziady przyjdzie się zejść!

— Tylko niech papeczko nie irytuje się, bo doprawdy szkoda zdrowia. Co może być cenniejszego, niż zdrowie, papeczko, to skarb, skarb! A kto raz straci, oho! to nie łatwo napowrót...

Eustachy nie miał mu za złe tych nieszczerych czułości i troskliwości, a

przynajmniej wybaczał mu je. Wiedział on, jak trudno jest wyciągnąć ;coś z górnej szuflady komody ojca. Nie miłem mu jednak było, że fałszy te przychodziły Stokowskiemu tak łatwo i tak obficie, jakby go one nic zgoła nie kosztowały.

Widząc, że powoli zbliża się groźna chwila, w której ojciec znajdzie się wobec wymagania ośmdziesięciu rubli i za nic nie chcąc być jej świadkiem, pożegnał się i wyszedł.

Na ulicy odetchnął swobodnie. Nigdy nie wynosił ze sobą pogńębienia z pobytu w domu rodziców i pamięć wrażeń przykrych, jakimi się tam nakarmił, zostawiał na progu. Za progiem myśleć już zaczynał o czem innym, i rzecz dziwna, większą, niż zazwyczaj okazywał skłonność do marzeń. Natura młoda, świeża, energiczna unosiła jego duszę na lekkich skrzydłach nadziei w światy lepsze, piękniejsze, szlachetniejsze. I teraz marzyć zaczął o powodzeniu, jakie mu w świecie zrobi »Hallali«. Byle prędzej, pilno mu bowiem przestać być niczem, a tak długo był niczem — nawet w oczach rodzonej swojej matki.

Przyszedłszy do swego domu, odrazu wstąpił do Drewnowskiego.

— Przeczytałeś? — zapytał.

— Przeczytałem — odrzekł.

— Całe?

— Całe.

— I cóż?

Dech w nim zamarł.

Drewnowski miał minę zaambarasowaną.

— Jeżeli mam ci powiedzieć szczerze moje zdanie.

Zatrzymał się i milczał. Eustachy pomógł mu:

— Ależ, proszę cię, nie krępuj się...

— No, więc ci powiem, że to, coś napisał...

— Jest niedobre...

— Niedobre?... Nie... To jest... nic.

VIII.

— Nic?... Rzeczywiście?...

— Ja nie chciałbym cię zupełnie odstraszyć od literatury, mój drogi, radbym nawet, przeciwnie, móżd cię zachęcić. Ale ja z góry wiedziałem, czem mniej więcej będzie twoja powieść. Nie posądz mnie tylko o stronniczość jakąkolwiek; jeżeli było we mnie jakie uczucie, powzięte z góry, to raczej życzliwość dla ciebie. Ale to nie można, mój drogi, przystępować do rzeczy tak poważnej jak powieść, w taki sposób, jak ty przystępowałeś, bez przygotowań, bez studyów...

Eustachy przerwał mu:

— Powiedz mi jedno. Powieść może być zła, ale jak ci się zdaje, czy widać w niej trochę talentu, czy nie?

Drewnowski zdawał się być zaambarasowany tem pytaniem.

— Talent? Talent, mój drogi, powiedziałbym, że jest podobny do jeźdźca, lepiej jeszcze: do

dżokeja. Jak mu nie dasz dobrego konia, to nie dowiesz się nigdy, co wart jest ten mały i niepozorny człowieczek. Otóż ty robisz na mnie wrażenie człowieka, który niema konia, a zapisał się do wyścigu i pyta, czy wygra. Koniem dla powieściopisarza jest psychologia. Otóż ty psychologii wcale nie znasz. Wziąłeś pierwszy lepszy fakt, jaki ci do głowy przyszedł — jestem pewien, że nie z

życia, nie z obserwacji — rozpiśniętych go na wszystkie strony, wzdłuż i wszerz, tędy i owędy i myślisz, żeś powieść napisał. Chwilami to u ciebie gładko idzie, ale wszędzie czuć, że to jest płytkie, niepogłębione, bez solidnego fundamentu. Twoja powieść na pozór przypominać może przestarzałe klasyczne dramaty, gdzie to wszystko dąży do katastrofy końcowej (mówię: napozór). Ktoś, komu wystarczają zupełnie pozory rzeczy, może powiedzieć sobie: »Powieść jest taka lub inna, ale autor widocznie przestudował sobie Lessinga i Boileau-Despres nie jest mu obcym; jest to, jak Francuzi mówią: quelqu'un«. Nie powie tego oczywiście człowiek, który rozumie, że literatura, jak wszystko, co bytuje w formie życia, podlegać musi prawom ewolucji, i że obowiązkiem każdego pokolenia artystów jest — nie wracanie do form przeżytych, choćby dały one cywilizacji i arcydzieła — ale odszukanie, skombinowanie, stworzenie form nowych, najlepiej od-

powiadających formom rzeczywistego życia jednostek i grup społecznych, innymi słowy formom artystycznym, któreby były zgodne z psychologią i socjologią. Tym warunkom twoja praca zupełnie nie odpowiada. Ale i ta zgodność z przebrzmiałą teorią jedności akcji jest pozorną tylko, jak już nadmieniałem. Wszystko zdaje się u ciebie dążyć do katastrofy, to jest do samobójstwa bohatera. Prawda? Bo przez nieumiejętne życie narobił sobie nieprzyjaciół, którzy wszyscy naraz przeciwko niemu powstają. On, zamiast walczyć, ucieka z placu boju. Więc jest tchórzem. Każdy samobójca jest tchórzem, o ile nie jest waryatem; na to się już wszystkie poważniejsze umysły zgodziły. Tymczasem u ciebie pierwiastki natury tchórza wcale nie są pokazane...

— Mój bohater jest przede wszystkim nieszczęśliwym...

— A dlaczego jest nieszczęśliwym? Wiele się na to składa okoliczności. I to pochwalam, owszem, to jest zgoda z życiem, bo i w życiu na każdy fakt, nawet drobny i bez doniosłości, również wiele się składa okoliczności. Jedną z tych okoliczności jest to złe wychowanie; twój bohater za miodu już nie otrzymał dobrego wychowania. Tu, mój drogi, powinienes być położyć mocno rękę na problematy pedagogiczne, które szczególnie dzisiaj, przy postępie

psychologii, traktowanej jako nauka doświadczalna, zostały dostatecznie rozjaśnione. Gdybyś był zażądał odemnie paru książek w tym kierunku, pożyczylbym ci ich chętnie — ty mnie znasz przecież — przede wszystkim zaś dałbym ci Spencera i Baina...

Eustachy nie przerywał mu, siedział nieruchomo, słuchał biernie, ale zrezygnował już z jego krytyki i przestał starać się o zrozumienie jej; a tyle w nim powstało odporu i niewiary w Drewnowskiego, że nawet nie czuł się zasmuconym wyrokiem tyle bezwzględny.

Wysłuchał jednak do końca Drewnowskiego, który mówił jeszcze długo, płynnie i z różnych punktów widzenia. Skoro tylko przecież znalazł się w swoim pokoiku, zaraz wziął się do wyszukiwania niebieskich wykrzykników i znaków zapytania, którymi Drewnowski wyilustrował jego powieść i zaczął ścierać je gumą z powierzchni papieru bardzo energicznie.

— Zobaczmy, co powie Wienkiewicz? Marzył trochę o tryumfie nad Drewnowskim.

Wyczyściwszy należycie ślady krytyki jego, tegoż wieczoru jeszcze zaniósł rękopis Wienkiewiczowi, a że nie chciał mu się późną wizytą naprzykrzać, zostawił »Hallali« u stróża wraz ze swoim biletem wizytowym.

— Zobaczmy, zobaczymy! — myślał. I wracał do siebie mocny na duchu.

Ale kiedy wstąpił na wysokość swojego czwartego piętra, duch upadł w nim nagle, jak wali się coś, co jest podtrzymywane sztucznymi sposobami.

Krytyka Drewnowskiego, choć żadnej nie miał wiary w tego człowieka, jednak go

otrula.

Boże wielki! Czyż jego »Hallali« jest istotnie niczem? Dwoma funtami zapisanego papieru?

Wszystkie jasne myśli o przyszłości odstały go i zawładnęła nim rozpacz.

IX.

Dość późno obudził się Eustachy po źle przespanej nocy; spojrzął w okno, przez które wlewało się ze dworu światło jakieś takie przykrobiałe, surowe, martwe — i życie wydawało mu się rzeczą, pozbawioną wszelkiego uroku.

Staął mu w wyobraźni żółty plant kolei, z dwiema błyszczącymi liniami stalowymi i brat starszy, który został właśnie zatwierdzony na stanowisku pomocnika naczelnika i jest, jak mówi matka «figurą»...

Ile to pozostało jeszcze pieniędzy?...

Wraz z tem, co odbierze w redakcyi "Bieguna" za "Ostatnie wiadomości" wystarczy mu, jeżeli będzie bardzo roztropnie się rządził, na dwa miesiące.

A potem?

Potem trzeba będzie upokorzyć się przed Antkiem, cisnąć Warszawę i plunąć na marzenia...

W tej chwili zapukał i wszedł Drewnowski,

w palcie popielatem, kapeluszu na głowie, z ciemno-zieloną teką pod pachą.

— Ja na chwilę idę do redakcyi. Wstąpiłem tylko, aby się zapytać, czy nie gniewasz się na mnie za moją krytykę?

Eustachy miał dla niego uczucie, pokrewne w jakimś stopniu z nienawiścią. Ale rozsądkowi posłuszny odpowiedział spokojnie:

— Skądże znowu, przeciwnie...

Chciał dodać nawet jakieś słowo podziękowania, ale uwięzło mu ono w gardle.

— Mówiłem, co mi nakazywało przekonanie — ciągnął Drewnowski — więc się nie obrażaj. I nie powinienes się zniechęcać, mój drogi, to trudno. Przyszło mi na myśl, że może powieść nie jest właściwą formą, w której twoja indywidualność powinna się uzewnętrznić. I dam ci dobrą radę: spróbuj napisać studyum literackie. Choćby przykład o Starowolskim, co? Nie leż na łóżku do jedenastej, chodź do biblioteki, przeczytaj sobie dzieła Starowolskiego, potem wszystko, co o nim napisano, a zawsze i ze wszystkiego rób notatki — ja chętnie, jak się dobrze odczytasz, pogadam z tobą. Nie idzie przecież o to, abyś pchał się do literatury z grubym tomem odrazu. Patrz, moje dziełko ma wszystkiego trzydzieści cztery strony, a więc dwa arkusiki druku i jedna kartka. No, bądź zdrow i nie marnuj złotego czasu.

Rzucił okiem na stolik.

— A gdzieżeś podział «Hallali»? Co? Możes spalić? Przyznaj się.

— Nie — odpowiedział Eustachy z jakimś głuchem uczuciem jakby zemsty — dałem do czytania Wieńkowiczowi. Drewnowski nie okazał urazy.

— Dobrze, dobrze, owszem — rzekł i wyszedł.

Eustachy przez cały dzień był pognębiony, chodził po mieście bez celu, z głową spuszczoną i szukał ulgi w rezygnacyi.

— Wszystko jedno! — myślał. — Niech dyabli wezmą! Pojadę do Antka! Tak przeżyć, czy tak przeżyć...

Wieczorem poszedł do domu Wolskiej. Może Henryeta już przyjechała? Pragnął tego i nie chciał zarazem. Były to chwile męki, ale i szczęścia, jakie spędzał przy niej i chwil tych zawsze łaknął. Ale dziś był w pognębieniu, czuł, że nie będzie

zdolny przedstawić się jej z dobrej strony, zdobyć się na rzeczy, któreby ją mogły zainteresować i pociągnąć; tembardziej, że wobec niej uczuwał zawsze na sobie jakieś jarzmo własnej niższości, które nie pozwoliło mu nigdy rozwinąć w pełni swoich środków i pokazać się tem, czem jest. Cierpiał też ciągle nad tem, że ona go nie zna dostatecznie, a nie znajdował sposobu dać się jej poznać.

Dziś więc, wyjątkowo, wolałby nie zastać Henryety, a tylko złożywszy rewerencyę krótką pani Wolskiej, uprosić Annę, aby siadła do fortepianu, rozerwać się trochę widokiem jej dużych, tak pięknych i białych rąk i ukoić muzyką ból chybionego życia.

Jednak ledwo mu otwarto drzwi, zapytał uśmiechniętej do niego Marysi:

— Przyjechała panna Henryeta?

— Przyjechała.

— I jest w domu?

— Jest.

Anna i muzyka stały mu się w jednej chwili obojętnymi i napełniło go uczucie słodkiego oczekiwania na chwilę, w której zobaczy najmilszą postać.

Widząc, że Marysia weszła do pokoju Henryety, niezawodnie, aby oznajmić przybycie gościa, pozostał w przedpokoju dłużej, niżby wypadało, spodziewając się może usłyszeć, jakie: «Aa!» lub: «W tej chwili», — nie usłyszawszy jednak nic, nawet szmeru, wszedł do salonu, gdzie pani Wolska karmiła papugę. Prezes, nie zapomniawszy dawnej przyjaźni, skoczył mu odrazu przedniemi łapami na brzuch. Po małej chwili wyszła Anna, w bladej bluzie niebieskiej wyjątkowo dziś jasna, świeża i ładna.

— Przyszedł pan nareszcie — rzekła z miną obrażoną.

I kiwnąwszy mu głową, nie raczyła podać ręki na powitanie.

Chciał ją przejednać komplementem.

— Jak pani dziś ładnie wygląda — rzekł.

Odpowiedziała na to prawie szyderczo:

— Rzeczywiście...

Pani Wolska, kontenta, że pochwalono jej córkę, rzekła:

— A widzisz Andziu, że ci jest dobrze w tej bluzce. A nie chciała już jej nosić.

W chwilę potem weszła i Henryeta.

Była to młoda dziewczyna lat dwudziestu, szatynka, smukła, nietyle zgrabna, ile postawna, poważna i bardzo pewna siebie. Ubrana była starannie i z pewną elegancją, przez dobrą widocznie szwaczkę. Twarz jej, w której nie było ładnych szczegółów, ale w której nic też nie raziło, wyglądała surowo trochę w chwilach powagi, ale najłżejszy uśmiech już ją zmieniał, ożywiał i czynił pociągającą i interesującą. Małe, szare oczy patrzyły spokojnie i rozumnie.

Eustachy znał ją jako dziewczynę inteligentną, lekkomyślną i samolubną. Jej wady miały ten jednak wdzięk, że wiedziała o nich, nie myślała ich ukrywać, ani się niemi nie popisywała. Czarowały też one młodego chłopca narówni z jej zaletami. A kochał się już w Henryecie półtora roku, wkładając całą swoją literacką duszę w wyznania pełne poezji i rozpacz.

Henryeta nie zabraniała mu tej miłości, przyjmowała jego listy, słuchała jego zwierzeń i pochlebstw, ale z konsekwencją nieubłaganą przez to, co mu mówiła, jak również przez to, czego unikała, pozbawiała go cienia jakiegokolwiek nadziei. Pilnowała się tego systemu postępowania surowo nie przez uczciwość — dziewczyna była lekka i lubiła hołdy — ale przez obawę odpowiedzialności i kłopotów. Eustachy przyjmował każdą sytuację, byle go zupełnie od siebie nie odpędzała i zgadzał się poprzestać na roli jej przyjaciela lub poprostu jej niewolnika — w głębi duszy zaś apelował do tego arcydzieła, które prędzej czy później napisze i

które otworzy przed nim szeroko świat cały, a zarazem i to okrutne serce.

Niestety, zbyt często wątpił, czy to arcydzieło napisze.

— Bawiła się pani dobrze na wsi? — zapytał, całując ją w rękę.

— Wybornie. Dawno istotnie tak mile czasu nie spędziłam.

Eustachy doznał niepokoju. Jedyłą pociechą jego było, że Henryeta w nikim się nie kochała i drżał zawsze o to.

— Więc nie tęskniła pani za Warszawą?

— O! to swoją drogą.

— Miała pani powodzenie?

— Nie mogę się skarżyć.

— Zaczyniła pani tam dużo trupa?

Uśmiechnęła się:

— Trochę...

— Sama zawsze niezwyknięta?

— Zawsze, niestety!

Lżej mu się zrobiło.

— Już to pani bez ofiar nie może się ruszyć - rzekł, odzyskując trochę swobody. Pani Wolska zaprosiła go:

— Wszak pan zostanie z nami na herbacie? I wyszła do innego pokoju, aby przygotować wieczerzę.

Anna, na którą ani Eustachy, ani Henryeta nie zwrócili uwagi, słuchała przez kilka minut

o pobycie na wsi, potem, w miejscu, które właśnie zaczynało być interesującym, wstała, usiadła przy fortepianie, poczęła dyskretnie brzdąkać, dobierać akordy, przegrywać melodye, grać wreszcie leciutko.

W końcu zwróciła się do rozmawiających:

— Czy ja państwu graniem nie przeszkodzę? Eustachy był uszczęśliwiony z tego, chociaż

względnie sam na sam z Henryeta:

— Ależ wcale, wcale, przy muzyce się lepiej jeszcze rozmawia.

Anna w tej chwili spuściła mocno ręce na klawisze, wydobyła kilka patetycznych, jęśliwych akordów i zaczęła grać jakąś hałaśliwą i trudną sztukę koncertową.

— Czy pani otrzymała mój list?

— Otrzymałam, ale doprawdy, wybacz mi pan, tak byłam zajęta, i to właściwie głupstwami, ale głupstwa najwięcej czasu zabierają...

— Ja tylko chciałem się dowiedzieć, czy list przypadkiem nie zginął. Myślałem właśnie, że jeżeliby pani potrzebowała książek do czytania...

— Dziękuję. Ale doprawdy nie byłoby kiedy ich czytać.

Więc otrzymała list jego, list, w którym »każda literka całowała ją w rękę« — i nie miała czasu mu odpisać.

— Jak pani dziś wygląda prześlicznie... Roześmiała się głośno.

— Czekałam na to. Prawda! — pytała wesoło, przedrzeźniając go — nigdy jeszcze tak dobrze nie wyglądałam, co?

— Nigdy — odrzekł.

— To znaczy, że jestem coraz to piękniejsza? Chciałabym szczerze.

— Jest pani dla mnie coraz to piękniejszą, bo ja patrzę na panią tak jak artysta, zdolny czuć i rozumieć, patrzy na prawdziwe arcydzieło.

Wydawała mu się niezawodnie najpiękniejszym dziełem boskim na świecie; patrzył na nią z uwielbieniem, słuchał jej z rozkoszą i żal krajał mu serce: »Żeby choć zapytała mnie, com robił przez ten czas?« — skarżył się na nią

w duszy. A nie szło mu w tej chwili o pochwalenie się ze swoją powieścią; gdyby go zapytała nawet nie powiedziałaby, że napisał »Hallali«, bo to zmałało w nim do faktu niegodnego uwagi.

Ale samo zainteresowanie się jej nim dałoby mu jakąś cząsteczkę szczęścia, pomogłoby mu wlec tak ciężką taczkę jego życia. A wydawało mu się, że za tyle miłości i za tyle pokory miał prawo do jakiejś odrobiny jej przyjaźni.

Wrócił tej nocy do domu głęboko nieszczęśliwy.

Więc z nieprzebranej skarbnicy swoich darów Pan Bóg nielitosciwy wszystkiego, wszystkiego mu odmówił — i szczęścia i talentu... Jakaś czarna i bezmierna otchłań otwierała się u jego nóg.

X.

Nazajutrz dzień był jasny i promienny. Oczy Eustachego, po przebudzeniu się, oparły się o duży płat złotego światła leżącego na podłodze, w którym rząd główek gwoździ od mocnego blasku aż się iskrzył. Za oknem stał świat — cały w jednym uśmiechu. W Eustachym zbudziła się dawna energia.

— Co mi pomoże łamanie rąk albo wiercenie wzrokiem dziur w suficie — rzekł sobie. — Jeżeli moje »Hallali« rzeczywiście nic nie warte, to trzeba będzie zasiać na nowo do stolika, zawinąć rękawy i coś innego kropnąć. Hm! dramat może lepiej mi się uda. Jeżeli »Hallali« jest rzeczywiście nic nie warte?

Przypominać mu się zaczęły różne sceny i epizody jego powieści.

— Jakto? Więc ani to, ani to nie miałyby zrobić żadnego wrażenia, nie poruszyć, nie zainteresować nawet czytelnika? Ech! czy to możliwe?

Jednak Drewnowski...

Cóż Drewnowski!... Jest to mól, który zjada książki i boi się świeżego powietrza!

A na przykład Karol, bohater »Hallali«, czy nie jest przeprowadzony od początku do końca logicznie i konsekwentnie, z tą swoją nieumiejętnością życia, która mu w danej chwili rzuca na kark całą bandę nieprzyjaciół? Czy kawałek takiego Karola nie da się odszukać prawie w każdym młodym i niepodległość miłującym chłopcu?

A sceny końcowe w »Hallali!« czy nie są napisane z siłą i prawdą, czy nie tworzą rozzierającego dramatu?

To wszystko ma być niczem?

Więc czemu jest? Na miłość Boską, tyle, tyle innych powieści, które drukują, wydają i czytają?

Postanowił dziś »wstąpić« do redakcji. Może Wieńkowicz przeczytał już »Hallali?«

Me będzie mu się naprzykrzał, o, nie! Rozumie, że to nie każdemu tak pilno, jak jemu w tym względzie. Przesunie się tylko dyskretnie przed oczyma Wieńkowicza. Zresztą to mu zupełnie wystarczy. Po tem, jak na niego Wieńkowicz spojrzy, pozna on: czy czytał, czy nie czytał?

W południe udał się do redakcji.

Jak on jednak dziś idzie tam niechętnie i bez

odwagi! Dlaczego to dziś mocniej, niż kiedykolwiek czuje, iż wciska się w środowisko, które jest mu milcząco i biernie, ale wyraźnie wstrętne?

Oto sam pan redaktor do kasy idzie. Ledwie długą brodą kiwa mu na grzeczny ukłon. Mówią, że jest to miły człowiek. Może... Nie przemówił on do Eustachego więcej, niż jakie dziesięć słów i byłby z pewnością w wielkim ambarasie, gdyby go zapytano: "Panie, kto jest ten młodzieniec, który od dwóch prawie miesięcy, codziennie?..."

Oto pani z administracji, osoba ożywiona, z którą Eustachy nie zamienił dwóch

słów, której jednak spojrzenia wydają mu się jakoś takie ciekawe i niedyskretne, jakby badały: Po co on tu przyszedł. Kto go prosił? Kiedy się to skończy?...
Oto korektor, człowiek siwy, z miną poważną. Pełen jest dla Eustachego wysokich tonów od chwili, kiedy mu poprawił pisownię jakiegoś angielskiego wyrazu.
Oto sekretarz, młodzieniec elegancki, ruchliwy, wymowny, który wie o wszystkim i zna wszystkich, usłużny dla tych, których potrzebuje, niegrzeczny dla tych, którzy jego potrzebują, jawnie Eustachemu niechętny.
Eustachy zna ich wszystkich przecież dobrze, pracował z nimi, znosił nieuwagę redakto-

ra niechęć sekretarza, wysoki ton korektora, niedyskretne spojrzenia pani z administracji. Czemu to jednak dziś tak mu wydelikatniała skóra? Czemu dziś stał się na to wszystko tak wrażliwym?

Ale jest i Wieńkowicz.

Eustachy przesuwa się przed nim, niby śpiesząc za interesem jakimś, po drodze kłania mu się i mówi: »Dzień dobry!« — swobodnie mówi: »Dzień dobry« — bez najmniejszego nacisku — i oddala się...

Nie czytał!

Eustachy na to był przygotowany. Mówi też sobie odrazu: "To trudno, trzeba czekać cierpliwie".

I opuszcza zaraz redakcję.

Na ulicy doznaje takiego wrażenia, jakby mu kto kamień zabrał z piersi.

Dlaczego mi jest tam teraz duszno? — zastanawia się po raz któryś. I zdaje mu się, iż rozumie, czemu dziś nie ma dawnej śmiałości. Bo dziś już nie jest dawnym człowiekiem, bo dawniej wszystko jeszcze było przed nim, a teraz już spróbował się, krok zrobił, wygrał już jedną kartę z pośród swoich atutów. I czeka, czy mu nie zabiją tej karty, jak jakiej nikczemnej młódki.

Dawniej miał odwagę człowieka, który kul

się nie lęka, bo prochu nigdy nie wahał. Dziś — zbliżył się na odległość strzału.

— Zobaczymy, zobaczymy! — powiedział sobie.

Postanowił czekać cierpliwie, marzeniom się nie oddawać, ale i rozpaczy się bronić.

Łatwo to jednak było postanowić — wykonać nie sposób. Myśl jego wychodziła ciągle na spotkanie już to najsurowszej krytyce Wieńkowicza, już to zwycięstwu i tryumfowi.

Aby czas przepędzić, usiłował coś czytać, czemś się zająć, ale roztargniony umysł nie chwycił się książki.

Przepędzał więc dni całe niemal za domem, na spacerze, w ogrodach publicznych. Wróciwszy raz ze spaceru, zastał na stoliku ciekawą książeczkę w formie ósemki, w zielonej okładce. Było to «O determinizmie literackim słów kilka» przez Juliana Drewnowskiego.

Otworzywszy książeczkę, znalazł na pierwszej karcie dedykację. Drewnowski dawał Eustachemu: "tę próbę pogłębiania u nas krytyki literackiej — w dowód prawdziwej życzliwości".

Poszedł mu podziękować.

— Mam już dowody — rzeki Drewnowski — że praca moja nie przechodzi bez uwagi, choć to dopiero sam początek. Kuszewski zaprosił mnie do współpracownictwa w "Gwieździe"...

I to nie wszystko. Zaproponowano mi jeszcze lekcje estetyki na pensji u Długoszewskiej.

Eustachy powinszował mu powodzenia.

Drewnowski pozwolił mu się domyślać, że wielkie plany nosi w głowie.

— O! powodzenie! — zaprotestował. — Powodzenie, mój drogi, jest to wielkie słowo. Zobaczymy, co powie przyszłość. Ale byłby już może czas zamknąć w historii naszej krytyki jałową epokę dyletantyzmu i płytkich aforyzmów, które okrywają nieuctwo, nieraz po prostu bezczelne. Subiektywizm powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia i cały świat wie teraz chyba, że wiele do powiedzenia nie miał. Czuć się daje stanowczo potrzeba człowieka, któryby martwą bryłę krytycznego świata wepchnął na żywotne nareszcie tory. Tak! dziś człowiek zrobił się ciekawym. Chciałbym zaraz wiedzieć: Dlaczego, dlaczego mianowicie? Na słowo już nie chce wierzyć, choćby to było nawet uroczyste słowo honoru. Blizkie końca i w krytyce zdają się być te arkadyjskie czasy, kiedy to każdy pastuch miał dość kwalifikacji na króla. Dziś trzeba umieć i wiedzieć. Zobaczymy zresztą, co powie przyszłość.

Zatarł ręce.

— A cóż ty? Wziąłeś się do czego?

— Czytam trochę — rzekł Eustachy niechętnie.

— Oj! to, to! Czytać jak najwięcej! Nie od nas świat się zaczyna. Tu i owdzie byli ludzie, którzy coś uczynili. Warto zajrzeć. Czy dać ci "O wychowaniu" Spencera? Kapitalne, zobaczysz. Po przeczytaniu może spróbujesz przerobić swoją powieść mniej więcej tak, jak ci to wspominałem. Choć lepiej, żebyś nie leciał za mrzonkami. Sięgnij od razu do podstaw. Powtarzam ci: napisz studium, porządne, gruntowne studium. To cię zbliży do techniki twórczości. Ot! masz moje słowo, jak napiszesz takie studium, sam je zaniosę Kuszewskiemu.

Wróciwszy do siebie, Eustachy zaczął namyślać się. A cóż? Możeby i zabrać się do studium?

Ale była droga daleka. Nad studium tylko w Warszawie pracować można, a Eustachy, mając w kieszeni coraz to mniej pieniędzy i nie licząc na żadną pomoc, począł już w chwilach znużenia myśleć o czasowym przytułku na kolei.

Pewnego dnia wpadł do jego pokoiku Antoni.

— Jakie dyabelne wyżyny! — zawołał, ściskając brata. — Człowiek na prowincyi odwykł od pięt. No, chodź na śniadanie przedewszystkiem.

Eustachy pomyślał sobie: »Czy to nie sam los zsyła mi go, jako jałmużnę!«

Pomiędzy braćmi stosunki były zawsze do-

bre i nawet przyjacielskie, ale nie wypowiadali oni się aż do ostatniej myśli. Antoni nie mógł pogodzić z poczuciem starszeństwa swojego myśli o rzeczywistej wyższości Eustachego i ciągle z tą myślą walczył. Naprowadzało to ich na drogę dysput, które wywiązywały się niewiadomo jak i z czego. Eustachy zresztą porzucał je, jak tylko spostrzegł, że weszli w chaos, a wtedy Antoni gadał jeszcze i w końcu przybierał minę zwycięzcy. Przytem Antoniemu powodziło się, szczęście kładł na karb rozumu i zasługi — Eustachy zaś pędził ciągle jeszcze życie nieskończonego i błędnego studenta. Tembardziej więc Antoni nie chciał ustąpić.

Poszli do restauracyi.

Antoni kazał podać ostryg i dobrego wina.

Eustachy usiłował go gestem powstrzymać od zbytku.

— O! to dobre! — zawołał Antoni. — Kiedyż więc będę jadł ostrygi?

Potem zapytał brata:

— Ty wiesz, że ja zostałem zatwierdzony?

— Wiem, wiesz cię.

— A cóż ty robisz?

— Nic.

— Jakto: nic? Co to znaczy: nic?

— Dosłownie: nic.

— I długo myślisz tem jechać?

— Aż póki pewnego dnia, albo lepiej pe-

wnej nocy nie wejść na most i nie dam stamtąd generalnego szczupaka do Wisły.

— Toś niby nie wiele wymyślił. Nałożył mu ostryg, nalał wina.

— Mała mówiła mi, że pracujesz w redakcji jakiejś?

— Pracowałem chwilowo.

— W jakiej?

— W »Biegunie«.

— A teraz?

— Było to zastępstwo przez wakacje.

— Powieść napisałeś podobno? Eustachy ręką machnął.

Miał bardzo mało w tej chwili w nią wiary i nie chciał z bratem mówić o niej, aby nie przygotowywać sobie późniejszych przykrych eksplikacji.

— No, więc co? — badał dalej Antoni szorstko, choć przyjaźnie.

— A ot! Myślę do ciebie przyjechać. Antoni nie ukrywał swego tryumfu.

— A widzisz! Ja wiedziałem, że tak się skończy. Nie lepiej to było przyjechać od razu, wtedy, kiedy ci napisał. Co to było udawać dumnego.

— Nie udawałem dumnego, ale po prostu miałem inne plany.

— I wzięły w łeb? Co?

— Prawie.

Eustachy odwrócił na co innego rozmowę, niemile dotknięty tonem Antoniego.

— Byłeś w domu? — zapytał.

— Byłem. Dałem matce dwadzieścia pięć rubli. Niech ma staruszka własne fundusze!

— O! toś dobrze zrobił. A kupiłeś małej cukierków?

— Co tam cukierków! Zobowiązałem się płacić jej muzykę.

— Złoty jesteś!

— Zajmij się tem, dopilnuj.

— Bądź spokojny.

— I napisz: ile tam będzie potrzeba. Przyszłe co miesiąc. I bądź spokojny — nie chybię. A weźcież tam jej niezłą nauczycielkę. Jak to można było zaniedbać!...

Eustachy tem mocniej czuł się zniechęconym.

— A ja nic — pomyślał — ani sobie, ani komu.

I znowu zwrócił rozmowę na kolej.

— Kolej, kolej — mówił Antoni — ty tylko sobie nie imaginuj, że to tak łatwo na kolei. Zobaczysz zresztą. Ile ty myślisz, że dostaniesz na początek?

— Ach! bo ja wiem.

— Jednak...

— Ze trzydzieści rubli.

— A jakże!

— Dwadzieścia...

— Piętnaście! A i to jeszcze będzie dobrze. Ja sam, mój miły, zaczynałem od tej skromnej sumki, choć mam i kwalifikacje specjalne, i jak widzisz głowę na karku.

Ale wy to sobie wyobrażacie, że tam na kolei, to ludzie nic innego nie robią, tylko siedzą i czekają z otwartymi rękami na tych, którzy są łaskawi wstąpić.

Ho, ho! Spróbujcie, a zobaczycie. Wiesz co, Stachu, jak cię kocham, zrób jedną próbę. Spróbuj dostać się do jakiegokolwiek biura na kolei tak, z ulicy, jak jesteś. Co ci to szkodzi. Zrób doświadczenie, co?

Eustachy wysłuchał go w milczeniu do końca, odprowadził na kolej, uściskał bez żalu — i na jego: "A więc do prędkiego zobaczenia!" odrzekł: "Tak, tak, niezadługo".

Nadzieje i zwątpienia, któremi żył w ostatnich dniach, tak w końcu go zmęczyły,

iż zobojętniał i zmartwił. Szara perspektywa mizernej egzystencji w jakimś biurze kolejowym na dalekiej stacyi wcale go nie przerażała. Wszystko jedno co i jak, wszystko jedno. Ot, choćby i dziś śmierć sama przyszła.

XI.

Nazajutrz poszedł do rodziców na obiad.

— Widziałeś się z Antkiem? — zapytała go matka zaraz na wstępie.

— Widziałem.

Była dziś jeszcze rozczulona.

— Drogi mój syn! — mówiła głośno i nawpół do siebie. — Pociecha moich siwych włosów.

Po obiedzie zapytała Eustachego z obawą niejaką.

— I cóż u ciebie słycać.

— Nic — odrzekł sucho.

— Ciągle nic — powiedziała.

Zacięła usta, wymownie głową kiwnęła i w milczeniu zatopiła się w robótce.

Ojciec był łagodny dnia tego. Chodził po pokoju z rękoma w tył zarzuconemi, jakby zatopiony w myślach i dwa razy podszedł do komody i przeliczył pieniądze.

Za każdym razem

po dokonaniu tej czynności długo, głęboko, manifestacyjnie wzdychał, jakby chciał Eustachemu dać do poznania, że życie jest okrutnie ciężkie i że mu bardzo wiele brakuje do tego, co mu potrzeba.

Bojąc się jednak, czy te westchnienia będą dość wymowne, przysiadł się na kanapę do syna i zaczął się skarżyć:

— Żebyś wiedział, jak to łajdactwo płaci — jak z kamienia. Czego nie wydrzesz, tego nie masz. A tu podatki idą, niech Bóg broni. A reperacye, to czysta ruina.

Wczoraj zapłaciłem blacharzowi trzydzieści dwa ruble, niech ci matka powie...

Eustachy obojętnie kiwał głową. Na ostatnie słowa zwrócił się w stronę matki, która wzruszyła ramionami.

Potem, przez ciekawość prostą, zapytał się matki na boku:

— A ile blacharz wziął?

— Sześć rubli.

Był to dzień pochwał dla Antoniego.

O lekcjach muzyki wiedział nawet ojciec.

— Słyszałeś? — zapytał Eustachego.

— Słyszałem.

— Jaki to porządny chłopak. Jak on się pokierował.

Eustachy usiadł nareszcie w kąciku z Janinką.

— Masz ochotę do muzyki?

— Mam.

— I będziesz się uczyła pilnie?...

— Będę.

— Jak zobaczę, żeś zrobiła duże, duże postępy, to dostaniesz odemnie laleczkę.

— Dobrze.

— Ale ładną laleczkę. Taką, co sama oczy zamyka, jak ją położyć do łóżeczka.

— Dobrze.

Spojrzał melancholijnie na stojący przy ścianie fortepian.

— Tylko jak ty na takim gruchocie będziesz się uczyła?

— Nowego mi nie kupią, bądź pewny.

— Ja się dziś dowiem o nauczycielkę. Mam znajomą jedną, która kończy konserwatorium; ona mi poradzi.
Od rana myślał o tem, że dziś może zobaczyć Henryetę.
Wprost z Gołębiej poszedł do domu pani Wolskiej.
Henryeta wysła »tylko co«.
— Takie już moje szczęście! — pomyślał z goryczą, widząc, że nic mu się nie wiedzie.
W dodatku Anna powitała go chłodno i niegościnnie.
— A ja właśnie do pani przyszedłem z prośbą!

— Do mnie? Doprawdy?
Jej pytania brzmiały jakąś impertynencyą.
— Z prośbą o radę.
— Ciekawa jestem, jaką ja radę mogę dać panu?
— Jakaś dziś zła — pomyślał.
I aby ją rozbroić, a przynajmniej nie podrażnić bardziej, mówił do niej jak najuprzejmiej i słodko:
— Jako specjalistka, panno Anno. Sprawa jest taka: mam siostrzyczkę, która...
I przedstawił jej położenie Janinki, która dzięki opiece starszego brata, będzie mogła wrócić do przerwanej nauki.
Anna słuchała w milczeniu.
Kiedy skończył, zdawała się chwilę namyślać, potem rzekła łagodnie:
— A cóż? Mogłabym jej dawać lekcye. Eustachy zaprotestował żywo.
— Ja wcale nie przyszedłem panią o to prosić. Pani jest artystką, a moja siostra prawie, że nic nie umie. Chciałem prosić, aby pani wyszukała nauczycielkę, która daje początków...
— Mogę sama. Właśnie mam czas.
— Nie, panno Anno! Pani, która tak nienawidzi w ogóle lekcyi...
— Ech! — machnęła ręką.
— Ona już jest inna zupełnie — powiedział sobie.

— Ile lat uczyła się siostra pana?
— Dwa.
— A dawno nie gra?
— Dwa lata.
— Jak jej na imię?
— Janina.
— Ma u siebie fortepian, albo pianino?
— Ma fortepian, ale tak stary, że pamięta chyba czasy naszych prababek...
— W takim razie mogłaby się egzycytować na moim.
— Ot, to dopiero! — myślał zdziwiony.
— Więc pani byłaby tak łaskawą? — pytał, nie wierząc jeszcze.
— Owszem. Niech pan przyprowadzi siostrę.
— Kiedy, proszę pani?
— Wszystko jedno. Jutro choćby. Najlepiej o czwartej.
— Muszę pani powiedzieć — dodał — że brat mówił mi, abym wyszukał dobrą nauczycielkę; to znaczy, że przygotowany jest on nie żałować na ten cel pieniędzy.
Wzruszyła szorstko ramionami. Eustachemu wydawało się, że już traci dobre usposobienie.
— Pani mi powie sama warunki — pospieszył.
— Powiem — rzekła chłodno.

Ale to była chwilka. Dobre usposobienie dziewczyny polepszyło się jeszcze.

— A pana siostra ma trochę poczucia? — zapytała.
— Ma słuch jaki taki.
— Szkoda byłoby zmarnować.
— Teraz jestem o nią spokojny.
— I dla mnie to będzie dobrze — rzekła po chwili ze szczerością, która była rzadką u niej łaską — nie powinnam zaniedbywać pedagogiki. Pan Bóg wie, czy spełni się to, o czym mi się marzy, czy nie; a lekcje lekcyami; to mnie nigdy nie zawiedzie.
— Pani wątpi o sobie?..
— Czasem, chwilami... nie. A pan? — zapytała nagle, zwracając z niezwykłym zaufaniem na niego jasną swoją twarz.
Ja? Ja w panią wierzę.
— Szczerze pan to mówi?
— Szczerze. Westchnęła.
— Dałby Bóg! Eustachy wstał.
— Więc do jutra? — rzekł.
— Tak. czwartej.
— Nie umiem, doprawdy, podziękować pani...
— Będzie na to jeszcze dużo czasu — rzekła wesoło.

I uścisnęła mu rękę.

— Dziś możnaby ją było do rany przyłożyć — myślał Eustachy wychodząc — ale to będzie wielki mechanik ten, który potrafi stale do ładu z nią trafić.

XII.

Nazajutrz od rana poczuł w sobie Eustachy jakiś przypływ energii i dzielności.
— Młody jestem — mówił sobie — świat przedemną. Czyż jedna próba ma już decydować o wszystkim? Sto prób uczynić należy, sto!
Co go jednak męczy i obezwładnia (zauważył), to niepewność. Żeby raz już, jak najprędzej skończyć z »Hallali«. To »Hallali« wygląda, doprawdy, jak olbrzymi głaz, rzucony na wązką jeszcze ścieżynę jego życia.
Przeszkoda: tama! Cofać się nie chce, a iść naprzód nie może przez ten kamień przeklęty. Jak mu już obrzydło to «Hallali», jak mu ono obrzydło!
To też postanowił sobie: jak tylko wróci do do jego rąk ten cenny, ten wypracowany, ten wykołyszany, jak dziecko drogie, rękopis, nie pochowa on go w walizie z brudną bielizną, o nie!

Tam spoczywają niewiniątka; »Hallali« będzie spalone.
Tylko kiedyż ten cenny rękopis wróci do jego rąk? Zaczął myśleć o Wieńkowiczu jak najgorzej. Jak to ludzie są wysoce niesumienni! Jak to nawet przy dużym talencie i zdawałoby się subtelnej znajomości ludzkiej natury pozbawieni być mogą delikatności serca! Czyż ten człowiek przez doświadczenie, przez rozum, przez intuicję, przez talent nie wie, że tam ktoś czeka na jego słowo, jak na wyrok i w czekaniu tem życie swoje zawiesił? A! świat, jest to pewna suma marności, kombinująca się w uczone odcienie na tle czasu i przestrzeni, nic więcej...

Ale wszystko jedno! Na tym świecie trzeba sobie zrobić miejsce — i Eustachy zrobi sobie miejsce.

Puk, puk!

— Proszę.

To Drewnowski — wstąpił idąc do redakcji.

— Przyniosłem ci ostatni numer »Gwiazdy«. Jest w ogóle bardzo interesujący i

znajduje się tu recenzja o moim dziełku. Uważam to za wzór dobrze napisanej recenzji, co u nas jest więcej, niż rzadkie. Dlatego ci przyniosłem, abyś przeczytał.

Była to pierwsza recenzja, jaka się ukazała o pracy Drewnowskiego i niezwykle pochlebna.

Drewnowski, chociaż uważał, że mu się wszystkie pochwały należą, jaśniał przecież od nich. Uważał on za słabość pokazanie tej recenzji Eustachemu, ale nie był w stanie jej zwalczyć. Poprzestał więc tylko na osłonięciu jej pozorami. Eustachy natychmiast po wyjściu Drewnowskiego wziął w rękę numer »Gwiazdy«. »Poważną pracą z zakresu krytyki literackiej, traktowanej jako umiejętność, mamy dziś do zanotowania. Pan Julian Drewnowski, młody autor rozproszonych po pismach naszych artykułów, wystąpił z pracą samodzielną, niewielką pod względem ilości kartek, drukiem zaczerpniętą, ale cenną przez szerokość objęcia przedmiotu i głębokie często wniknięcie w jego istotę...«

Zagrała w Eustachym zazdrość, ale na chwilę tylko dał on jej przystęp do siebie. I mój dzień przyjdzie — powiedział sobie z wiarą.

Skończył czytanie artykułu o Drewnowskim ze spokojem i zaczął spacerować po swoim pokoju od ściany do ściany. Zbierać się w nim poczęły chęci do walki, do pracy. Myśli jego krążyły dokoła tej idei, którą mu niedawno podsunął Drewnowski. Możeby istotnie fałdów przysiąść i napisać studium o Starowskim? Praca, którą w to włoży, nie będzie zmarnowana — to nie powieść, której losy cztery wiatry zawsze biorą w opiekę. Przez czas, kie-

dy chodził po pokoju krokami coraz to energiczniejszymi, postanowienie, zarysowane zrazu błędym konturem projektu, dojrzywało w nim szybko. Wreszcie powiedział sobie z brawurą: Ech! czasu szkoda — i począł się myć i ubierać tak pospiesznie, jakby chciał powetować jakieś poważne straty.

Potem zaszedł do pokoju Drewnowskiego, otworzył encyklopedyę na literze S, odszukał nazwisko Starowskiego Szymona i wynotował sobie na kartce daty i tytuły dzieł jego.

Kiedy kończył notatkę, zegar począł wydzwaniać dwunastą.

Eustachy szybko porwał za kapelusz.

Postanowił zacząć pracę od dziś, zaraz. Pójdzie do biblioteki Krasińskich i przeczyta sobie dzieła Starowskiego. Żeby tylko znalazł jeszcze w redakcji Drewnowskiego. Da on mu kartkę rekomendacyjną, bo w bibliotece Eustachego nie znajdują. Dwunasta! Ech! jak się pospieszy, to może jeszcze złapać go.

Poleciał więc do redakcji.

Duszę miał nanowo mocną i świeżą, i to go radowało. Jedyne prawdziwe, realne kłopot — pieniądze, wcale nie przedstawiały mu się jako znowu tak bardzo groźna kwestya. Wystarczy mu tylko jadać obiad co drugi dzień, aby o dwa razy powiększyć spokój swojej egzystencji. Ostatecznie dadzą mu przecież jeść w domu. Robił

sobie wyrzuty, że ta sprawa odstraszała go tak mocno kilka dni temu, wczoraj jeszcze. Ot, co to jest mierzyć życie małą duszą.

Jak śmiało dziś uderzył ręką w redakcyjną klamkę.

W pierwszym pokoju siedzi za kratą drewnianą pani z administracji, pani sztywna i chłodna. Eustachy składa jej grzeczny ukłon, jak zwykle. Jaka dziś uprzejma! Spojrzała na Eustachego z kokieteryą bodaj; ukłoniła sio tak wyraźnie, uśmiechnęła się.

To mu jeszcze ducha dodało.

— Jeżeli Drewnowskiego niema — pomyślał — poproszę o rekomendacyę kogokolwiek. Wszedł do dużego pokoju. Przy dużym stole, otoczony papierami, siedział sam

korektor.

Eustachy zdaleka rzekł mu:

— Dzień dobry!

Korektor oderwał od rękopisu swoje wołowe, zawsze niezadowolone oczy i ujrawszy Eustachego, zapytał go z jakąś słodyczą w głosie:

— Pan chciałby się z redaktorem widzieć? Eustachego zadziwiło to zapytanie.

— Nie — odrzekł.

I zapytał po chwili:

— Drewnowski już wyszedł?

— Wyszedł, proszę pana.

To dziwne. Stary korektor, który przez wszystkich lekceważony, zaznaczał swoje miejsce w redakcyjnej hierarchii okazując lekceważenie Eustachemu, wydawał się dziś innym, bez pozy, przystępnym, wyjątkowo grzecznym.

Eustachy zazwyczaj unikał z nim zetknięcia. Dziś pozwolił sobie na nowe zapytanie, prawie zbyteczne.

— Wieńkowicz nie przyszedł.

— Nie, i napisał, że dziś nie przyjdzie.

Eustachy przez chwilę doznawał uczucia złości. »Ja nigdy się nie dowiem jego zdania*. I przyszło mu na myśl napisać do Wieńkowicza kilka słów krótkich a węzłowatych z prostym żądaniem zwrotu rękopisu.

W tej chwili wszedł szybko jak zwykle z rozwianemi, niby skrzydła, połami długiego surduta Jański, sekretarz redakcyi.

Na widok Eustachego uśmiechnął się i podszedł do niego z wyciągniętą zdaleka ręką.

— Czy widziałeś pan: »U wrót rajy?« — zapytał.

— Nie — odpowiedział Eustachy, zdziwiony tą niezwykłą uprzejmością człowieka, który jawnie i skrycie był mu zawsze wrogi.

Jański zaczął zaraz opowiadać mu o tem dziele młodego poety holenderskiego, wchodzącego w modę. Podkreślił oryginalność pomysłu, potem podniósł piękność zakończenia. W końcu

powiedział, że Eustachy powinien zobaczyć to koniecznie.

Eustachy słuchał jego mowy, spodziewając się ciągle czegoś. Ale niczego się nie doczekał.

Jański chciał ot, tak powiedzieć mu tylko swoje uwagi o nowej sztuce.

Potem odszedł do swego biurka.

Stamtąd zaraz znowu zwrócił się do Eustachego:

— Czytał pan artykuł o studentach?

— Nie...

— Bardzo ciekawy. Dziś idzie. Może pan zechce przejrzeć?

I podał mu długi pasek zadrukowanego na jednej stronie papieru.

Eustachy zrozumiał, że Jański zupełnie inaczej go dziś traktuje. Ośmielony, postanowił skorzystać z tej niespodziewanej i niezrozumiałej zmiany w jego usposobieniu i poprosił go o rekomendację do biblioteki Krasińskich.

Jański natychmiast wziął blankiet redakcyjny i pisać począł:

«Pan Eustachy Żurski, nasz stały współpracownik...

— Zamierza pan pracować widocznie?

— Tak, piszę studyum...

— Historyczne? literackie?

— O Starowskim.

Jański, lekko zdziwiony, spojrzął na niego:

— O Starowskim?

— O Starowolskim.

Jański uprzejmie się uśmiechnął, podpisał papier, przycisnął pieczętkę i podał go Eustachemu.

Eustachy, ujęty jego uprzejmością i uczynnością, uściśnął mu serdecznie rękę z podziękowaniem. Jański na ten mocny uścisk odpowiedział jeszcze mocniejszym. Eustachy zarazem żegnał się.

— Do widzenia! — rzekł.

— Nie pójdzie pan zobaczyć się z redaktorem? — zapytał Jański.

— Nie — powiedział Eustachy.

I zastanowił się nad tem pytaniem, które po raz drugi słyszy. Dlaczego miałby się zobaczyć z redaktorem? Ale pilno mu było do pracy, więc się nad tem dłużej nie zastanawiał, schował blankiet rekomendacyjny do kieszeni, uklonił się korektorowi i pożegnany uprzejmym uśmiechem Jańskiego, wyszedł.

W pierwszym pokoju otrzymał znowu kokieteryjne spojrzenie pani z administracji, spojrzenie tak wyraźne, iż pomyślał sobie: Co u licha? Czyżbym wpadł nagle babie w oko?

Kiedy zbliżył się do klamki, ukazał się we drzwiach redaktor. Eustachy złożył mu ukłon pełen uszanowania, on zaś zmienił się cały w jednej chwili, nachylił głowę ruchem pełnym

uprzejmości, twarz ułożył do uśmiechu i rozłożył ręce w powitalnym geście.

— Pan już wychodzi? — zaprotestował. — Ależ ja mam właśnie do pana interes. Podał mu rękę i nie wypuszczając jego ręki ze swojej, zaprowadził do swego gabinetu.

— Chciałem właśnie pomówić z panem o »Hallali«...

O »Hallali?« Zdumienie i radość ogarnęły Eustachego. Otworzył oczy szeroko i wyjąkał:

— O »Hallali?«

— Niechże pan usiądzie, proszę! — ciągnął redaktor uprzejmie, ogarniając młodego autora spojrzeniami, pełnymi zaciekawienia. — Pali pan? Spodziewam się, że pan nie poczynił żadnych zobowiązań, ani obietnic, prawda? »Biegunowi« z prawa chyba należy się pierwszeństwo. Mybyśmy chętnie wzięli piękną pańską powieść. Będzie ona u nas w dobrem towarzystwie, którego pan nie potrzebowalibyś się wstydzić...

W głowie Eustachego odbiły się tylko trzy słowa z całego tego przemówienia:

»Piękna pańska powieść«... ale odbiły się mocno; reszty nie dosłyszał i nie zrozumiał.

I nagle stała się rzecz dziwna: cały pokój redaktorski wraz z biurkiem, sofą o zielonej skórce, szafką na pisma i samym redaktorem, siedzącym na fotelu zachwiał się, potem ruszył

i zaczął szybko bardzo kręcić się w kółko, tak się jednocześnie bujając, że Eustachy widział łysą, świecąca się czaszkę redaktora i jego dużą siwą brodę raz trochę nad sobą, to znowu trochę pod sobą.

Redaktor, jakby do takiej jazdy był przyzwyczajony, nic sobie z niej nie robił; mówił dalej, ustami poruszał, uśmiechał się oczyma, rękami czynił gesty. Szum wirującego pokoju głużył jego słowa,

Ta jazda nie trwała długo. Pokój po kilkunastu obrotach zatrzymał się prawie nagle, zakołysał się raz jeszcze i drugi — i stanął.

Szum też zaraz ucichł i Eustachy mógł rozróżnić słowa redaktora, ciągle jeszcze dopytującego się, czy nie mówił z kim o »Hallali?«...

Czy mówił z kim o »Hallali?«

— Nie... Z jednym Drewnowskim. Redaktor nie rozumie.

— Z Drewnowskim? Jako z Drewnowskim?...

— Z Drewnowskim mówiłem, z jednym Drewnowskim.

Redaktor nie wie ciągle, co to znaczy.

— Ale pan nie przyrzekał? Eustachy odzyskuje nareszcie swobodę.

— Przrzekłem jedno tylko — powiada z brawurą — i to tylko sobie, że jak powieść wróci do moich rąk, natychmiast urządzę jej ceremonię całopalenia.

Redaktor brwi podnosi.

— Spalić? Dlaczego?

— Mnie się zdaje, że ja napisałem tak coś podłego...

Redaktor spogląda na Eustachego z tą przyjemną wyrozumiałością, z jaką zakochany patrzy na piękną kokietkę, zapewniającą, że jej się zdaje, iż jest brzydka.

— Me spali pan — rzekł — bo powieść jest już w moich rękach...

— Wieńkowicz... — zaczął Eustachy.

— Nie pytałem. Zabrałem. Rozjaśnił się Eustachy, jak dzień letni.

— Dziękuję panu redaktorowi — rzekł do głębi poruszony.

— Co pan pisał przedtem?

— Nic. Próbowałem sto razy coś napisać i nigdy nie mogłem dojechać do końca...

— Pierwsza.

Redaktor znał »Hallali«. Wczoraj właśnie było u niego cotygodniowe zebranie, na które Wieńkowicz przyniósł rękopis młodego i nieznanego autora, opowiedział początek powieści i przeczytał koniec, z ośm ostatnich rozdziałów. Zachwyt ogarnął wszystkich; wszystkie ręce do oklasku się złożyły.

W dyskusji, która się z tego wywiązała, ten i ów miał to i owo do nadmienienia, ale

jedno pozostawało niezawodnym: do literatury wszedł nowy talent.

Redaktor, spotkawszy młodego autora, przyjął go wedle miary wczorajszych zachwytów; przypatrując się mu jednak i widząc go młodym i skromnym, mało wymownym i mało pozornym, z dużą czupryną, źle uczesaną, uszczęśliwionego, że »Biegun« chce jego powieść drukować, ochłonął widocznie.

— Owszem rzekł — owszem, powieść jest wcale dobra. Bierzemy ją; może pan to uważać jako rzecz skończoną.

Eustachy raz jeszcze podziękował. W tej chwili wszedł Tomasz, niosąc w ręku uczernionych dwa duże arkusze druku.

— Cenzura... Eustachy wstał.

— Niechże pan przychodzi do nas — rzekł redaktor protekcyjnie.

Eustachy się uklonił.

— Więc, panie redaktorze — rzekł, biorąc jego rękę na pożegnanie — ja mam rzeczywiście talent?

Redaktor przesunął rękę po brodzie.

— Gdyby pan nie miał talentu — odpowiedział z przekonaniem — to »Biegun« nie wziąłby pańskiej powieści.

Eustachy wyszedł z redakcji, nie czując

ziemi pod sobą. Wielki tryumf grał mu w duszy. Był bardzo szczęśliwy i bardzo spokojny.

Ma talent, prawdziwy talent... »Hallali« jest to piękna powieść...

»Więc marzenia moje się spełniły«...

...Był to już inny człowiek.

XIII.

Poszedł natychmiast do Wieńkowicza. Zastał go w domu, owiniętego w gruby szlafrok watowany, pokaszlującego trochę. Pokazało się, że Wieńkowicz wysłał dziś rano list do Eustachego, zbyt późno jednak, aby ten mógł go otrzymać przed

wyjsiem z domu.

Po jaśniejszej twarzy Eustachego, po jego oczach, w których grało szczęście, Wieńkowicz poznał, że młody autor już wie o swoim powodzeniu.

— Tak, byłem w redakcyi — potwierdził Eustachy — rozmawiałem z redaktorem...
Wieńkowicz otulił się szlafrok i rzekł głosem, lekko przysłoniętym przez chrypkę.

— Chciałem mieć przyjemność pierwszy powitać w panu artystę. Ale mniejsza o to.
No, panie, winszuję panu...
Wyciągnął do niego rękę.

— Więc, panie — rzekł Eustachy — ja mam naprawdę talent?

— Niewątpliwy — i duży.

— Rzeczywiście? — dopytywał.

— Ależ tak, tak.

Podsunał mu fotel śpiesznym ruchem.

— Za sekundę będę panu służył. Słyszę, że się tam woda gotuje. Muszę ziółek sobie naparzyć. Niechże pan siada.

Eustachy, zanim usiadł, rzucił wokoło okiem, bez ciekawości zresztą, a choć mu w tej chwili. wszystko, oprócz »Hallali«, było bezwzględnie obojętne, spostrzegł jednak, że Wieńkowicz urządził się tu z niemałą wygodą i pewnym artyzmem. Było to mieszkanie kawalerskie: przedpokój obszerny, duży gabinet o dwóch oknach i mała sypialnia. Na ścianach kilka obrazów, sporo szkiców i nieprzeliczona ilość fotografii widoków i dzieł sztuki; trzy szafki z książkami, ogromna nieszka otomana, fotel na biegunach; duże biurko, stojące na białej skórze niedźwiedziej, na biurku dzienniki i fotografia w stojącej ramce. Eustachy i na fotografię rzucił spojrzenie: była to główka młodej dziewczyny z profilu, twarzyczka ładna i zadowolona, o rysach miękkich i wszędzie mile zaokrąglonych bez najmniejszej przesady, z główką w loki ufryzowaną, jak laleczka. Okna wpuszczały dużo światła do gabinetu, ale nie było do nich przystępu: ogród zie-

leni rozmaitej stał przed każdym, w doniczkach, na ziemi i na czarno pomalowanych schodkach; chryzantemy kwitły.

— Gdy idzie o moje zdrowie — mówił Wieńkowicz, wracając do gabinetu — jestem nudny i drobiazgowy, jak stara dewotka. Mam jakiś wrodzony, naturalny wstręt do chorowania — żartował — wstręt, powiadam panu, nieprzewyciężony. Ale mówmy o panu...

Teraz dopiero dowiedział się Eustachy historii swego powodzenia.

— Nie mogłem się zabrać od razu do czytania pańskiej powieści — mówił Wieńkowicz

— bom był własną zajęty. Przerabiałem ostatnie rozdziały swoich »Biegalskich«...

po raz nie wiem już który... dwudziesty chyba. Dopiero wczoraj rano zacząłem

czytać »Hallali«. I jak zacząłem, tak już nie wypuściłem z ręki aż do końca.

W Eustachym duch zamarł z radości.

— Więc, proszę pana, ja mogę liczyć na mój talent?

— Naturalnie.

— I poświęcić się literaturze?

— To jest pański obowiązek... Otóż wczoraj akurat, wtorek, dzień zebrania u

redaktora. Poszedłem na nie z pańską powieścią pod pachą. Trochę im

opowiedziałem, trochę przeczy-

tałem, sporo nawet przeczytałem. Bardzo się pańska powieść podobała, bardzo...

— I wszyscy się zgodzili, że ja mam talent?

— Wszyscy. Jednym się podobało oczywiście trochę mniej, innym więcej, wielu —
bardzo. A było osób z piętnaście. Panie, dziś pan jesteś już głośny...

»Dziś jestem już głośny!« — powtórzył w myśli Eustachy.

Wieńkowicz poszedł przynieść sobie ziółek, napił się, skrzywił i jakby od tej goryczy zmienił ton:

— Powiem panu teraz, zem czytał im same tylko dobre ustępy i rozdziały.

— Są i złe? — szepnął Eustachy.

— Niektóre figury nie wyszły. Przedewszystkiem bohaterka...

I zaczął Wieńkowicz akt oskarżenia formalny układać przeciwko tej bohaterce, która nie wyszła. Dlaczego ona to zrobiła? a dlaczego tamto zrobiła? Dlaczego powiedziała to? a dlaczego powiedziała tamto?

Eustachym niepokój zawładnął.

Niekonsekwentna jest Helena w »Hallali«, nie tłumaczy się dość zrozumiale, zwłaszcza w końcu, niejasna...

— Ale pomimo to — zapytał Eustachy — w powieści znać jest talent?

— Powieść jest dobra, a będzie zupełnie dobra, jak pan przerobi Helenę...

Eustachy się rozjaśnił naprzód, a potem zastanowił. Oceniał trafność krytyki Wieńkowicza.

— Ja to trochę czułem, powiem panu, pisząc- rzekł — czułem mianowicie, że Helena może w każdym miejscu zrobić wszystko, co mnie się będzie podobało...

— Widzi pan, to i źle. Charakter nie jest postawiony. Gdybyś pan ją dobrze zrobił, to robiłaby ona to tylko, coby musiała, a nie to, coby się panu podobało.

Radził Eustachemu wziąć od redaktora rękopis i przerobić.

Eustachy rzeki chętnie:

— Dobrze, dobrze.

Ale zaraz nasunęły mu się wątpliwości.

— Tylko ja nie wiem, czy ja potrafię dobrze przerobić. Widzi pan, przyznam się panu że ja nie rozumiem kobiety wogóle.

Wieńkowicz przechylił się na fotelu i zrobił minę trochę zdziwioną:

— Nie rozumie pan kobiety? A cóż to jest tak mądrego? Kobieta? Co to trudnego? Co to niezrozumiałego? Zdaje się panu. Niech pan tylko popatrzy w życie uważnie, a po prostu ze zdrowym rozsądkiem. Męczyzna często jest trudnym, bo wiele czynników nieraz składa się

na grę jego życia. Ale kobieta? Proste to takie, nieskomplikowane, niewinne. Zaczął mu dawać praktyczne wskazówki. Ot, Helena na przykład. Cóż to jest dziwnego w niej. Ani zła, ani dobra, zwyczajna dziewczyna; niech się zachowuje zwyczajnie, bez sztuk.

Eustachy, który otwierał Wieńkowiczowi coraz większy kredyt zaufania, zaczął wierzyć, że kobiety są istotami prostymi, nieskomplikowanymi, niewinnymi.

— Panie, a jak to przerobię, to będzie dobra powieść?

— Będzie doskonała.

— Więc, panie, to jest fakt, to nie ulega już wątpliwości, że ja mam talent?

— Fakt, fakt...

— Bo ja będę murował na tem.

— Powodzenia...

Wieńkowicz napił się jeszcze ziółek, skrzywił się i wobec nalegania Eustachego, zaczął jakby dowodu szukać na poparcie swego twierdzenia:

— Wprowadziłeś pan do powieści figury żywe, prawdziwe, które interesują czytelnika. Pańskich ludzi się widzi, słyszy, rozumie; dobrym dobrze się życzy, nieszczęśliwym się współczuje. Jakież może być inny dowód talentu?

Eustachy gorąco mu podziękował za zajęcie się jego sprawą, zyczliwość, zachętę.

— A przerobi pan powieść?

— Przerobię.

— Koniecznie, koniecznie.

— A pozwoli pan po przerobieniu przynieść sobie do przeczytania?

— Z przyjemnością.

I już w przedpokoju, Eustachy raz jeszcze powiada:

— Bo jeżeli ja mam talent, na którym można polegać... co, panie?

XIV.

Eustachy poszedł do dobrej restauracji, na dobry obiad. Co ma sobie żałować. Marzenia jego ziściły się. Cały świat stanął przed nim otworem. Wypił przy bufecie dwa kieliszki śliwownicy, zakąsił tem i owem i zajmąwszy miejsce przy oknie kazał podać sobie zupę rakową i majonez z łososia. Kiedy garson oddalił się, Eustachy nie mógł powstrzymać błęgiego uśmiechu na ustach. Zupa rakowa! Majonez z łososia! Nie wypuszczał z ręki karty restauracyjnej. Przecież to dziś, dziś rano zrobił solenne postanowienie jądania obiadu co drugi dzień. Więc ma talent. I duży — jak powiada Wieńkowicz. Niezadługo zatem w odcinku "Bieguna" zaprezentuje się światu nowy autor. Eustachy Żurski. Świat będzie musiał przyzwyczaić się do tego nazwiska, chociaż nie jest ono osobliwie dźwięcznym. »Hallali!« Sen zamienił się w rzeczywistość. Wyjrzał przez okno. Zmrok ogarniał mia-

sto, zmrok rychły dnia jesiennego i bezsłonecznego. Wiatr wiał widocznie po ulicy, mężczyźni szli nachyleni naprzód, suknie kobiece w tył odrzucał, a przed restauracją stał nieruchomo posłaniec, z twarzą znudzoną i kwaśną. Mimo to świat wydał się Eustachemu pięknym i pełnym zatajonych uroków.

Skończywszy zupę rakową i zabierając się do łososia, zamówił kotlet barani z sosem soubise.

Przez jego głowę kilka razy już przeleciała myśl o Henryecie. Kiedy wychodził z redakcji »Bieguna« raz, drugi raz w mieszkaniu Wieńkowicza i potem w drodze do restauracji — ale nie zatrzymywał się przy niej dłużej. Myśl zaś ta czekała przy progu świadomości cierpliwie, jak ten, kto ma interes ważny, stoi przy drzwiach, kiedy niekiedy popukując.

Teraz Eustachy oddał się cały zastanowieniu, jakie zmiany nowa jego pozycja wprowadzi w nieszczęśliwą dotychczas jego sytuację miłosną. Nie może on przecie stać ciągle na tym samym nieruchomym punkcie. Za długo był przed tą dziewczyną czemś pokornym bez granic, istotą bez woli i — przyznać się do tego trzeba — bez ambicyi.

Na chwilę to zastanowienie przerwał, aby zamówić pierogi leniwe po baranym kotlecie. Teraz jest już innym człowiekiem. Teraz musi trochę podnieść głowę. Czuł, czuł wyraźnie, że

mu już nie zależy na tej dziewczynie tak bezwzględnie, jak to mu się wczoraj jeszcze wydawało. Choć jest tak nadzwyczajnie piękna, i szykowna, i czarująca. A jeżeli go nie będzie chciała ciągle? Pomimo »Hallali!« Pomimo stanowiska? Pomimo sławy? Nie rozbije sobie głowy o ścianę z rozpaczny, o nie! Mniejsza o to. Powie jej grzecznie: »Do widzenia, łaskawa pani!« — odwróci się i pójdzie sobie. Błogosławiony talent! Już teraz ma spokój i siłę.

Po leniwych pierogach kazał sobie podać kawałek indyka pieczonego z kompotem. Wydało mu się to jednak rzeczą niepewną, czy zajdzie konieczność użycia środków radykalnych. Może właśnie potrzeba mu było tej ostrogi, jaką dało mu powodzenie, aby obudzić w nim zaufanie do siebie, nabrać śmiałości i wysnuć z siebie dość inteligencji, aby tę dziewczynę zainteresować, dość siły, aby ją pociągnąć. Ona go przecież nie zna prawie — nieśmiałość usta mu wobec niej zamykała,

nieszczęście krępowało jego loty.

Zobaczymy, co będzie jutro, pojutrze. Przyszłość jego stała mu w oczach, jak ranna zorza różowa.

Po indyku zamówił kalafior po polsku. Więc ma talent — rzeczywisty talent. Więc stworzył w powieści swojej ludzi żywych, ludzi, »których

się widzi słyszy i rozumie«. Jedna Helena... Ale to nic. Przerobi powieść. Jest dobra, będzie doskonała.

A Drewnowski?

Co za tryumf!

Eustachy nie będzie jednak wyzyskiwał tego a przyrzeka sobie nie powiedzieć nikomu wyroku Drewnowskiego o »Hallali«, aby go nie skompromitować. Ale też wyrok jego był: Nic! Srogi jesteś panie krytyku...

Eustachy pochwyli pierwszą sposobność, aby oprzeć na przyszłość ich stosunek na zasadach stałej równowagi. Nie zapomni, iż Drewnowski wprowadził go do redakcyi, zastępstwo powierzył, dał trochę zarobić.

A teraz sera, masła, winogron, czarnej kawy, likieru i dobre cygaro. Co to jednak za dzielny człowiek ten Wieńkowicz? Jaka głowa! jak go zrozumiał, poznał, ocenił i jakie doskonałe dał mu rady. Więc kobiety są istotnie proste, nieskomplikowane, niewinne?...

Jednakże? Hm!... »Hallali« prawdopodobnie poświęci Wieńkowiczowi. Tak, albo Wieńkowiczowi, albo Henryecie. To się zobaczy.

Poczuł się ociężałym: za dużo jadł bodaj. Przypomniał sobie, że miał dziś zaprowadzić o czwartej siostrę do Anny. Teraz już szósta. Mniejsza o to, zaprowadzi ją jutro — niema w tem nic tak gwałtownego. W takim dniu, jak

dzisiejszy, w dniu, który zdecydował los całego jego życia, w dniu, w którym odmieniło się wkoło niego wszystko, jak gdyby w jakiej bajce czarodziejskiej, niechże mu w takim dniu pozwolonom będzie zapomnieć o czemśkolwiek.

Więc ma talent. Więc nie pójdzie na kolej, nie będzie prosił Antoniego o protekcyę i nawet nie zrobi studyum literackiego o Starowolskim. Czuł w duszy ciągle jeszcze uczucie dumy, ale błogi stan, który go kołysał tak jakoś rozkosznie, mijał widocznie. Trzeźwiał jakby i stygnął. Myśli wolno kręciły mu się w głowie i przyznawał, że stanowczo zjadł za wiele. Powoli dopalał cygaro.

— A możeby wieczorem pójść do Henryety?

Me było mu dziś pilno, nie męczyła go dawna niecierpliwość. Może pójdzie, może nie pójdzie. Był dziś już innym człowiekiem.

W dniu dzisiejszym otrzymał siłę do panowania nad swoją miłością. I jakby chcąc na poczekaniu tę siłę wypróbować, postanowił pójść dziś właśnie do teatru.

I poszedł do teatru.

XV.

Nazajutrz obudził się wcześniej i ubrał z pośpiechem. Wczoraj w teatrze, w czasie antraktów, a nawet i podczas aktów myślał o Henryecie, o swoim stosunku do niej i powiedział sobie ostatecznie, że tak jak teraz trwać dalej nie może. Teraz jest innym już człowiekiem.

Nie mówiąc o korzyściach jego obecnej pozycyi (ma same dotkliwe straty), nie mówiąc o nadziejach (ma ich, prawdę powiedziawszy tyle, co gracz, kupujący "ćwiartkę" na wygranie głównego losu), ale czyż autorowi »Hallali« wypada ambicyę swoją na tak srogą wystawiać poniewierkę? Postanowił dziś rano, przed dziewiątą, spotkać się z Henryetą, gdy będzie wychodziła z domu na pensyę. Pomówi z nią, powie jej o tej wielkiej zmianie, jaka zaszła w jego życiu. I albo posunie się naprzód, albo: »Do widzenia, łaskawa pani«. Teraz jest już innym

człowiekiem.

Poszedł więc na ulicę Nowogrodzką i wyczekiwał na Henryetę. Nie czekał długo. Wkrótce zobaczył ją wychodzącą, ubraną świeżo i z szykiem, w czarny żakiecik, doskonale do jej gibkiej i kształtnej figury dopasowany i kapelusz obficie zarzucony dużymi czarnymi piórami strusiem. Szła lekko, szybko i z elegancją.

To ten jej szyk tak działał na Eustachego.

— Nie będę w panią wmawiał, że to szczęśliwy przypadek — rzekł, przystępując do niej. — Pani wie dobrze, że to nie jest przypadek. Jak pani wygląda nadzwyczajnie.

Szczerą admiracją zadziwiała w jego głosie.

Henryeta, jak zwykle, kiedy powiedział jej coś przyjemnego i pochlebnego, przysłoniła nieco oczy powiekami i poruszyła lekko delikatnymi nozdrzami, jakby wciągając w nie mocny a miły zapach.

— Pozwoli się pani odprowadzić kawałek? — zapytał.

— Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedziała łaskawie.

Zaczął więc iść obok niej.

— Ależ jaka pani dziś piękna! — powiedział jej obowiązkowy komplement — tak piękną nigdy, nigdy jeszcze pani nie była.

Uśmiechnęła się.

— Zawsze to samo. Po chwili zaczął:

— Widzi pani dziś we mnie innego człowieka, niż byłem...

— Dlaczego?

— Spełniły się moje marzenia, ich część

podstawowa przynajmniej. Podczas wakacji napisałem powieść, o której pani nie mówiłem, bom pewności nie miał, co jest wartą. Dziś mogę się pochwalić. Moja powieść zyskała duże uznanie w gronie literatów i będzie niezadługo drukowana w »Biegunie«.

— Doprawdy? — spytała.

Eustachy doznał uczucia zawodu. Jej zdziwienie nie było wcale tem zdziwieniem, na które liczył, którego się spodziewał; było ono takie zwykłe, konwersacyjne, obowiązkowe, grzeczne i obojętne.

— Może mi nie wierzy — pomyślał i ledwie się nie zarumienił.

— Tak, proszę pani, tak — zaczął mówić, ratując się, z umyślną przesadą, głosem nienaturalnym i nieszczerym, aby dostroić się do jej obojętności i pokazać, że sam lekceważy trochę swoje autorstwo — ma pani do czynienia z autorem młodym, który stoi u progu sławy. Nie bagatela, proszę pani, młody geniusz...

Przyszła mu myśl szczęśliwa.

— A powieść ta nie będzie dla pani zupełnie bez interesu. W mojej bohaterce odszuka może pani to i owo, dobrze pani znajome...

Zwróciła ku niemu twarz szybkim ruchem i ożywienie zagrało w małych jej oczach.

— Co? Mnie pan opisał?

Wyraz jej twarzy mówił, że opisu tego wcale się nie obawiała.

— Opisać pani bym nie śmiał. Ale dałem mojej bohaterce pani postać, twarz, kolor oczu i włosów, sposób mówienia, szyk pani, elegancję...

— Gdzie ta powieść będzie się drukowała?

— W »Biegunie«.

— A prędko?

— Niezadługo. Jak się skończy powieść, która się obecnie drukuje.

— Ciekawa będę, doprawdy.

— Nie, ona wierzy, zupełnie wierzy — powiedział sobie — tylko jestem jej do tego stopnia obojętny... Mniejsza o to!

Podnosił się w nim gniew i budził tę siłę, którą wczoraj odnalazł w sobie, siłę panowania nad swoim uczuciem.

Ale rzekł jeszcze z dawną uprzejmością:

— Jeżeli pani pozwoli, każe pani przysłać "Bieguna".

— Będę panu wdzięczną — odpowiedziała z chłodną grzecznością.

— Jak to dobrze, że pensya jest niedaleko — pomyślał.

Pilno mu było pożegnać ją.

Szedł obok niej teraz, manifestacyjnie milcząc pełen silnych postanowień. Po pewnym czasie wydało mu się jednak, iż tak długie milczenie jest obrazą dobrego tonu, który obowiązuje przecież każdego przyzwoitego człowieka. Ale pragnąc w dalszym ciągu manifestować zmianę swoich uczuć, poruszył umyślnie najbanalniejszy z tematów.

— Jaki ładny dzień — rzekł z odcieniem ironii.

— Istotnie.

— Pani lubi jesień?

— Jeżeli jest ładna.

— Nie lubi pani niepogody? Roześmiała się.

— Nie — powiedziała.

Widocznie nie poznawała się na jego manifestacjach.

Pensya była tuż.

Henryeta wyjęła zegarek i spojrzała na godzinę.

— W samą porę — rzekła z zadowoleniem. Eustachy pożegnał ją chłodno.

— Skończone! — myślał, odchodząc — skończone! Teraz jestem inny już człowiek...

XVI.

Okolo czwartej poszedł na Gołębią ulicę. Obiad tylko co się właśnie skończył; jeszcze talerze stały na stole. Ojciec, w palcie zimowem, z laską i w czapce na głowie, wychodził na codzienny spacer. Chłodno i obojętnie przytknął Eustachy brzeg wargi do jego ręki i minęli się, nie przemówiwszy do siebie jednego słowa. Matka wzięła zaraz nóż i widelec, chcąc mu kawałek pieczeni ukrajać.

Powstrzymał ją:

— Nie, mam, dziękuję. Jestem po obiedzie. Matka się zawahała, ale nie odkładała jeszcze noża ani widelca.

— Nie chcesz? Rzeczywiście?

— Rzeczywiście. Przyszedłem tylko na chwilkę. Ubieraj się, Nina. Zaprowadzę ją do nauczycielki muzyki, która ją naprzód wyegzaminuje.

Zwrócił się do Niny, która się nie poruszyła.

— Czemuż się nie ubierasz?

— Czy zaraz pójdziemy?

— W tej chwili. Usiadł przy matce.

— Nina będzie miała wyborną nauczycielkę, uczennicę najwyższego kursu konserwatorium, prawdziwą artystkę.

— A droga?

— Nie wiem jeszcze. Ale w każdym razie od Niny weźmie mniej, niżby się należało.

— Znajoma?

— Znajoma.

Po chwili rzekł:

— No, i niech mi mama powinszuje. Spojrzała na niego z pewną ciekawością, ale bez zaufania.

— Czego? — zapytała po malej chwili.

— Moja powieść zrobiła furorę w świecie literackim. Redaktor »Bieguna« już ją

odemnie kupił.

— Kupił? — zapytała.

— Kupił.

— I zapłacił?

— Zapłaci, kiedy będę chciał, choćby dziś. Umilkła i usta zacięła.

— Widzę, że to mamę nie cieszy — rzekł z wyrozumiałością, bez żadnego żalu.

Wzruszyła ramionami.

— Myślałam, jakżeś mi kazał sobie winszo-

wać — rzekła po chwili — żeś dostał jaką posadę.

— Moja mamó, to ważniejsze, niż posada. Odpowiedziała na to, niby do siebie, półgłosem i lekceważąco:

— A jakże...

— Widzę, że mama nie wierzy temu, co mówię.

Nic nie odpowiedziała.

— Włożyłaś białą chusteczkę na szyję? — zapytała córki.

— Włożyłam mamó.

— To dobrze, bo dziś chłodno. Ojciec wziął zimowe palto.

I niby do siebie zaczęła mruczeć, dość głośno jednak, ażeby Eustachy mógł słyszeć:

— Mało to literaci różnych powieści napiszą... Czekali tam właśnie na niego... A jakże...

Eustachy nic nie mówił.

— Gotowa jesteś, bębnie? — zapytał Niny.

— Gotowa.

— To jazda!

I pocałował matkę serdecznie w rękę. Ninę zawiózł tramwajem.

— Będziesz miała nauczycielkę muzyki nadzwyczajną — powiedział jej — tylko żebyś chciała pracować nad sobą. Co więcej, będziesz mogła egzer cytować się na jej fortepianie. Widzisz, niewdzięczna, jak ja dbam o ciebie.

przeprosił Annę za wczorajszy zawód. Nie mógł w żaden sposób... Cały dzień był zajęty niespodziewanie... Ważne interesy...

Anna bardzo serdecznie przyjęła Janinkę, i widząc jej skrępowanie, starała się ją widocznie ośmielić.

— Braciszek musi się źle panią opiekować — rzekła wesoło. — Taka pani blada, wątła...

— Co za niesprawiedliwość! Ja się źle nią opiekuję! Ja, który postarałem się dla niej o najlepszą nauczycielkę muzyki w Warszawie!

Anna poczęła wypytywać Janinkę o muzykę. Kto ją uczył? Co grywała? '

W tej chwili weszła do salonu Henryeta.

— Na to czekałem właśnie — pomyślał Eustachy.

Chłodno się z nią przywitał, chłodno przedstawił jej siostrę.

— Nie wiedziałam, że pan ma siostrzyczkę — powiedziała Henryeta uprzejmie, od razu pierwszą rolę w salonie grać zaczynając.

— Tylko to wiesz, co się ciebie tyczy — pomyślał Eustachy, bez żadnego dla niej szacunku.

I nie odpowiedział nic.

— Od dziś moja uczennica — rzekła panna Anna.

— Ach, tak? Czy pani się poważniej zajmuje muzyką? — zapytała Niny.

— Ja mam dopiero początki.

— Początki? — tu Henryeta spojrzała na Annę z lekkim zadziwieniem.

— Zobaczmy za chwilę, co pani umie — rzekła Anna. — Może to tylko tak pani mówi przez skromność?

— O, nie, proszę pani...

— Zresztą — przerwała Anna — zawsze należy zaczynać od początków.

Eustachy manifestacyjnie milczał.

— Piękna to rzecz muzyka — mówiła dalej Henryeta.

Na to Eustachy wstał.

— Ma pani słuszność. Muszę to sobie zapisać, żeby nie zapomnieć.

Powiedział to głosem tak szorstkim, że żart ten ironiczny do obrazu raczej był podobnym. Ale tego właśnie chciał. I nie czekając, czy na to odpowie Henryeta i co odpowie, zaczął się zaraz żegnać.

— Więc powierzani pani siostrzyczkę — rzekł do Anny.

Janinie powiedział:

— Ty trafisz sama do domu? Nie zabłądzisz? Co?

Henryetę pożegnał bez słowa.

I wyszedł bardzo z siebie zadowolony.

XVII.

Jakąż siłą błogosławioną dał Pan Bóg Eustachemu w chwili, kiedy do duszy jego złożył iskrę twórczego talentu! Ta iskra już teraz oto zastępuje w nim to, co jak mu samemu się wydawało, stanowić miało wieczny brak jego moralnej istoty: moc charakteru. Zdobył się bowiem wczoraj na postąpienie stanowcze, męskie, które jednym rzutem energicznym wydobyło go ze stanu ustawicznego poniżenia, uratowało jego ambycję, zapewniło spokój umęczonemu jego sercu.

I kto to jeszcze wie, czy nie przyjdzie chwila, w której ta obojętna i samolubna dziewczyna pożałuje, iż nie chciała, nie potrafiła go zatrzymać.

Jest to możliwe i jak możliwe!

A co to byłby za tryumf!

Tryumf dla próżności Eustachego tylko, satysfakcja dla skaleczonej jego ambicyi.

Bo gdyby teraz nawet, ot, dziś, Henryeta zwróciła do

niego twarz życzliwą i uśmiech pociągający — dziś już nie byłoby to dla niego szczęściem. O, nie. Za wiele przez nią wycierpiał, za bardzo go poniżyła. Me będzie zdolny już wszystkiego jej przebaczyć. Trzeba mu było okazać trochę — nie powiada wzajemności — ale współczucia, przyjaźni, czegokolwiek cieplejszego, kiedy był nikomu nieznanym, nieszczęśliwym biedakiem...

Teraz?... Teraz już wszystko jedno. Skończone.

Tak, skończone — kropka i kreska.

— Nawet nie będę więcej o tem myślał — postanowił.

Poszedł do redakcyi »Bieguna«. Jak śmiało, jakim pewnym krokiem, z jak jasnym czołem wchodzi teraz do tych pokojów, jak zwycięzca do fortecy, którą wziął szturmem.

— Moje uszanowanie pani!

Rozumie teraz ten uśmiech pani z administracyi, uśmiech, który jest jakby jednym listkiem z jego wawrzynowego wieńca.

— Dzień dobry!...

Na poufałe, napraszające się, tchnące pewną dozą beczelności zachowanie się młodego sekretarza odpowiada Eustachy chłodno i wstrzemięźliwie. W duszy pogardza nim.

— Czy niema nikogo u redaktora? — pyta starego korektora.

— Niema, zdaje się.

Dla tego jest zwyczajnie grzecznym. Wybaczył mu jego dawny wysoki z nim ton.

Jest to stary i ze starości samej zły pies, nieszkodliwy, choć pokazujący często zęby. Nie to, co tamten, który ma układne maniery lisa i nienasycony apetyt wilka.

— Można?

— Proszę, proszę...

Eustachy przyszedł zabrać »Hallali« do przerobienia. Przeróbki niewielkie, ale nie chciałby tak puścić. Za tydzień, dwa odniesie rękopis, gotowy już do druku. To jedno; drugie — chciałby coś zaliczki.

I z rękopisem pod pachą idzie szukać porządnego krawca. Trzebaż się ogarnąć przyzwoicie. Niema bo żadnego sensu brawurowanie przed światem wykrzywionymi obcasami, spodniami postrzępionymi i surdudem, świecącym na łokciach jak lustro. Staluje więc nowy garnitur, porządny garnitur z dobrego materiału. »I najważniejsza, żeby leżał, panie łaskawy«...

Jego myśli wracają do »Hallali«. Nikt z tych ludzi, mijających go obojętnie na chodniku nie przypuszcza, co to niesie pod pachą ten młody, niepozorny człowiek. Ale, to co niesie pod pachą, nie jest jeszcze samym szpikiem jego kości, o, nie! To dopiero pierwszy krok, próba, począ-

tek. Zobaczą ludzie, do czego jest on naprawdę zdolny.

Niech-no tylko w życie się wgłębi, tego i owego zazna. Przecież dzieciakiem jest prawie jeszcze. Niczego nie użył. Ale skoro mu urosną mięśnie i rozwiną się skrzydła, nie takie w świat rzuci dzieło, jak »Hallali«. I to niedługo będzie trzeba czekać na nie.

Jednak — co o tem wszystkim myśli Drewnowski?

Postanowił pójść do niego wieczorem. Nie widział się z nim jeszcze od chwili, kiedy został innym człowiekiem. A pod wpływem jakiegoś porywu wspaniałomyślności, który w nim wracał za każdym razem, gdy pomyślał o przyjacielu, pilno mu było omyłkę Drewnowskiemu (jednak jaka fatalna!) wybaczyć i dobre stosunki naprawić.

Zaszedł więc do niego wieczorem.

— Mój miły — rzekł takim głosem jak dawniej, kiedy mu zależało i na przyjaźni i na humorze Drewnowskiego — chciałem cię prosić o pożyczenie mi jakiej dobrej powieści.

Drewnowski przywitał go sztywno, nie ruszając się od biurka, za którym trzymał się w pozycji obronnej, niby za jakim szańcem.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Wybierz sam.

— Znasz »Klub Pickwicka?«

— Nie.

— Chcesz?

— Bardzo cię proszę.

Drewnowski podał mu książkę, nie powiedziawszy przy tak pięknej sposobności najmniejszej lekcji literatury.

— Nie chcę teraz zaczynać nic poważniejszego — ciągnął Eustachy — bo muszę zachować swobodną i nieumęczoną głowę. Zabiorę się właśnie jutro do przerobienia »Hallali«.

Drewnowski, widocznie zainteresowany, wyszedł za chwilę ze swojej rezerwy.

— Przerabiać będziesz?

— Trochę. Zmienię nieco postać Heleny.

I zapytał go wprost, szczerze i naturalnie:

— Musisz chyba wiedzieć o tem, że moja powieść podobała się?

Drewnowski swobodniejszym się zrobił, widząc, że Eustachy nie z pretensją do niego przyszedł.

— Wiem — odrzekł naturalniejszym głosem.

— I że będzie drukowana w »Biegunie?«

— Wiem i to. I wieszuję ci.

I po chwili, wracając na dawną pozycję, rzekł jakby po namyśle:

— A cóż? Hm! Jeżeli dobrze przerobisz, jeżeli będziesz się starał pogłębić charakter, a w obserwacji zbliżyć do życia, do realnego, rzeczywistego, nie chimerycznego życia...

— Widzisz, tam u mnie Helena wychodzi trochę niekonsekwentnie...

— Naturalnie, że niekonsekwentnie — podchwycił Drewnowski, coraz pewniejszym siebie głosem. — Charakter każdy powinien być jednolity, jednocześnie różnorodny i jednolity, i zawsze w zgodzie z samym sobą. Jeżeli tej kardynalnej zasadzie którakolwiek z postaci powieściowych nie odpowiada, to powieść nie może być uważana za dobrą.

— Naturalnie — potwierdził machinalnie Eustachy.

I teraz innym wzrokiem obserwował Drewnowskiego.

Historia »Hallali« otworzyła mu oczy na rzeczywistość. Pojmował go coraz lepiej i szybko się w nim rozczarowywał.

Drewnowski zaś zupełnie odzyskał w końcu dawną pewność siebie.

— A ja ci powiem jedno — rzekł z naciskiem, który nadawał zawsze słowom swoim, gdy mu przychodziło sąd swój wypowiedzieć — żeś się puścił odraz u po utartej, wydeptanej i wszystkim znanej dobrze drodze, po literackiej szosie...

To ostatnie wyrażenie spodobało mu się widocznie, bo powtórzył je z mocniejszym podkreśleniem:

— Tak, po literackiej szosie.

I zapisał je szybko ołówkiem w rozłożonym notesie, nie przerywając sobie mowy:

— Nie wytknąłeś w ogólnym fenomenie artystycznym nowego punktu orientacyjnego, jednym słowem, nie stworzyłeś nowej formy, ani nawet nie uczyniłeś próby jej stworzenia. Zapewne, że dziś w powieściach ciągle jeszcze wychodzą Numy za Pompiliuszów, u ciebie tego niema, lecz i samobójstwo, mój drogi, także już piosnką oklepaną. To łatwo człowieka zabić w powieści. Paf! — i już jest. Nie, ty każ mu żyć, niech ja widzę jak on żyje, a przedewszystkiem: dlaczego i po co? Wytłómacz, dowiedz. Ja chcę być przekonany. Dlatego ja zawsze biorę do ręki książkę z uczuciem nieprzychylności, jako przeciwnik, jako wróg, bo ja właśnie chcę być przekonany. Tak, ja chcę być przekonany — taką już mam naturę dziwną.

— A moja powieść nie przekonała cię?

— Ja mówię w tej chwili ogólnie, a nie o twojej powieści. Co chcesz? Ja nie wiem jak ty przerobisz swoją powieść, a od tego zależy bardzo dużo. Prorokiem zaś nie jestem. Tego jednak jestem pewien, że niech sobie dziesięciu Wienkowiczów mówi, co chce, twoja powieść rewolucji w literaturze nie zrobi.

Eustachy nie mógł się powstrzymać, aby nie wzruszyć ramionami:

— Och! rewolucyi! — zaprotestował cicho i bez nacisku.

I nie podtrzymał rozmowy, która mu dziś wydawała się wprost nieznośną.

W pierwszej więc pauzie, jaką zrobił Drewnowski, podziękował mu za »Klub Pickwicka« i wrócił do siebie całkowicie rozczarowany.

Żał mu się przytem zrobiło Drewnowskiego. Przecież ten biedak, mimo całego swego odczytania, mimo wielkiej wiary w siebie, nie posiada ani odrobiny krytycznego talentu.

Dlaczego to on sobie wybrał taki fach nieodpowiedni? Jak to on da sobie radę w życiu?...

Dzień szary i smutny. Z asfaltowego nieba wraz z deszczykiem drobniutkim i jednostajnym spada na ziemię jesienna nuda. Eustachy usiadł przy stoliku i rozłożył »Hallali«.

Dziś chce rozpocząć przeróbkę swej powieści. Ale myśli leniwe nie chwytają się pracy, pierwsze lepsze marzenie przekładają nad nią. Eustachy się też nie przymusza; dziś czy jutro zacznie — wszystko jedno.

Rzuca stolik i zaczyna spacer wzdłuż i wszerz pokoiku. Przychodzi mu na myśl Henryeta. Gdyby mógł jeszcze trochę przychylności jej pozyskać? To jedno, to jedno! Jak pełnem, jak wielkiem wtedy byłoby jego szczęście! Wygląda na podwórze, wysokimi murami otoczone i ponure, jak więzienie i smutek go ogarnia. Spełnione marzenie jego młodości nie zapewniło mu pełnego szczęścia — serce dopomina się osobno o swoją częśćkę. Gdyby to jedno jeszcze, to jedno!

Ciężko mu w tej klatce. Wychodzi. Ale czas nie na spacer. Na pierwszym więc rogu wstępuje do cukierni, przerzuca pisma, których nie ma żadnej ochoty czytać i wygląda smutnie i bezmyślnie na błyszczącą od wilgoci ulicę, wyczekując godziny obiadu.

Po obiedzie wraca do siebie, rzuca się na łóżko i bierze książkę do ręki. Ta go nie zajmuje. Bierze drugą i tę rzuca po przeczytaniu paru wierszy. Bierze trzecią... Nie, nie chce mu się czytać. Leży więc beczynnym.

Nad wieczorem drzwi się uchylają i wchodzi Janina.

Rad jej jest bardzo.

— Nie zdejmuj rękawiczek — powiada do niej — pójdziemy do cukierni. Zafunduję ci ciastek.

— O! — niby dziwi się Janinka, bardzo zadowolona,

— Tylko naprzód — przypomina sobie Eustachy — trzeba wiedzieć, czyś na nie zasłużyła. Uczysz się muzyki?

— Jeszcze jak!

— Grasz?

— Co dzień. Po dwie, trzy godziny. Aż się mamusia dziwi.

Jest dziś ożywiona,

— Jeżeli tak, to chodźmy.

Prowadzi ją do cukierni i częstuje kawą z ciastkami.

Janinka wybiera sobie same z kremem i opychając się słodyczą, opowiada o swoich lekcjach muzyki. Mówi prawie z zapałem.

Obudziły one widocznie z apatyj jej nawpół jeszcze dziecinną duszę. Wychwalić się dosyć nie może swej nauczycielki. Jak ona starannie uczy! Jaka dobra i cierpliwa! Jak umie zachęcić! Jak o wszystkim pamięta!

— I często macie lekcje?

Jak Janinka sama chce. A Janinka chce codzień. Więc codzień jest lekcya. I może myśli, iż godzinę? Dwie. Janinka niezadługo już, tylko co patrzeć, koncerty będzie dawała.

Eustachy patrzy na siostrzyczkę z zadziwieniem. Doprawdy, że to nie jest już to dawne, duszą i krwią anemiczne dziecko. Mówi żywo, oczy jej błyszczą — obudziła się.

— Widzisz jaką ci wyszukałem nauczycielkę — chwali się.

— Lepsza już być nie może.

— A mówiłaś, że masz niedobrego brata! Janinka się śmieje.

— Ja to mówiłam? Kiedy?

— No, jeszcze jedno z kremem.

— Zaraz, muszę odpocząć po tamtych. Wzdycha.

Eustachy zapytuje:

— A tę drugą pannę, która tam mieszka, widzisz czasem?
— Pannę Henryetę?
— Właśnie.
— Widziałam parę razy.
— Rozmawiała z tobą?
— Nie. Tak tylko. Przejdzie, przywita się...
— Ładna panna, co?
— Tak sobie.
— Jeszcze jedno z kremem.
— Nie, już nie mogę.
— Kiedy miałaś ostatnią lekcję?
— Wczoraj.
— I weszła wczoraj panna Henryeta do salonu?
— Weszła. Wczoraj przynieśli jej nową suknię...
— Aha! Nową suknię?
— Więc przymierzyła ją i przyszła zapytać się nas, czy jej dobrze?
— Jaka suknia?
— Taka, jasno - popielata, ze wstawkami tu i tu, z jedwabnej materyi także popielatej, tylko trochę jaśniejszej i w drobniutką kratkę.
— Ładna sukienka?
— Ładna.
— I dobrze jej było w niej?
— Tak sobie.
— Co powiedziała panna Anna?

Panna Anna mówiła, że jej lepiej jest w ciemnych kolorach.

Eustachy się zastanowił:

— Jak mnie jednak obchodzi każdy o niej szczegół. To zły znak.

Uraczywszy siostrzyczkę, wyprawił ją tramwajem do domu i wrócił do siebie jeszcze smutniejszy.

Nazajutrz osiadł do pracy z mocniejszym postanowieniem. Ale nie szło mu lepiej, niż wczoraj. Przemógł się jednak i zaczął czytać »Hallali«

Zaraz na pierwszych stronach spotkał się z opisem Heleny, i Henryeta, która mu do tego opisu była wzorem, stanęła w jego wyobraźni żywą i tak piękną, jak nigdy przedtem.

— Ja ją jednak ciągle jednakowo kocham — wyznał przed sobą.

I spostrzegł z goryczą, że wcale nie jest innym człowiekiem i że tak samo cierpi, jak dawniej. Mocniej jeszcze nawet. Teraz, kiedy utracił samą możliwość widywania jej, słuchania jej głosu, rozkoszowania się jej inteligentnym uśmiechem, a utracił z własnej woli, w sposób głupi i brutalny, uniesiony jakąś fantastyczną pychą i ambycją, teraz jaśniej, niż kiedykolwiek widzi, jak mu zawsze była i zawsze zostanie drogą.

Jak on też mógł tak zatruć sobie życie?

I własną ręką! własną ręką!... I jeszcze dumny był, i jeszcze się cieszył ze swojego błędu. A teraz czeka go oto pokuta, która męczarnią napełni jego życie. »Hallali!« »Hallali!« Czyż jest przez to mniej szczęśliwym?

Ale po całodziennej męce zamigotała przed nim gwiazdka nadziei. Czyż węzły, łączące go z ukochaną dziewczyną, choć słabe, ale tak dla niego drogocenne, zostały rzeczywiście porwane na zawsze?

A gdyby do nóg upadł? Wielką skruchę za swoją winę uczynił? Odwołał się do jej litości? Przecież i w jej duszy musi być coś ludzkiego, co nie może nie zadrgać na widok bólu i nieszczęścia?

On, autor »Hallali!« u nóg zwyczajnej dziewczyny?

Ach, co mu »Hallali!« Ta zwyczajna dziewczyna jest dla niego wszystkim —

światłem i powietrzem. Bez niej jest on tylko cierpiącym prochem. Nazajutrz jednak jego sprawa przedstawiła mu się mniej tragicznie i zaczął rozumować.

Właściwie cóż on przewinił? Popęlił żart, zapewne niewczesny i niesmaczny, ale nic więcej tylko żart. Kto to może wiedzieć, co się w duszy jego wtedy działo, jakie miał zamiary i intencje? Żart się nie udał. Ale cóż zwykłej-

szego nad żart nieudany. Nawet ludzie dowcipni... Może Henryeta tak to i rozumiała? Może nic się nie popsuło między nimi? Może ona nawet i nie zauważyła tego wybryku? Ona tak mało wagi i uwagi przywiązywała w ogóle do wszystkiego, co Eustachy mówił i robił?

Ta ostatnia uwaga pocieszyła go ostatecznie. Ot! potrzebna też była wczorajsza rozpacz! Ale czyż ta rozpacz nie jest dowodem jak mu na Henryecie zależy nieskończenie. I on mógł być na to ślepy? To »Hallali« tak mu pomieszało w głowie. Od chwili kiedy mu się fortuna uśmiechnęła, stracił sens w głowie i płodzi same głupstwa.

Pójdzie do Henryety i rozmówi się z nią poważnie. W jaki to błazeński sposób powiedział jej (przypomina sobie) o »Hallali«, o zmianie swego losu, o swej przyszłości. Czyż to tak należało mówić z nią o tem? Nie dziw, iż przyjęła to wszystko tak obojętnie. Kiedy on się rozumu nareszcie nauczy?

Tak, dziś zaraz pójdzie do niej... Nie, nie dziś, nie dziś. Trochę cierpliwości i silnej woli.

Pójdzie do niej dopiero pojutrze. Za dwa dni właśnie krawiec przysłał mu nowy garnitur.

XIX.

Pewnego wieczora otrzymała Henryeta następujący list:

»Droga pani!

»Wydaje mi się, że przyszła chwila, w której wypada mi raz jeszcze powtórzyć pani, że nie widzę po za myślą o pani dla siebie szczęścia. Okoliczności mojego życia się zmieniły, spełniło się marzenie mojej młodości. Ludzie poważni i godni wiary zapewnili mnie, że mam talent literacki, na którym mogę mocno i pewnie oprzeć swoją przyszłość. Żyję teraz, jak i dawniej, jednym pragnieniem: abym mógł wszystko u nóg pani złożyć. Zabroniłaś mi pani nadziei. Ja w głębi duszy nie potrafiłem się jej nigdy wyrzec, choć dobrze rozumiałem, że nie było nic, coby za mną do pani mówiło, oprócz mojego nieskończonego dla pani przywiązania. Obecnie odrobina śmiałości we mnie wstąpiła i nie może pani, doprawdy, wziąć mi tego za

złe. Dawniej mogłem tylko zapalić przed ukochaną kobietą moją duszę jak kaganek przed ołtarzem, dziś jestem w stanie jeszcze podać jej męskie ramię, aby ją przez życie przeprowadzić. Racz to ukochana pani przyjąć do wiadomości.

»Każda literka mojego listu całuje panią w rękę«.

.....

Na list ten (Eustachy zdecydował się w końcu na oświadczenie piśmienne, aby dodać mu uroczystości i ponieważ nie był zupełnie pewny, jakiego dozna od Henryety przyjęcia), otrzymał nazajutrz po południu następującą na grubym liliowym papierze odpowiedź:

»Szczerze wieszuję panu powodzenia. List pański prawdziwie mi pochlebia, nie jestem jednak w stanie dać na niego odpowiedzi, któraby mogła pana zadowolić. Ale miło mi będzie widzieć dziś wieczorem pana u siebie. H.

.....

Z chwilą, w której Eustachy wziął do rąk ten liliowy papierek, wszystko się w nim jak na rozkaz uciszyło. Te kilka słów odmownych, ale od niej, ale okruszyną łaski tchnących uszczęśliwiły go. Więc się na niego nie gniewa,

więc będzie mógł widywać ją, rozmawiać z nią, patrzeć na jej życie. Sama go nawet zaprasza!

Wbrew słowom jej nadzieja w nim się wzmogła i doczekał się wieczoru w jakimś słodkim spokoju, bez niecierpliwości i bez pośpiechu ubrał się w swój nowy garnitur.

Henryeta przyjęła go uprzejmie.

— Niech pan pozwoli do mojego pokoju — rzekła na wstępie.

Spostrzegł, iż zauważyła jego nowy garnitur. Ileż on był w nim pewniejszy siebie!

Henryeta ubrana była w nową popielatą suknię, w której istotnie wyglądała mniej pięknie, niż zazwyczaj. To mu dodało jeszcze odwagi.

— Więc, nielitościwa, daję mi pani odkosza — rzekł z uśmiechem sztucznym.

Ten wstęp podobał jej się.

— Tak — rzekła, śmiejąc się.

— I nawet nie złoci mi pani gorzkiej pigułki. Gdyby pani była łaskawą zażądać naprzykład paru dni namysłu...

— Dam panu za to herbaty mocno osłodzonej. Niechże pan siada.

Na jej biurku stał samowar, dyszący parą i przybory do herbaty.

— Pani dziś sama w domu?

— Tak się zdarzyło szczęśliwie. Andzia z matką poszły na koncert.

— Za to słowo szczęśliwie, powinienem ucałować pani rączkę.

— Nie nie! — zawołała wesoło, ale cofając

rękę, którą chciał pochwycić — źle pan to sobie wytlómaczył. Chciałam tylko powiedzieć, że doprawdy — tu spoważniała — choć Andzia jest moją przyjaciółką...

Urwała.

— Okrutna! — rzekł Eustachy.

Westchnął komicznie, chcąc pokryć wrażenie przykrości i zdraśniętej ambicji, jakiego doznał z powodu cofnięcia przez Henryetę ręki, którą chciał pocałować. Potem poważnie kiwnął głową.

— Więc i pani to czuje — rzekł — że panna Anna jest osobą trudną do pożycia?

— Ach, trudną! Są chwile, w których jest niemożliwą poprostu...

Naląła mu herbaty.

— Pan pija lekką, nieprawdaż? Eustachy rozjaśnił duszę. Ona pamięta, jaką on pija herbatę!

— Więc istotnie powodzi się panu w literackim zawodzie?

Ją to interesuje!

— Ponad spodziewanie.

— Mówił mi pan o powieści...

— Niezadługo ją pani pozna.

Czyby nie poprosić jej, aby pozwoliła na karcie dedykacyjnej położyć swoje nazwisko?

— To w »Biegunie«, prawda?

— Tak, pani. Wszystko zapamiętała!

— Musi pan mieć dużo już stosunków w świecie literackim?

— Sporo, proszę pani — pochwalił się.

— Nie je pan sucharków? Wziął sucharka.

— A jak pani wygląda dziś nadzwyczajnie. Pierwszy raz widzę panią tak niezwykle piękną!

— Co? Nawet i w tej sukni?...

— Nigdy pani jeszcze tak piękną nie była... Poruszyła głowę z lekkim niedowierzaniem.

— Na moje nieszczęście...

Ostatnie słowa powiedział cicho i poważnie. Henryeta na to spojrziała gdzieś w przestrzeń nieokreśloną wzrokiem obojętnym, a jej ściągła twarz nabrała wyrazu ostrego, który odpowiadał Eustachemu:

— To trudno, ja nic na to nie mogę poradzić.

Rozmowa stanęła na chwilę. Eustachy przymusił się do uśmiechu.

— Jakże pani czas spędza? — zapytał.

Z pospiechem i jakby z uczuciem ulgi wróciła do dawnej swobody i uprzejmości.

— Nie mogę się skarżyć.

— To naturalne. Dużo pani bywa?

— Taak... A pan?

— Ja jestem w okresie pomiędzy jedną pracą a drugą.

— Będzie pan pisał nową powieść? — Oczywiście.

Jednak ona się interesuje moim losem! — pomyślał.

— Piękna to rzecz talent. Choć teraz i z talentem trudno się wydobyć na wierzch.

Właśnie poznałam niedawno interesującego artystę, który skarżył się na przeszkody.

— Malarz? Rzeźbiarz?

— Śpiewak.

— I ma głos?

— O! bardzo miły. Tenor, dźwięczny, przyjemny...

— Jest w teatrze?

— Chciałby się dostać. Obiecano mu debiut w "Małym teatrze"...

— W "Małym teatrze"...

Z jakim zajęciem ona o nim mówi! To mój rywal — błysnęło mu w głowie. I w oczach mu trochę pociemniało.

— Czy pan ma sobotę zajętą wieczorem?

— Nie, pani.

— On u nas będzie właśnie. Chciałabym żeby pan go usłyszał.

— Pani się nim interesuje?

— Tak, jako talentem...

I ja przecież jestem talentem! A to ją nigdy nie interesowało!

— Chce pan jeszcze herbaty?

— Nie, dziękuję pani.

Więc to w tym celu jest dla niego tak dziś uprzejma? Do swego pokoju go zaprosiła! O stosunki literackie wypytywała?

I jeszcze przy pożegnaniu zapytuje, czy w sobotę można na niego liczyć? Co za okrucieństwo!

Wracał do siebie cały wzburzony. Czuł się upokorzonym bez granic.

— A cóż? — mówił sobie z goryczą. — Ja siebie znam: ja przyjdę w sobotę, z pewnością przyjdę. I to przeknę! I to strawię! Czyż mi los przeznaczył wyć do końca życia w bólu i bezsilności?

XX.

Na drugi dzień poszedł na Gołębią ulicę i wszedłszy do mieszkania rodziców, ujrzał siedzącą na kanapie Annę. Jego zdziwienie było tak wielkie, że stanął i przez parę chwil nie mógł zrobić kroku naprzód. Ta niespodzianka była mu bardzo

przykrą.

W innej sferze obracał się teraz, niż ta, w której się urodził i wychował. I widząc Annę, siedzącą obok swej matki, zarumienił się od fałszywego wstydu.

— Pani tu? U nas? — przemówił.

Anna podała mu swoją białą dużą rękę ze swobodą i życzliwością.

— Przyszłam przekonać się sama — odpowiedziała — czy możliwym jest egzercytowanie się mojej uczennicy na tym fortepianie?

— I przekonała się pani?

— Że trudno... Jednak...

Janinka siedziała tuż przy swojej nauczycielce z drugiej strony na małym drewnianym

stołeczku, który zazwyczaj służył matce za podpórkę pod nogi.

— Główne to — wtrąciła się — że dwa klawisze wcale nie odpowiadają.

Ojca nie było.

Eustachy wkrótce odczuł, że zamiast dysonansów, których się spodziewał, panuje tu widocznie jakaś harmonia. To mu sprawiło na razie ulgę, a potem i przyjemność.

— Dobrze, iż choć ojca nie zastała — pomyślał.

Tymczasem weszła służąca, niosąc na tacy kawę i talerz z drożdżowymi ciastkami.

Matka widocznie chciała przyjąć Annę dobrze, po swojemu.

Eustachy znowu się zarumienił. Jak można zaraz częstować człowieka, który jest pierwszy raz?...

— Pani pozwoli szklaneczkę kawy...

— Nie pora, mam — wtrącił z mruklivem, ale dyskretnem niezadowoleniem.

Anna jednak przyjęła zaproszenie bardzo dobrze.

— Przyznam się — rzekła z prostotą — że nawet jestem trochę głodna.

I bez ceremonii wzięła za ciastko. Janinka przesunęła trochę swój stołeczek i piła kawę, trzymając szklanekę w rękę, a ciast-

ko na kolanach, nie chcąc odejść od spódnicy panny Anny, jak przywiązany piesek.

— Więc jakże pani znajduje moją siostrę? Ma zdolności?

— Ależ naturalnie, tylko pracy, pracy i pracy.

— Słyszysz, mała?

— Nie.

— Żeby tylko chęć miała — powiedziała matka tonem surowym i pedagogicznym.

— Panna Nina ma chęci...

— Jest to pani zasługą, panno Anno.

— Cóż znowu...

Eustachy nie bez zdziwienia patrzył na nią. Była dziś taka prosta, naturalna, miła i poufała. Widocznie jest to dziś jej dzień — wytłómaczył sobie.

Po kawie Anna raz jeszcze wróciła do fortepianu, próbując różnych akordów.

Matka, która rzucała na Eustachego spojrzenia pełne ciekawości od kiedy wszedł, przysunęła się do niego i zapytała szeptem:

— Czy to twój garnitur? Uśmiechnął się.

— Czyżbym nosił cudzy? — Nowy?

— Nowy.

— Dużo zapłaciłeś?

— Pięćdziesiąt rubli.

— Pięćdziesiąt rubli! To chyba nie na Świętokrzyskiej...

— Nie, mam. U porządnego krawca.

— Na wypłat wzięłeś?
— Za gotówkę.
— I miałeś tyle?...
— Wziąłem z redakcyi zaliczkę na tę powieść, o której mamie mówiłem.
Matka wyglądała jak ten, kto nie chce wierzyć zupełnie własnym oczom.
Po chwili wahania jednak, na wpół przekonana, rzekła:
— Daj ci Boże, moje dziecko. Toć wiesz, że jabym chciała dla was wszystkich jak najlepiej...
Eustachy pocałował ją w rękę.
— Wiem, mamó — odpowiedział -miękkim głosem.
Anna zaczęła się żegnać.
— Ja panią odprowadzę — rzekł Eustachy.
— Proszę — odpowiedziała łaskawie. Podając jej zakieciak miał szczerą ochotę ucałować jej rękę i to nie tyle dlatego, iż to były ręce bardzo białe i wyjątkowo piękne, ale że przytem należały do dziewczyny pełnej subtelności taktu i wielkiej delikatności serca. Jak ona prosto, mile i ładnie postępowała z jego matką! Był jej za to prawdziwie wdzięczny. I jak ona szczerze się zajęła małą!
Jest w niej

jednak, pod powierzchnią dziwactwa, dusza dobra i wcale nie banalna.
Kiedy wychodził, matka zatrzymała go na chwilę, uchylając mu lekko kołnierza.
Odwrócił się zadziwiony.
Matka tymczasem, przeczytawszy firmę krawca, który mu robił ubranie, rzekła:
— Nic, nic. Chciałam tylko zobaczyć, czy rzeczywiście nie ze Świętokrzyskiej...

XXI.

Chciał jej zaraz dziękować, ale ledwie wyszli na ulicę z długiego, wąskiego, ciemnego i sklepionego kurytarza zwróciła się do niego z zapytaniem:
— Słyszałam, że pan napisał powieść"?
— Panna Henryeta pani wspominała o tem?
— Nie. Wiem to od siostry pana.
— Istotnie, pani, napisałem powieść, która otworzyła przedemną karierę literacką.
— Jaki tytuł tej powieści?
— Ładny tytuł.
— Podoba się pani rzeczywiście?
— Gdybym zobaczyła książkę z tym tytułem w księgarni, zarazbym ją sobie kupiła.
— Mówi mi pani bardzo przyjemne rzeczy.
— Gdzie pańska powieść będzie drukowana?
— W »Biegunie«.
— Prędko?

— Mniej więcej za miesiąc.
— Musi pan być teraz bardzo szczęśliwy?
Szczęśliwy? Stała mu w myśli Henryeta.
— Dało mi to wiele satysfakcyi.
— Los pan ma już zapewniony.
— O tak! Moja powieść zyskała już uznanie całego grona poważnych literatów.
Mogę zupełnie, nie unosząc się żadnym optymistycznym porywem, liczyć na swój talent.
— I to łatwo panu poszło?
— Proszę pani, mogę powiedzieć, że zdobyłem sobie świat wstępny bojem.
— Czy pan spodziewał się tego, kiedy pan pisał swoją powieść?

— Przechodziłem przez cały szereg zwątpień i nadziei. Przez cały czas jednak zawsze bliższym byłem zwątpienia. Kiedy mi przecież powiedziano, że moja powieść jest dobra, nie zrobiło mi to wcale niespodzianki.

Wielką przyjemność sprawiała mu ta rozmowa. Nosił w sobie bezwiednie, jak każdy młody człowiek zdolny i ambitny, potrzebę mówienia o sobie. Anna dostarczała mu tak dobrej sposobności do zadosyćczynienia tej potrzebie! Interesowała się jego powieścią tak żywo, zadawała pytania tak inteligentne, tak dobrze rozumiała widocznie dusze artysty.

Opowiedział więc jej szczegółowo całą historię powstania »Hallali«, jak nosił się długo

z pomysłem, który zupełnie inaczej wyglądał w głowie jego, a inaczej wypadł na papierze; jak było pierwotnie i trochę śmieszne to, z czym przystępował do pisania i jak pod piórem ten suchy i garbaty szkielet pomysłu wyprostował się, nabrał mięśni, krwi, nerwów i ustroił się w kolorową szatę stylu.

Mówił jej, jak postaci jego powieści, zrazu blade widma, które istniały tylko jako męskie i kobiece imiona z kalendarza, stawały mu się ludźmi, coraz lepiej znajomymi, coraz bliższymi, aż tak wzięły go one w posiadanie, że już żył wyłącznie tylko ich losami, a nie swoim losem.

Ale »Hallali«, cokolwiek jest warte, nie może posłużyć za miarę tego, do czego on jest zdolnym. To tylko próba sił. Ta powieść, którą teraz napisze, dopiero powie o nim światu cośkolwiek.

Tak doszli na ulicę Hożą.

— Musi pan mieć teraz dużo przyjaciół, znajomości? — zapytała, zegnając się z nim.

— Powoli...

— Nie będzie pan teraz przychodził słuchać mojej muzyki.

— Cóż znowu panno Anno! — zaprotestował żywo — zawsze z przyjemnością, niech mi pani wierzy...

Chciał jej teraz właśnie podziękować za sio-

strę i rozmówić się ostatecznie o honorarium, ale było już zapóźno.

Panna Anna, nie doczekawszy nawet, aby skończył swój protest, kiwnęła mu głową i zniknęła w bramie.

XXII.

Spróbował jeszcze raz buntu.

— Nie, nie pójdę tam w sobotę — powiedział sobie.

Postanowił przepędzić ten wieczór w teatrze. Ale sam nie miał wielkiej wiary w to, że wytrwa. Zaraz też odzywać się w nim poczęła ciekawość; jak on wygląda ten jego rywal? Czem zdołał on pociągnąć Henryetę?

Wiedział, że zaspokojenie tej ciekawości nowy ból tylko może mu przynieść, ale nie mógł nie stawić czoła bólowi temu. I kiedy przyszła sobota, ledwie że był w stanie doczekać się właściwej na wizytę godziny wieczornej.

On był już, gdy Eustachy zadzwonił do drzwi i popisywał się właśnie. Głosem miłym brzmiącym, tenorowym, dość wyrobionym, ale mało donośnym, kończył piosenkę jakąś, której każde słowo wbijało się mocno Eustachemu w głowę:

Słodkimi słowy
Świat stwarzał nowy,

Wciąż nowy urok
W duszę wprowadzał...

Głos śpiewaka brzmiał tonami wyrzutu gorzkiego i przy każdym z tych banalnych wierszów wznosił się w skali i sile; po ostatnim czuć było, że głos doszedł już do kresu wysokości i że teraz musi spaść, jakoż nastąpiła dłuższa pauza, w akompaniamencie zadgrał akord minorowy i śpiewak rozpoczął niskim głosem:

A jednak zdradzał,
A jednak zdradzał...

I skończył nieco mocniej i wyżej:

A jednak zdradzał...

Eustachy wsunął się do pokoju cicho i dyskretnie i stanął przy ścianie, spostrzeżony tylko przez panią Wolską, której kiwnął głową i która siedziała, jak zwykle, w kącie ciemnym na fotelu, bierna i nie wymagająca dla siebie żadnej uwagi. Anna siedziała przy fortepianie, akompaniując śpiewakowi, Henryeta stała za nią nieruchomo, błędząc wzrokiem po nutach, poruszając lekko nozdrzami, zasluchana. Śpiewak był chłopcem młodym, dwudziestokilkolletnim, szczupłym i dość niskim, z jasny-

mi włosami, uczesanymi starannie z przedziałem na boku; nos miał kształtny, orli, ale cofnięte czoło i podbródek nos ten wysuwały zanadto naprzód, nadając twarzy coś ptasiego. Ubrany był w długi surdut niezapięty, koloru ciemnożółtego, lakierki, czarny duży węzłowaty krawat i wysoki kołnierzyk z uchylonymi różkami. Trzymał nuty w ręku, choć do nich nie zaglądał i śpiewał na pamięć. Na jednym z palców świecił się pierścionek z dużym szafirem.

Eustachy oglądał go uważnie, szczegół po szczególe. Usłyszawszy śpiew jego, powiedział sobie odrazu: »No, on dużo nie zbuduje« — i to mu jakąś złą satysfakcję sprawiło.

Zauważył też, że tenorek nie miał zbyt wielkich warunków na scenę, był za drobnym, to go znówu ucieszyło. Starał się być bezstronnym, ale nie mógł nie przyznać, że rywal jego był jednym z ludzi zwykłych i banalnych, przypominającym tysiąc innych.

— Oto jest szczęśliwy, którego ona wybrała! — myślał gorzko.

Henryeta przedstawiła ich sobie:

— Pan Lumiński, pan Żurski.

I zwróciła się z żywością do śpiewaka:

— Niech pan zaśpiewa teraz »Stances a Manon«.

— Widocznie jego popisowa sztuka — myślał Eustachy. — Jak ona się nim zajmuje!

Lumiński zaczął:

Manon, vois, c'est le soleil,
C'est le printemps, c'est l'aveil,
C'est l'amour, maitre de choses...

Kiedy skończył, oboje z Henryetą jednocześnie zwrócili się do Eustachego, wzrokiem pytając go o zdanie.

W spojrzeniu Henryety był niepokój, widać było, iż szło jej o to, aby głos i śpiew podobały się, ale nie była wcale pewną pochwałą; w oczach Lumińskiego zaś malowała się pewność siebie, stanowczość jakaś i coś ostrego, co gotowe było na krytykę odpowiedzieć natychmiast lekceważeniem lub impertynencją.

Anna, skończywszy akompaniować, oparła łokcie o brzeg fortepianu i obojętnie patrzyła w nuty. I śpiewak i wszystko, co się wokół niej dzieje, zdawało się nie obchodzić jej ani żdźbła.

Eustachy zaczął go chwalić, ale bez entuzjazmu i tyle tylko, ile towarzyska grzeczność nakazywała.

Henryetą zaraz jednak rozjaśniła się, a Lumiński rzekł:

— No, widzi pan. I ja się już uczę pięć lat, proszę pana, nie jestem pierwszym lepszym. Ale u nas bez protekcji, pan wie...

— Pięć lat? — powtórzył Eustachy przez grzeczność.

— Tak, proszę pana...

I zaraz zaczął opowiadanie długie, systematyczne i nużące o swej nauce śpiewu i o swoich kolejnych nauczycielach, z których jeden dał mu wcale dobre, choć nie wystarczające początki, drugi byłby go zupełnie zgubił, pakując mu głos w gardło i przyprawiając go o ciągle zapalenie migdałów, aż trzeci go ocalił, dość wcześniej, na szczęście, każąc mu oprzeć oddech, tu nisko, na przeponie brzusznej...

Eustachy słuchał, myśląc, że się nigdy nie skończy.

— Jeszcze serenadę? — zaproponowała Henryeta.

Otaczała ona Lumińskiego troskliwością, która targała wnętrzości Eustachego.

— Jak ona nic nie liczy się z moim bólem — myślał. — A przecież wie...

Lumiński zaś na tę troskliwość nie zwracał żadnej uwagi, nie patrzył nawet na Henryetę, nie dziękował jej, dbając tylko o Eustachego.

Zaśpiewał francuską serenadę:

Si je chante sous le fenêtre, Ainsi qu'un galant troubadour...

Eustachy zupełnie sformułował sobie o nim zdanie. Śpiewał mile, umiejętnie i nigdzie nie

położył fałszywego akcentu. Ale za mało środków na scenę.

Pani Wolska po raz pierwszy wydała ze siebie dźwięk, prosząc młodzież do stołowego pokoju.

Henryeta posadziła Lumińskiego przy sobie i przez cały czas kolacyi nim się tylko zajmowała, bardzo ożywiona, sama prowadząc rozmowę, żartując, wyciągając z niego słowa i zdania.

Setna część tych względów otworzyłaby Eustachemu niebo na ziemi.

— Żeby choć zwróciła na mnie uwagę — jęczał w cichości duszy — żeby choć czasem rzuciła mi słowo.

Siedział milczący koło Anny, która również milczała, i nie spuszczał Henryety z oczu.

— Ależ ją wziął — myślał. — I czem? niech mi kto powie, czem?

Lumiński zaś z trudnością wyszedł z dziedziny swojego śpiewu i karyery w dziedzinę flirtu. Ale zaczął w końcu również się mizdrzyć.

Raz klapsa dostał.

Był to nowy miecz w sercu Eustachego.

— Jaka z nim poufała? Aż do zapomnienia! Po kolacyi, widząc, że Henryeta pociągnęła

Lumińskiego we framugę okna, Eustachy zbliżył się do Anny.

— Podoba się pani śpiew pana Lumińskiego?

Anna odpowiedziała jak echo, nie poruszając się:

— Podoba.

— Ładnie śpiewa?

— Ładnie.

— Głos dźwięczny...

— Dźwięczny.
— Tylko nie dość duży...
— Nie duży. Odstąpił od niej.
— Jeszcze ta dziś zła, jak żmija! — pomyślał zupełnie przygnębiony.
Chciał jednak okazać Henryecie, że zapomnienie tak zupełne, jakie mu okazuje (przez chwilę błysnęło mu, czy ona nie robi tego umyślnie, ale nie długo się przy tej myśli nieprawdopodobnej zatrzymał), nie wywołuje w nim pretensyi.
Zbliżył się do niej więc, upatrzywszy stosowną chwilę i szepnął:
— Jaka pani jest dziś urocza! Tysiącroc więcej, niż kiedykolwiek...
Wysłuchiwała komplementu z największym roztargnieniem.
— Co za lekkomyślność! — myślał Eustachy — zależy jej na mnie, a nie chce dla mnie palcem ruszyć. Ale po co ma zadawać fatygę, skoro wie, że jestem jej niewolnikiem na śmierć i życie.
Kiedy na pożegnanie wziął ją za rękę, po-

czuł że ta ręka była niezwykle i rozkosznie ciepła.

I przez chwilę był, jak ten, który ma zaraz stracić przytomność.

Wyszedł razem z Lumińskim.

— Pan gdzie pisze? — zapytał go śpiewak.

— W »Biegunie«...

— Ale nie z teatru?

— Nie.

— Jednak, zawsze ma pan stosunki... Eustachy zaraz go pożegnał.

— I nawet nie poprosił mnie, abym użył dla niego tych stosunków — myślał. — I powiedział to takim tonem, jakby moje stosunki do niego już należały. Więc ona musiała mu powiedzieć i to nawet, że ja ją kocham... Powiedziała, bo to widać po jego zachowaniu się... Cóżby ją wstrzymywało?

... Ta dziewczyna dawała mi pić piolun życia ręką bez litości!...

XXIII.

Pewnego dnia, idąc do redakcyi "Bieguna", spotkał się w bramie z Wieńkowiczem, który stamtąd wychodził.

— Jakże idzie panu przeróbka? — zaczepił go.

— Nie bardzo.

— No? — rzekł ze szczerem zainteresowaniem.

— Trudno mi się zabrać,

— Więc pan nawet nie zacząłeś?

— Nie jeszcze.

— Panie, leniuch pan jesteś — zrobił mu wymówkę, łagodząc jej ostrość tonem przyjacielskiej poufności.

Eustachy odpowiedział smutno:

— To nie lenistwo, panie...

Wieńkowicz zrozumiał, że młody autor ma jakąś troskę, która mu pracować nie daje i jako zawodowy obserwator zaraz był tej troski ciekawy.

— Po śniadaniu pan jesteś?

— Nie.

— To chodź pan ze mną na kieliszek wódki.

— Z przyjemnością.

Dzień był prawie zimowy, choć pogodny; niebo jasno świeciło i najwyższe piętra domów złotem się oblały, ale w ulicy cieniem zasłoniętej, dało się czuć dotkliwie zimno.

W ciepłym pokoju restauracji, po kieliszku ogrzewającej starki bardzo się rozgadali.

Eustachy miał naturę młodą, skłoną do zwierzeń, spostrzegł jeszcze w

Wieńkowiczu pomoc — opowiedział mu więc swoje utrapienie.

Wieńkowicz słuchał go z zainteresowaniem się i uśmiechem.

— Eine alte Geschichte, dic bleibst doch immer neu — zadeklamował.

W Eustachym powstał cień żalu do Wieńkowicza. Wydało mu się, że jego niedola za mało wzbudza w nim współczucia. Ciągły uśmiech Wieńkowicza trochę go bolał.

— Niech-no pan czterowersz wypowie do końca — rzekł Eustachy, dając dyskretnie wyraz swojej pretensyi.

Wieńkowicz jednak rozumiał go i przedtem.

— A pan może chciałbyś, żebym pana żałował?

Eustachy spojrzął na niego pytającym wzrokiem.

— Nigdy w życiu! — zakończył Wieńkowicz z energią.

Eustachy nic nie śmiał na to powiedzieć; w duchu jednak zaprotestował mocno, bo wydawało mu się, że jest dość nieszczęśliwy na to, aby w duszy delikatnej trochę współczucia obudzić.

Wieńkowicz tymczasem kończył myśl swoją:

— Przecież słowo panu daję, że gdybym ja był pańskim ideałem, tobym nawet nie spojrzął na pana.

Eustachy zaczął się dziwić i bawić.

— Dlaczego, panie?

— Jakże pan chcesz? Powiedziałeś jej pan wszystko, nic nowego do dodania pan nie masz, powtarzasz więc pan piosenkę, ciągle tę samą, ciągle w kółko, i to piosenkę, która jej się nie podobała... Bo gdyby się była podobała, to co innego... Ale się nie podoba. Pan ją nudzisz, przestałeś być dla niej interesującym. Nie dziwię się wcale, że ona woli pierwszego lepszego, bo od niego coś nowego może się dowiedzieć; a jeżeli się nie dowie, to przynajmniej spodziewa się dowiedzieć. Od pana zaś nawet się nie spodziewa. Pan rościsz do tej dziewczyny zupełnie dziką pretensyę. Za co pan chcesz, żeby pana pokochała? Eustachy słuchał tych słów rozpogodzony. W tej krytyce, tak szerokiej, ale i oryginalnej

w formie, ocenił naprzód jej słuszność, a następnie odczuł życzliwość: miał przecucie, że człowiek, który tak jasno i pewnie orientuje się w życiu, da mu dobrą radę, wprowadzi go na właściwą drogę.

— Ja ją tak dawno kocham, tak mocno, tak stale, tak delikatnie...

— Kiedy na niej to nie robi wrażenia! Trzeba poszukać czegoś, coby robiło.

W Eustachym serce zabiło radością. — A to można? — zapytał z całą naiwnością niedoświadczonego a zakochanego człowieka. Wieńkowicz zaczął uroczyście:

— Ja panu dam radę, dobrą radę, za którą ręczę. I powiem panu więcej: to jest jedyna rzecz, jaką pan możesz i powinienes zrobić.

W Eustachym zatrzymał się oddech.

— Pan powinienes się jej — wyrzec. Wieńkowicz wyrzucił ostatnie słowo z mocą, jak końcowy efekt w komedyi.

W Eustachym upadł duch. — Ba! — powiedział sobie.

Wieńkowicz ciągnął:

— Ale wyrzec się naprawdę, bez słabości, powiedzieć sobie: zginę, a nie zrobię kroku. Jak pan sobie to powiesz, patrz-że pan, co teraz będzie. W najgorszym razie: po dwóch, trzech miesiącach odzyskasz pan spokój, odzyskasz pan swoją godność, którą tak mało pan cenisz,

przestaniesz pan życie sobie psuć, upokorzenia łykać. I przyjdzie czas — zakochasz się pan znowu i szczęśliwie, co daj Boże, i będziesz pan sobie wspominał: Jednak ten Wieńkowicz, to nie był głupi człowiek. To w najgorszym razie. Pomyśl pan, że to nie jest już tak bardzo źle.

— A w najlepszym?

— W najlepszym, jeżeli tylko pan wytrzymasz do końca swoją rolę, pańska Henryeta rzuci się panu na szyję.

Eustachy uśmiechnął się do tego obrazu.

— To się udaje trzy, cztery razy na dziesięć. Jest to historia "szlachetnego zdrowia", o którego wartości przekonywamy się dopiero wtedy, kiedy go niema. Panie, pan masz przecie wszystkie dane, aby się podobać: młody, przystojny, interesujący nawet przez tę czuprynę, co panu stoi na głowie, jak grzebień u koguta, inteligentny, utalentowany... Jeżeli się tacy nie będą podobali młodym pannom, to czegoż one chcą u licha? Pan-byś się z nią ożenił?

— Dziś!

— Tembardziej. Ona jest nauczycielką, prawda? Nie ma majątku?

— Uboga, sierota...

— Jesteś pan więc dla niej partyą. Gdzież ona lepszą znajdzie? Wszystko mówi za panem, przeciwko — jedno tylko pańskie niedołęstwo.

Inny duch wstąpił w Eustachego pod wpły-

wem tych rad sprężystych, które wchodziły do jego umysłu, jak jakieś wyższe rozkazy.

Zupełnie przekonany oddał sobie głośno sprawiedliwość:

— Istotnie, ja postępowałem, jak smarkacz. Wieńkowicz pochwalił go za list ostatni do Henryety.

— To należało uczynić. Inaczej wyglądałoby żeś się pan cofnął dlatego, iż się fortuna panu uśmiechnęła. Ale teraz, z powodu owego tenorka, masz pan doskonałą chwilę do usunięcia się. Zrobiła wybór! Pan nie chcesz przeszkadzać jej do szczęścia! Ustupujesz pan więcej godnemu!...

Eustachy głową kiwał. W głowie jego zrobiło się zupełnie jasno.

— Byłbym głupim, gdybym pana nie posłuchał.

Przypomniały mu się jednak jego nieudane bomby.

— Choć to będzie nie łatwo...

— Panu łatwiej, niż komukolwiek: pan masz na pociechę talent, sztukę. Weź się zaraz do poprawiania »Hallali«, a jak się pan chociaż trochę wciągniesz, to i myśleć pan nie będziesz o tem, o czem nie potrzeba.

Eustachy wyszedł z restauracyi z uczuciem człowieka, który wie dobrze, co ma ro-

bić i pełen przytem admiracyi dla Wieńkowicza.

— Jak on zna życie, ludzi, kobiety! Jaki matematyk! Co za bystrość oka, pewność sądu! Takemu to musi dopiero być dobrze na świecie! Oto człowiek!

XXIV.

Zabrał się nazajutrz do powieści i zaczawszy ją czytać, tak się wciągnął, że przeczytał całą; życie, którego sam był twórcą, zajęło go, potem porwało i pochłonęło.

Na chwilę tylko, kiedy niekiedy, odrywał się myślą od losu bohaterów swoich, aby zadziwić się, że to wszystko wyszło z jego własnej głowy. Sto razy powieść jego robiła mu niespodzianki, cieszył się, że był tak dobrze natchniony, czuł i widział, iż ma w sobie siłę niezwykłą — i poddawał się uczuciu dziwnemu jakiegoś rozdwojenia swej osoby.

Widział siłę swoją jako coś obcego mu w dużym stopniu, co nie towarzyszy mu w życiu stale, ale tylko w pewnych chwilach się w nim pojawia, nad czym niema władzy dość kompletnej, a co jak jakaś łaska z Nieba przeistacza go: pogłębia, rozszerza wzmacnia, uskrzydla. Kilka razy z wielkiego wrażenia odłożył zeszyt w środku sceny, w środku zdania i ogar-

niało go zdumienie, któremu wielka radość towarzyszyła.

— To ja istotnie napisałem?

Pod koniec czytania chwycić go poczęło wzruszenie; roztkliwił się, widząc niepowodzenia bohatera »Hallali«, łzy mu napłynęły pod powieki, aż w końcu — przy opisie ostatniej fatalnej nocy — rozplakał się na dobre.

— To jest prawdziwie piękne — pomyślał i uśmiechnął się ze szczęścia.

I tak miał na twarzy jednocześnie łzy i uśmiech.

Zamknął wreszcie »Hallali« i zaczął ocierać oczy. Łzy uważał za słabość i śmieszność; dobrze przynajmniej, że nikt go nie widzi w takim stanie.

Kiedy ostygnął, rad był, że przeczytał powieść. Teraz już wie doskonale, jak i co poprawić należy. Zachowanie się jego Heleny istotnie raziło go w kilku miejscach. Wieńkowicz to jest naprawdę niezwykle człowiek. Oto prawdziwy krytyk. Przeróbka niewielka; za tydzień odniesie »Hallali« do redakcji. Nierówności będą wyrównane, powieść zyska, ale figura Heleny pozostanie bladą na zawsze, bez siły, wyrazu, plastyki. Na to już żadna przeróbka nie poradzi. Co za rozum ma ten Wieńkowicz!

Wziął się rzeczywiście do pracy codziennej, systematycznej. Poszła mu ona dobrze, ale nie

tak prędko, jak sądził. Przerobiwszy kilka ustępów tak że był z nich zadowolony, zaczął się niepokoić innymi ustępami, takimi, które nie wymagały koniecznej przeróbki, które jednak nie stały na wysokości miejsc najlepiej udanych.

Zaczął i te przerabiać jedno po drugim.

Aż owładnęło nim despotycznie niby z mora jaka, poczucie doskonałości i mozolić się zaczął, aby zaspokoić wewnętrzną potrzebę dania satysfakcji rozbudzonemu w nim jakby artystycznemu sumieniu.

Mógł o Henryecie tkwić w nim, jak cierń. Ile razy jednak jej postać stanęła w jego wyobraźni, odtwarzał sobie zaraz rozumowanie Wieńkowicza. Wytrwania — powtarzał sobie.

Zdecydowany był postępować stale tak, jakby się jej wyrzekł; jedyna to była droga, której ogień nadziei przyświecał. Talent istotnie był mu pociechą, pomocą, siłą — praca dni wypełniała.

Pewnego razu, przeszukując kieszenie w starym ubraniu, znalazł pomięty świstek papieru, na którym zanotowane były jakieś daty i łacińskie słowa. Kartka wielce zagadkowa. Poznał na niej niewątpliwie swoje pismo — ale co znaczyły te hieroglify?

Dopiero po długim przypatrywaniu się uderzył ręką w czoło. Była to notatka z encyklopedyi o Szymonie Starowolskim.

XXV.

Zachodził czasem dla odpoczynku i rozrywki do redakcji »Bieguna«.

— Co słyhać? — pytał go Wieńkowicz.

— Dobrze, panie — odpowiadał.

— Dobrze, czy wszystko dobrze? — pytał z naciskiem.

— Wszystko.

— To Bogu dzięki!

Przyjemnie mu było spędzić jedną i drugą godzinkę w redakcji, która stała się

dla niego jakby częścią własnego domu. Rzucił okiem na najnowsze wiadomości, które przychodziły z zecerni w formie bezkształtnej i często zagadkowej, czytywał bardziej interesujące artykuły, do »numeru« przeznaczone, które mu usłużnie podawał sekretarz (pełen teraz dla niego najdelikatniejszej uwagi), poznawał nowych ludzi i zgadywał po sposobie, w jaki się z nim witali, czy wiedzą z kim mają do czynienia lub nie.

Pogłoska o nowym talencie chodziła już po mieście i coraz częściej Eustachy spotykał ludzi którzy ściskali mu ręce w sposób inny, niż ten którym bierze się dłoń człowieka pierwszego lepszego. Raz i drugi spostrzegł, że ten i ów obserwuje go z zaciekawieniem.

Redaktor "Opiekuna Wszechświata" (który przyszedł w słodki sposób rozwinąć gorzką pre-tenswę o to, że »Biegun« nie robi nigdy wzmianki o jego piśmie) usłyszawszy nazwisko Eustachego, zwrócił się do niego owacyjnie:

— Słyszałem, słyszałem. Bardzo mi przyjemnie. Niechże pan będzie łaskaw dla mnie coś napisać.

Eustachy był ujęty.

— Czegoby pan chciał?

— Co panu się będzie podobało. Artykuł jaki ładny, nowelę....

— Wolałbym nowelę.

— Doskonale. Tylko niech mi pan nie każe długo czekać.

I wielokrotnie potrząsał jego ręką.

Eustachy wyglądał jak człowiek, którego spotkało szczęście. Ale zaraz go wszyscy otoczyli.

— Spodziewam się, że pan mu nie dasz noweli — rzekł Wieńkowicz. — Kto pisze do "Opiekuna Wszechświata"? Tam nie jest miejsce dla pana.

— Niech pan będzie spokojny — odpowiedział Wieńkowiczowi Drewnowski — jabym mu na to nie pozwolił.

Sekretarz wykrzywił ironicznie usta:

— Zapytaj się pan go, ile panu zapłaci za nowelę?

Eustachy tłumaczył się:

— Ja nie wiedziałem...

I zmienił zaraz postanowienie. Nie zmienił się w nim jednak dobry nastrój ducha; miło mu się uczyniło, że tak szanują jego talent, że jego otaczają taką opieką; czuł się trochę pieszczonem dzieckiem.

Ale raz się zaniepokoił.

— Był dziś Kapturski — rzekł mu sekretarz, który znajdował przyjemność w tem, że powiedział komuś coś nowego, choćby nowina dla obu . była obojętną. — Zna go pan? Ma u nas powieść. Przyszedł dowiedzieć się co z nią słyhać?

— Kapturski był jednym z najstarszych powieściopisarzy; nazwisko wszystkim znane, duża ilość wydanych tomów, lat pracy, literackich zasług.

Eustachy zadrżał o los swego »Hallali«!

Tak przywykł już do myśli, że powieść jego za kilka tygodni ujrzy światło dzienne... Tak ciężko mu doczekać się tej chwili... A teraz?

Zdawało mu się, że sekretarz (którego uwa-

żał za chętnego do każdego złego czynu) dlatego tak skwapliwie udzielił mu tej wiadomości, ponieważ wiedział, iż mu ona życie zatruje.

Postanowił pójść do redaktora. Przecież on mu dał słowo, że jak tylko się skończą »Biegalscy« Wieńkowicza...

Eustachy nie umiał się nigdy dobrze rozmówić z redaktorem. Nie potrafił jakoś wpaść na ten ton właściwy, po za którym konwersacja jest uciążliwą, a porozumienie jakoś sztuczne.

Czuł to i mówił sobie, że swoboda przyjdzie przy lepszej znajomości. Ale dotychczas nie przyszła.

Redaktor go uspokoił:

Owszem, owszem — rzekł — pańska powieść pójdzie zaraz po »Biegalskich«.

Podkreślił jednak ten fawor.

— Przecież to panu przyrzekłem. Eustachy bąknął:

— Słyszałem, że Kapturski ma tu powieść...

— On jeden? — rzekł redaktor trochę z wysoka. — Czy pan myśli, że nam brak jest powieści?...

Eustachego to uspokoiło. »Przyrzekł«—mówił sobie. Jednak w jego myślach o karierze »Hallali« pozostał jakiś cień niepewności. Obawiał się, aby Kapturski nie użył swego po-

tężnego wpływu i nie zażądał kategorycznie dla powieści swojej pierwszego miejsca.

A redaktor »Bieguna« wygląda trochę na człowieka, którego nie musi kosztować wiele krok wstecz. Choć coby to takiemu Kapturskiemu szkodziło poczekać trochę? Tyle już przecież sławy padło na jego udział! Tyle już widział powieści swoich w druku!

XXVI.

— Wiesz ty, co o Wienkowiczu gadają na mieście? — zapytał Eustachego Drewnowski.

Nic nie wiem.

— Karyerę robi.

— No?

— Żeni się z panną Merłówną.

— Córką tego?...

— Tak z jego córką.

Merle był jednym z najbogatszych przemysłowców w kraju.

— Czy to jedynaczka?

— Nie. Są dwie panny i jeden panicz. Ale dwanaście milionów, kochanie, dwanaście milionów! Jest się czym dzielić.

— I to fakt?

— Podobno.

— Widziałeś pannę?

— Widziałem.

— Brzydka?

— Nie, ładna. Postawna, rysy regularne, zupełnie ładna. Nie jest młodziutka, ma lat może dwadzieścia sześć, ale ładna kompletnie.

Eustachego wcale ta wiadomość nie zadziwiła. Któż będzie robił karierę, jeżeli nie taki człowiek, jak Wienkowicz?! Ten umie wziąć życie za łeb!

Pójdę do niego dziś wieczorem, postanowił, pogadam z nim. Wienkowicz od chwili, w której mu zaczął imponować, interesował go szczerze i mocno.

Ale trafił źle, gdyż u Wienkowicza byli: jakaś młoda panna i młodzieniec.

— Wybieramy się dziś do teatru — rzekł mu Wienkowicz. — Panna Aurelia, moja pupilka, która rządzi despotycznie swoim opiekunem, chce zobaczyć »Aidę«.

Zaprosilibyśmy i pana, ale nie mamy łoży, a wiem, że wszystkie bilety sprzedane.

Czy ma pan może jaki interes do mnie?

— Nie. Tak przywlekłem się na pogawędkę.

— Przychodź pan jutro.

W pannie Aurelii poznał Eustachy tę samą pannę, której główka, lokami osypana, stała jako fotografia na biurku Wienkowicza. Była to panna

dwudziestokilkoletnia, z twarzyczką świeżą i okrągłą, patrzącą na świat zadowolonymi oczyma. Spojrzała z ciekawością na Eustachego, ale potem zaraz poczęła się trochę

niepokoić, czy nie spóźnią się przez niego do teatru.

Eustachy to odczuł i chciał zaraz wyjść, ale w młodzieńcu, który stał za nią, znalazł kolegę z pierwszego kursu uniwersytetu, Leońskiego.

Przypomnieli się sobie.

— Wyście pewno skończyli już prawo?

— W tym roku.

— I cóż robicie?

— Wiszę tymczasem przy sądzie. A wy? Wieńkowicz odpowiedział za Eustachego:

— Pan nic nie wiesz? To jest »nasz miody, pełen talentu powieściopisarz«...

Leoński rzekł:

— A! winszuję!

I ledwie mógł pokryć zdziwienie i niespodziankę. Eustachemu to spotkanie sprawiło dużą satysfakcję. Czy to który z kolegów jego przypuszczał, że to on, którego mieli wszyscy za średniaczka, nie wyróżniającego się niczem, za istotę przeciętną i banalną, pierwszy się na czoło wysunie i wyprzedzi tych wielkich ludzi, którym już w piątej klasie kładą wawrzyny, a o których potem w życiu tak głucho...

Wydawało się Eustachemu rzeczą taktu, o czym innem zacząć.

— Ale nie zmieniliście się — rzekł.

Ta uwaga jakby uraziła trochę Leońskiego.

— Czy tak? — zapytał wątpięcym głosem.

— Doprawdy. A pamiętacie, jakeśmy was nazywali?

— Pamiętam — odpowiedział niekontent. Panna Aurelia wysunęła na to naprzód swoją świeżą buzię i z ożywieniem zapytała:

— Jak pana nazywano, jak?

W jej ruchu i głosie czuć było dziecko rozpieszczone i przyzwyczajone, aby robiono natychmiast to, do czego oczka mu się zapalą.

— Mogę przecież powiedzieć, bo to pochlebne dla was. Nazywaliśmy go: panienką.

Pokręciła trochę główką. Była to jakby dyskretna krytyka przezwiska. Leoński widocznie z tego przypomnienia nie był kontent, a panna stawała po jego stronie. W rzeczywistości przecież przezwisko było usprawiedliwionem; Leoński był chłopcem delikatnym, szczupłym i zgrabnym, jasnym, z cerą rzadkiej, kobiecej białości, dwoma rumieńcami o pięknej różowości ozdobionej; trochę włosów pokrywało jego brodę nikłym mchem.

Ale zbliżała się ósma, Eustachy pożegnał się i wyszedł.

— Zdaje mi się — pomyślał sobie — że tych dwoje młodych, to para.

XXVII.

— Nie. Ani razu. Trzymam się, jak mur. A kilka razy pchało mnie gwałtem. Tęsknota i słabość do współki stawiały mi zasadzkę. Henryeta mieszka, muszę to panu powiedzieć, u niejkiej pani Wolskiej (dawna to znajomość), ta pani zaś ma córkę, artystkę, która daje mojej siostrze lekcye. Otóż ciągle mi się zdaje, że ja mam do niej interes. Ale nie wierzę sobie, choć może i rzeczywiście mam interes.

— Co to za panna? Młoda?

— Młoda.

— Ładna?

— Ładna, owszem. Szczególnie ręce ma tuk piękne, że usta same do nich lecą.

— I miła?
— Dziwadło. Trudno z nią do ładu trafić. Raz miła, raz nieznośna.
— A gra ładnie?
— Artystka.
— Nic mi pan o niej nie wspominałeś.

— Tak jakoś...
— A cóż? Jak pan masz do tej panny interes, to pójdz pan tam. Powiem panu więcej: jeżeli chce się panu tak bardzo całować ją po rękach...
— Rozumiem.
— Tylko to trudna rzecz tak szydło trzymać w worku, żeby nie wylazło... A z drugiej strony, jak pan znowu zawrócisz w głowie tej dziewczynie?...
— O to jestem spokojny.
— Bo to, panie, tu trzeba być chytrym, jak ten wąż ewangeliczny. Niech panu się zdaje, że pan powieść piszesz. Każda sytuacja, w książce i życiu, musi dojrzewać powoli, jak jabłko na słońcu; wszystko, co niedostatecznie przygotowane, jest i nieprawdopodobne i nieartystyczne — w życiu wyda się fałszywym, w książce nudnym. Tylko, panie, jeżeli pan się zdradzisz, jeżeli Henryeta spostrzeże pańską grę! Tu trzeba z każdym słowem postępować tak, jak postępuje skąpiec z pieniędzmi: dziesięć razy obejrzy każdy grosz, zanim go wyda.
Wieńkowicz mówił z siłą, z pewnością siebie i sama sprężystość jego głosu wlewała w Eustachego zaufanie i wiarę. Eustachy czuł w sobie brak życiowego doświadczenia, i miał oto w Wieńkowiczu to źródło żywe i przystępne, skąd może jak kubkami czerpać gotową mądrość. Z nai-

wnością studenta wobec profesora chłonał formuły i wskazania. Byle tylko być pojętym uczniem — starał się.
Wieńkowicz zrobił kawy czarnej.
— A teraz, panie — zapytał go Eustachy, który od wczoraj nosił w sobie niespokojną ciekawość — czy to prawda, że się pan żeni?
Wieńkowicz zmieszał się.
— Skądże... — szepnął.
— Na mieście mówią...
— Co? Na mieście? Zdziwił się.
Eustachy zaczął żałować swojej niedyskrecyi.
— Pan wie — zaczął naprawiać, czując, jak niedelikatnie postąpił — jak to ludzie plotki...
— Cóż mówią? — zapytał Wieńkowicz jakoś szorstko.
— Że się pan żeni z córką Merlego. Wieńkowicz rozjaśnił twarz natychmiast.
— Gadają o tem?
— Gadają.
— No, to upoważniam pana do kategorycznego zaprzeczenia tej plotce.
— Więc to plotka?
— Najprostsza.
Wrócił Wieńkowiczowi dobry humor na chwilę utracony.
— Choć może i jest niejaki pozór do plotek — rzekł po chwili. — Ostatecznie w domu

Merlego bywam dosyć często, bez wielkiej przyjemności co prawda, ale też i bez przykrości. Starsza panna Merłówna może mnie wyróżnia trochę, ale to zapewne dlatego, że we mnie jednym nie widzi konkurenta. Jesteśmy ze sobą w miłych przyjacielskich stosunkach, panna jest rozumna, ma do mnie zaufanie, ja jej

dobrze życzę et voila tout.

— Może plotka jest trochę prorocstwem — zażartował Eustachy.

— O, nie, panie. Panna Merłówna jest dla mnie za bogata.

— Do tej wady można się przyzwyczaić.

— Panie, ja także mam wadę — po nad wszystko cenię swoją niezależność i swobodę. Powiesz mi pan może, iż jest to najpiękniejsza swoboda być zależnym od kobiety, którą się kocha i która nas kocha. Ale ja nie chcę, aby ta kobieta miała miliony. To prosty fałsz, co mówią o niwelacyjnej działalności miłości; nie ona nie wyrównywa., zasłania tylko. Ot, zobacz pan ludzi nie dobrze dobranych do pary, wtedy, kiedy miłość odeszła, a odchodzi ona szelma, dziecko cygańskie, gdy jest najpotrzebniejsza. Są zresztą ludzie, którym majątek potrzebny jest do szczęścia. Ja czuję, że mnieby przeszkadzał. Ja mam potrzeby proste. Nie jest to bynajmniej cnota z konieczności. Temperament już taki, właściwość natury. Moje przyjemności i roz-

kosze są mi, dzięki tej szczęśliwej naturze, sługami i ja do nich w niewolę nie pójdę.

Powiem panu jeszcze, że mile jest mi moje stanowisko w środku, jedyna to pozycja dla obserwatora i powieściopisarza (a ja lubię swoje rzemiosło). Widzi się stąd ludzi takimi, jakimi są, zarazem złymi i dobrymi, patrzy się na życie jak na obraz, w którym się światła i cienie kombinują w jakąś logiczną całość. Ot, taki Merle, stoi on w życiu, jak na jakiejś haniebnej wystawie wszystkiego tego, co jest niskiem w naturze człowieka. Pogarda rodzaju ludzkiego byłaby mi uczuciem zbyt przykrem i ciężkiem. Widzę, że pan masz zarzut na ustach: Walczyć! Reformować! Pomagać! Porządek robić! — Kto inny z lekkim sercem wziąłby się do tego; mnie toby sprawiało niesłychany kłopot moralny. Niema we mnie ani łockia tego materiału, z którego możnaby było uszyć reformatora. Wierzę w tysiąc prawd, na jedną nie potrafiłbym się zdobyć.

— Fortecę pan zbudował dokoła siebie. Żadna słabość nie ma do pana przystępu, duża ani mała. Jest pan l'homme fort.

Wienkowicz uśmiechnął się; widocznie ta uwaga odpowiedziała jego własnym o sobie myślom.

XXVIII.

Pewnego razu, rano, kiedy Eustachy chodził po pokoiku przed otwartym zeszytem »Hallali«, czekając aż wzbierze w nim z dostateczną siłą ochota do pisania, weszła niespodziewanie Janinka.

— Cóż to u was za święto dziś? — zapytał, całując ją we włosy.

— Niema dziś święta. Ja nie chodzę już na pensję.

— Dlaczego?

— Ojciec nie chce płacić.

— Żarty!

— Powiedział stanowczo, że nie da już ani grosza. Dwa dni już nie chodzę.

— Czemużeś zaraz nie przysłała do mnie?

— Ja chciałam, ale mamusia była tak zmartwiona, że nie można było odejść. Płacze od rana do nocy. Napisała mamusia do Antka list bardzo rozpaczliwy. Antek przysłał. depeszę, że

dziś przyjeżdża. Mamusia znowu się martwi, że Antek przestraszył się za bardzo...

— Niepotrzebnie przestałaś chodzić na pen-sve. Przecież wiedziałaś, że czy Antek, czy ja zapłacimy.

— Taak... ale po pierwszym... widzisz... wstyd jakoś...

— Cóż ojciec? Powiada, że niema pieniędzy?

— Tak. I mówi, że już dosyć się nauczyłam, że mi więcej nie potrzeba, że i tak za mąż pójdę...

Eustachy pocieszył ją, uspokoił, prosił, aby uspokoiła mamę, powiedział, że na pensję będzie chodziła, dał jej na ciastka i na tramwaj, pocałował i do domu wyprawił.

Przyszedł na Gołębią w godzinie obiadowej. Wszyscy już siedzieli przy stole. Sama obecność Antka uspokoiła matkę. Ojciec był ponury.

Antek powitał Eustachego szorstkim głosem:

— Dobrze, żeś przyszedł, bracie — rzekł. — Ojciec nie chce płacić za pensję Ninki. Coś trzeba z nią zrobić. Jak myślisz? Możeby oddać ją do służby?

Ojciec bał się Antka, który mu nie szczędził przykrości i mścił się w każdym niemal słowie za swoją własną karierę. Słuchał więc gorzkich słów syna rozdrażniony, ale nie wybuchnął.

— Nie mam — tłómaczył się — skąd we-

zmę, jak nie mam. Lokatorowie nie płacą. Felczer miał zapłacić, wyprowadził się na Pragę, przyrzekał, byłem dwa razy, jeszcze mię wyśmiał.. A podatki? Policz tylko... Samo podymne przeszło sto rubli. A naprawy codzień... Starczyć nie można. A kary? Rewirowy ciągle się przyczepia...

— Wszyscy powinniśmy ojcu podziękować — mówił Antoni. — Ja nie poszedłem na politechnikę, bo ojciec nie dał pieniędzy; byłbym już inżynierem. Stach nie skończył uniwersytetu, bo ojciec nie dał pieniędzy, byłby adwokatem niezadługo. Dobry ojczulek!

— Jednak masz kawałek chleba, i dobry — bronił się stary, jedząc zupę pilnie. — A on, gdyby mu się chciało pracować, to takżeby miał. Nie pracuje, to i nie ma. Eustachy nawet powieka na to nie poruszył. Nie prowadził on, jak brat, wojny z ojcem. Po co? Czy to wróci przeszłość? Był milczący i obojętny.

Ojciec ustąpiłby niewątpliwie wobec nacisku rodziny, ale bracia wiedzieli, że to na miesiąc tylko, że na następnego pierwszego matka nową wojnę musiałaby prowadzić. Zdecydowani byli sami kształcić siostrę. Nie nalegali więc na ojca. Tylko Antek truł mu obiad.

Ojciec jadał z pospiechem i skończywszy, za-

raz ubrał się i wyszedł, zadowolony w duszy, że udało mu się wykręcić, W domu zapanowała zaraz swoboda i wesołość.

— Pójdiesz do służby, mała! — żartował Antoni.

— A no, na pokojówkę — zdecydowała matka — bo gotować przecież nie umiesz.

— Umiesz, mamó! — zaprotestowała Ninka.

— Umiesz? A jakże! Co?

— A rosół.

— Ktoby tam chciał jeść twój rosół. Wzięła się tu niegdyś, powiadam wam, do kuchni, jakeśmy zmienili służę i zagotowała rosół z szumowinami...

Roześmieli się chłopcy, aby matce, którą to rozbawiło, przyjemność zrobić.

Po chwili Antoni rzekł poważnie:

— Ale to radzić trzeba.

Matka przyłożyła ręce do głowy.

— Radźcie, moje dzieci, bo ja już nie umiem sobie dać rady.

— Co tu radzić — rzekł Eustachy — musimy wziąć wydatki na siebie i koniec.

Prosto i krótko.

Antoni spojrzał na brata, jak gdyby go badał:

— A ty możesz się przyczynić do wydatków?

Eustachy odczuł, że to jest egzamin.

— Mogę — odrzekł, starając się o prostotę.

— No, a dużo możesz?

Eustachy ominął odpowiedź na nieprzyjemnie postawione pytanie.

— Weź ty na siebie pensję — zaproponował — ja wezmę muzykę.

Antoni zaraz się zgodził. Matka miała wyrzuty.

— Moje dziecko — powiedziała z czułością do Antka — nie mogę sobie darować, żem cię tak zaniepokoiła. Ale zdawało mi się, że wszystko stracone. Daruj mi, mój synu.

Wzruszyło to Antoniego.

— Ależ mam, przecież to mój obowiązek... Jeżeli doszedł do czego w życiu, to przecież nietylko dla siebie...

I ucałował jej rękę. Zapytał potem:

— A jakżeż jest z muzyką?

— Uczy się, uczy — powiedziała matka tonem, który chwalił Janinkę.

— Ma nauczycielkę?

— Jeszcze jaką! — rzekła matka.

— Najlepszą w całej Warszawie! — zawołała Ninka z uwielbieniem.

— I ile to kosztuje miesięcznie? — zapytał.

— Nie wiem jeszcze — odpowiedział mu Eustachy. — To znajoma. Zresztą, to mój wydział.

Matka zaczęła rozplýwać się w pochwałach dla Anny. Co to za dziewczyna!

— Wczoraj..

Eustachy przerwał zdziwiony:

— Ona tu była jeszcze?

— O! ze cztery razy...

— Widziała ojca? — zapytał z niepokojem.

— Parę razy. Ojciec zawsze pyta o nią. Ona porozmawia z nim o zdrowiu, o pogodzie, o wypadkach z »Kuryera«. A i mnie pocieszy — dodała z serdecznością. Eustachy zarumienił się znowu.

— Więc ona, widzę, zna nasze domowe stosunki.

— Albo to się ukryje? — rzekła matka. — Czy to nie widać?

Eustachy powiedział sobie, że Anna jest dziewczyną dziwną i pełną delikatności.

Matka, widząc, że Antek zajęty jest rozmową z Ninką, nachyliła się do

Eustachego:

— Słuchaj - no — zapytała szeptem — czy ona ma co?

Uśmiechnął się.

— Owszem, zdaje się, że coś tam jest.

— A dużo? Nie wiesz?

— Nie wiem.

— Tak, choć mniej więcej?

— W każdym razie niewiele. — Szkoda.

Uśmiechnął się znowu.

— Matusia, widzę, chce mnie wyswatać.

— A cóż! Gdyby miała choć z dziesięć tysięcy.

— Antka naprzód wyswatajmy, on starszy.

— Można... Pewno...

I po chwili jakby namysłu dodała:

— Żeby miała tak jakie dwadzieścia tysięcy...

— On jest wart dwa razy więcej odemnie — zauważył Eustachy wesoło.

Matka się trochę zawstydziała.

— Nie, ja tak tylko sobie... Mój Boże, o czym to się nie mówi...
Eustachy pocałował ją w rękę. Bracia wyszli razem, aby pogawędzić swobodnie.
— Cóż ty? Jesteś już wielkim? — rzekł Antoni.
— A już niezadługo — odpowiedział Eustachy bez urazy.
— Niezadługo? Więc to prawda z tą powieścią?
— Wkrótce zacznam ją drukować.
— Gdzie?
— W »Biegunie«.
— I przyjęli?
— Przyjęli.
Wydawało się to Antoniemu rzeczą dziwną, która różne myśli w nim budziła.

— I zapłacą?
— Zapłacą.
— I co teraz będziesz robił?
— Będę pisał nową powieść.
Eustachy zaproponował, aby wstąpili na czarną kawę.
— Poczekaj-no — rzekł Antoni — naprzód trzeba pójść i zaprenumerować tego »Bieguna«...

XXIX.

Wieczorem poszedł Eustachy zobaczyć się z Anną — tylko z Anną. Chciał jej podziękować za to serdeczne zajęcie, jakie okazywała jego siostrzyczce, zajęcie, które wychodzi daleko poza granice zwykłych lekcji muzyki i wkracza w dziedzinę przyjaźni, miłej, delikatnej i ciepłej. Miał nawet frazes gotowy na ustach, kiedy stanął na progu tego skromnego saloniku, w którym wspaniała fortepian tak zbyt kownie odbijał od prostego garniturka mebli, ale zanim zdążył przemówić, Anna szybko podeszła do niego, podała mu rękę ruchem przyjaznym i zarazem niedbałym i zawołała z żywością:
— Jak to dobrze, że pan dziś przyszedł. Czy przyjechał pan Antoni.
— Przyjechał, proszę pani — rzekł znowu zdziwiony i wzruszony.
— I coś postanowiono?..
— To była drobnostka, proszę pani.

— Więc Janinka będzie chodziła na pensję?
— Ależ naturalnie. I od jutra. Niepotrzebnie przerwała naukę. Nagadaliśmy jej za to. Skoro się ma dwóch starszych braci...
— A pan Antoni nie był trochę niekontent, że wezwano go depeszą?
— Wcale.
— Zdaje się, że matka pana...
— Zadowolony był nawet, proszę pani, że Warszawę zobaczył; tak ją lubi...
— No, to dobrze.
Odetchnęła tak szczerze, jakby jej samej jakiś ciężar spadł z głowy. W Eustachym zaś powstało jakieś nieokreślone, niemniej jednak bardzo żywe uczucie wdzięczności dla tej dziwnej dziewczyny, z którą mógł o swoich sprawach rodzinnych, tak niemiłych i drażliwych rozmawiać jakby z siostrą. Pragnął okazać jej tę wdzięczność, ale nie było na to sposobu; wydało mu się tylko niewłaściwym w chwili obecnej mówić z nią o kwestyi wynagrodzenia za lekcję, odłożył więc to do sposobniejszej chwili.
— Czy pani wychodzi dziś wieczorem? — zapytał.
— Nie. Dlaczego pan o to pyta ?

— Tak jestem spragniony muzyki, proszę pani...
Nie dała mu dokończyć:
— Ależ, ile pan zechce.

— Przysługę mi pani odda...
I powiedział jej, jak bardzo potrzebną mu jest głębsza i szlachetniejsza rozrywka, w którejby myśl jego odpoczęła po wysiłonej w ostatnich dniach pracy i do nowej uczyniła się sprawniejszą.
— Czy pan nową powieść już pisze? — zapytała.
— Me, przerabiam tę, którą napisałem. Ale przeróbka jest właśnie najmozolniejszą rzeczą.
W jej szczerem interesowaniu się jego pisarską dolą czuł Eustachy coś pochlebającego mu; ona jedna z grona znajomych jego przyjęła wiadomość o powodzeniu «Hallali» tak, jakby uważała to za rzecz zupełnie naturalną, iż ten biedny i niepozorny błędny student jest niezwykłym człowiekiem. Inteligentna dziewczyna...
W tej chwili weszła Henryeta.
Eustachy starał się nie myśleć wcale o niej przez cały czas rozmowy z panną Anną, starał się zapomnieć, że tam za ścianą jest jej pokój, starał się nieinteresować kwestyą: czy ona jest w tej chwili w domu, czy jej niema. Nie osiągnął tego, bo już wskutek tych starań myśl o Henryecie była w głowie jego obecną, ale myśl ta nie ciążyła mu, nie męczyła go, nawet mu nie przeszkadzała. Zdecydowany bo był całkowicie słuchać rad

mistrza Wienkowicza i szczerze nie pragnął spotkania się z Henryetą; rad byłby, gdyby Annę zastał samą w domu.
Widząc jednak Henryetę wchodzącą, zebrał całą przytomność i powiedział sobie, że teraz przyszła chwila stosowna do pokazania, iż jest mężczyzną. W uszach dźwięczały mu słowa Wienkowicza, radzącego wyrzec się jej, ale szczerze, naprawdę...
Nastrojony był mocno, spokojny i pełen pewności siebie, płynącej z rzetelnego postanowienia.
Henryetą, jak zwykle, nic mu nie miała do powiedzenia; czekała aż on zacznie pytania jej zadawać.
Eustachy tym razem również jej nie miał nic do powiedzenia; przywitawszy ją więc, umilkł i czekał.
Powstała w ten sposób długa pauza.
Henryetą podeszła do Anny, objęła ją ruchem przyjaznym i wdzięcznym, którego by nie uczyniła, gdyby nikt na nią nie patrzył i zaczęła wypytywać ją o jakieś domowe rzeczy, na które Anna odpowiadała krótko i niemal szorstko: «Tak, nie, nie wiem».
Potem wyprostowała się i spojrzała wyczekująco na Eustachego.
Złość w nim zebrała.
— Mogłaby przecież zapytać mnie, choćby

o to, czy deszcz pada na dworze — myślał i milczał.
Henryeta zakręciła się po pokoju. Uderzyła palcem w klawisz, potem podeszła do pieca i położyła rękę na białej polewie kafli, badając, czy jest ciepły; widocznie powstało w jej głowie przypuszczenie, aza! nie zbuntował się jej niewolnik, ale nie chciało się jej w to uwierzyć i chciała sprawdzić swoje spostrzeżenie. Zupełna pokora jej wielbiciela wyrodziła w niej względem niego dumę i ta duma teraz nie pozwalała jej zrobić żadnego kroku pierwszej. Milczała więc.
Eustachy trwał również w milczeniu, myśląc sobie: "Niech ona raz odezwie się

pierwsza do mnie, ja tu jestem przecież gościem".

Nareszcie Henryeta przekonała się, że Eustachy zmienił swoje względem niej postępowanie.

Podniosła więc głowę do góry, pogardliwie przymknęła oczy i usiłowała powiedzieć mu spojrzaniem, że równie mało robi sobie z jego gniewu i chłodu, ile i z jego miłości.

Podeszła do stołu, wzięła jakąś książkę francuską w żółtej okładce i zwróciła się do Anny, mówiąc głosem spokojnym i równym:

— Ty nie czytasz teraz tego?

— Nie.

— Można wziąć?

— Proszę.

Kiwnęła Eustachemu głową z widocznym lekceważeniem i wyszła.

Eustachy był bardzo zadowolony z tego wszystkiego.

— Wieńkowicz będzie kontent ze mnie — pomyślał.

Czuł, że teraz wydał jej walną bitwę i nie drżał wcale.

— Dobrze się stało — mówił sobie — to nie mogło trwać ciągle.

Złość gotująca się w nim, siły mu dodawała.

— Jaka dumna wobec mnie — myślał z goryczą — który zazdrościłem tej podłodze, po której chodziła. Co za natura marna w tej dziewczynie...

Zbliżył się do Anny. W jej głosie przed chwilą posłyszał tę nutę szorstką, która zdawała mu się zapowiadać zmianę jej usposobienia. Ale obawa okazała się płonną.

— Jestem na pańskie rozkazy — rzekła Anna głosem miłym i posłusznym, siadając do fortepianu.

I nie czekając, co jej powie, zaczęła grać miłą i melodyjną, a nową dla niego kołysankę.

— Ładne? — zapytała, skończywszy.

— Ładne.

— A jak gram dziś?

— Przepięknie.

— Czuję się dobrze usposobioną.

I zaczęła grać sonatę Beethovena.

Eustachy zrazu myślał trochę o Henryecie: bał się mianowicie, aby nie myśleć o niej za dużo. Ale wkrótce muzyka go porwała i uniosła.

Kiedy zaś ze sfer czystego uczucia schodził na ziemię, zatrzymywał wzrok i uwagę na biegających leciutko po klawiszach dużych i pięknych rękach Anny, które teraz nietylko miał ochotę ucałować, ale serdecznie, poczciwie, po przyjacielsku uściskać. Jej muzyka kołysała go, jej towarzystwo uspakajało.

Raz i drugi podniósł oczy na jej twarz jasną i świeżą, mówiącą o duszy szlachetnej i delikatnej, duszy, której można ufać i wierzyć — i przypomniała mu się wtedy rada Wieńkowicza.

— Ehe! — pomyślał — z tą dziewczyną nie można się na żadne sztuki puszczać.

Czuł, że Anna jest za poważna i za szlachetna, aby wciągnąć ją w jakąś nieszczerą grę zazdrości i wydawało mu się, że sama rada Wieńkowicza już jej ubliża.

— Ale to jest moja wina — powiedział sobie — nie przedstawiłem mu jej taką, jaka jest.

Obiecał sobie naprawić to przy najbliższej sposobności.

Anna tymczasem grała z zapałem, po Beethovenie Mendelsohna, po Mendelsohnie Chopina.

Pani Wolska wsunęła się cichutko do salo-

niku i usiadła w fotelu w ciemnym kąciku. Henryeta się nie pokazała. Nareszcie po dwugodzinnej grze, Anna zmęczona, opuściła ręce na kolana. Eustachy zaczął jej gorąco dziękować,
— Rozerwał się pan trochę? — zapytała.
— Pani jest prawdziwą artystką!
Potrząsnęła głową, jakby mówiła: Chciałabym, aby tak było.
— Jestem wielkim dłużnikiem pani — zaczął, myśląc, że może teraz nadarzy się sposobność do pomówienia o tej ambarasującej kwestyi zapłaty za lekcye Janinki.
— O! wielkim dłużnikiem! — uśmiechnęła się.
— To, co pani robi dla mojej siostry... Przerwała mu:
— Siostra pana ma naprawdę trochę zdolności...
— Czy nie w zbyt łaskawych oczach pani?
— Szczerze mówię. Wogóle jest apatyczna, ale zdolna. I byłaby to wielka krzywda, gdyby zabrano ją z pensyi.
— Proszę pani, mała ma dwóch dorosłych braci, którzy nie pozwolą na jej krzywdę...
Przypomniała mu się gorycz chwili, kiedy w podobny sposób i jemu ojciec wyrządził krzywdę.
My, starsi, byliśmy w gorszych warunkach — rzekł z otwartością.

I opowiedział pilnie słuchającej Annie, jak ojciec odmówił mu pieniędzy na uniwersytet, a teraz byłby już skończonym prawnikiem. Jak i Antoni ma zwichnięty los. Chciał on jechać na politechnikę do Rygi, byłby dziś inżynierem. I Marynia lepiej wyszłaby za mąż, gdyby nie ojciec, i matka inną miałaby starość...
Tu Anna wtrąciła słówko swoje:
— Matka przynajmniej doczekała się z synów pociechy, i to jakiej...
— Tak — potwierdził — ale czy pani zauważyła...
I powiedział jej, jak niewiele matka ufa w jego literacką karierę i o ile przenosi nad nią kolejowy etat brata.
Anna się uśmiechnęła.
Tak, spostrzegła to i ona; to się rzuca w oczy.
— Ale niechno pańska książka wyjdzie z druku, niechno krytycy zaczną o niej pisać...
Eustachy spojrział w twarz Anny z uczuciem jakiejś radości.
— Z nią o wszystkim można mówić — pomyślał — ona wszystko rozumie.
Wyszedł na kilka minut przed północą. W przedpokoju spostrzegł, że światło pali się jeszcze u Henryety. Zdziwił się, że tak mało o niej myślał przez cały wieczór, że braku jej

nie odczuł, że mu było i bez niej przyjemnie, ciepło i prawie słodko.
W wyrzeczeniu się (sprawdził to teraz oto), istotnie leży wielka siła.
— O! mistrzu! jesteś wielki! — pomyślał o Wieńkowiczu.

XXX.

Dziesiąta. Eustachy leży na swoim studenckim łóżku żelaznym, czyta jakąś książkę przy świetle lampy, stojącej na stoliku obok i kiedy niekiedy trochę niecierpliwie zagląda do zegarka. Czeka na Drewnowskiego, który zajęty jest pisaniem ważnego krytycznego artykułu na jutro. Dziś większe miesięczne zebranie literackie u redaktora "Bieguna".
Drewnowski opowiadał nieraz Eustachemu o tych zebraniach, w których od kilku lat brał udział i wielkie im nadawał znaczenie, nie bez ukrytego zamiaru podniesienia tym sposobem swojej osoby. Na dzisiejsze zebranie został

i Eustachy zaproszony.

Mają pójść razem — tak ułożył Drewnowski, a Eustachy powolnie odpowiedział mu: — Dobrze.

Stosunki ich są teraz bardzo dobre. Drewnowski po dawnemu wygłasza przed Eustachym płynnym głosem wielką ilość zdań z zakresu

sztuki i literatury, które się zupełnie nie trzymają kupy i tworzą głośny chaos słów, żadną myślą przewodnią niezwiązanych.

Eustachy słucha tego, jak człowiek cierpliwy i miłosierny, czasem z powagą w oczach, czasem z lekkim uśmiechem koło ust, a zawsze myśląc przez ten czas o swoich sprawach.

Drewnowski traktuje autora «Hallali» mniej teraz z góry i okazuje mu pewną opiekę, trochę przyjacielską, trochę Avyniosłą, w oczy zapytuje go często przy ludziach, jak postępuje jego przeróbka, w którym jest teraz rozdziale i odpowiada Eustachemu na objaśnienie treściwem: «Aha!» Poza oczy zaś twierdzi, że to jest człowiek bardzo zdolny, tylko mało umie — i robi przytem minę, która pozwala ludziom domyślnym odgadnąć, iż udział Drewnowskiego w powstaniu powieści pod tytułem «Hallali» (o której tak wiele się mówi od kilku tygodni w świecie literackim) jest większy, aniżeli on chce się do tego przyznać.

Drewnowski nigdy i nigdzie nie powiedział zresztą, że «Hallali» jest to dobra powieść, przeciwnie, zawsze dawał do poznania, że mogłaby być lepszą. Kiedy zaś patrzono na nich, gdy

byli razem, możnaby wziąć Drewnowskiego za starszego brata Eustachego, braciszka surowego, ale dobrego.

Eustachy wszystko to wie, rozumie i macha

ręką. Niech tam — powiada. I martwi się, że niezadługo ludzie poznają przecież, iż Drewnowski jest jak pęcherz, zewnątrz bardzo okazały, a wewnątrz puściutki i samem tylko powietrzem nabity — i w dobroci serca postanawia pomagać i podtrzymywać przyjaciela w momentach krytycznych.

Ale wchodzi oto Drewnowski.

— No, skończyłem — powiada z widocznym zadowoleniem ze swej pracy.

— Możemy iść? — zeskakuje Eustachy z łózka.

— Trochę wcześniej...

Drewnowski nie lubi przychodzić nigdzie jednym z pierwszych. Ale Eustachemu pilno.

— Pójdziemy wolno — proponuje. I idą wolno.

Po drodze rozmawiają o Wienkowiczu. Drewnowski nie bardzo chciał wierzyć, kiedy mu Eustachy zaręczał, że Wienkowicz ani myśli o Merłównie. Teraz zaczyna się to jednak sprawdzać. Po mieście przestały już kursować pogłoski o tem, nadto rodzina cała Merłów wyjechała za granicę na zimę.

Widocznie nic z tego nie będzie. Tylko Drewnowski nie może uwierzyć, aby to Wienkowicz nie chciał. Nie chce pięknej i rozu-

innej panny, która ma parę, czy nawet kilka milionów posagu!...

— Daj pokój! daj pokój! — odpowiada Eustachemu, który się o Wienkowiczu wyraża z entuzjazmem.

Staje wreszcie Eustachy na progu domu, w którym odbywa się większe literackie zebranie i serce mu trochę bije w piersi.

Gospodarz cały dziś w uśmiechu i ukłonie wyciąga do Eustachego obie ręce.

— Przyprowadziłem go panu redaktorowi — powiada Drewnowski, kładąc rękę na ramieniu Eustachego.

Redaktor prowadzi Eustachego do pierwszej większej grupy i przedstawia go jako młodego, pełnego talentu autora bardzo ciekawej powieści, którą świat pozna

niezadługo.

— Czy za pośrednictwem «Bieguna?» — ktoś pyta.

— Jeżeli mówię, że autor jest zdolny, a powieść ciekawa... — odpowiada redaktor z przesadą.

W salonie jest już gwarно i ludno, utworzyły się trzy grupy większe i kilka mniejszych. Gospodarz ciągle podchodzi do progu, witać nowych gości.

W pierwszej grupie jakiś poważny obywatel poznański opowiada o pruskich praktykach wyborczych. Słuchają go z zajęciem; ten i ów jed-

nak rzuca ciekawe spojrzenia na Eustachego. Eustachy, choć zmieszany jeszcze, czuje, że się nim trochę zajmują i sprawia mu to radość. Drewnowski stoi przy nim, ale po chwili odstępkuje, aby przywitać się z tym i z owym, i nieznacznie tworzy się wokół Eustachego nowa grupa.

— Chłop nasz jest bardzo mądry i wyrobiony — zaręcza poważny obywatel poznański.

I zaczyna to popierać dowodami licznymi i ciekawymi.

Przerywa mu Dulski, młody i usłużny sekretarz «Bieguna», który posiadał nową anegdotę i biega od grupy do grupy, połamami surduta wiejąc, jak skrzydłami, w ciągłej trosce, aby wszyscy poznali nową anegdotę z jego ust, a nie z innych.

— Znacie anegdotę o Szólkowskim? Ponieważ nikt nie potwierdza pytania, Dulski zadowolony, powiada:

— Doskonała... I opowiada:

— ...Szólkowski zakochany jest w śpiewaczce włoskiej, Davini, bardzo pięknej.

Przychodzi jej benefis w «Fauście». Wypada posłać jej kwiaty. Szólkowski nie jest człowiekiem skąpym, ale nie lubi wydawać pieniędzy na kobiety. Trzeba jednak, więc posyła jej jakiś wiechetek za rubli. Tymczasem rywal jego, Glancenman, ban-

kier występuje przy tej okazji wspaniale i ofiarowuje przepyszną lirę z najrzadszych kwiatów. Otóż porządek w teatrze jest ten, że kwiaty podają artystce z orkiestry, bilety zaś ofiarodawców posyłać należy na ręce reżysera za kulisy. Z manipulacji tej korzysta Szólkowski, idzie śmiałym krokiem w antrakcie za kulisy, wita się z Davini z pewną miną i spoglądając na ofiarowany przez siebie wiecheć za rubli, lekceważąco zapytuje:

— A któż to pani przysłał? Śmiechy.

Dulski, jak aktor, który osiągnął efekt końcowy, znika.

Poważny obywatel poznański zapytuje, czy to zdarzenie prawdziwe, czy też zrobiona przy sposobności anegdota. Nikt mu na to nie umie odpowiedzieć, nikt bo się o to nie troszczył i wydają się trochę zaskoczeni pytaniem Poznańczyka, który chce wszystko wiedzieć tak dokładnie.

— Ja sądzę, że to anegdota — powiada Poznańczyk — już bo Warszawa znana jest z tego, że zawsze i ze wszystkiego zrobi anegdotę...

Eustachy spostrzega Wieńkowicza i opuszcza grupę, w której Poznańczyk wraca do swoich chłopów.

— Co słyhać? — pyta Wieńkowicz.

— Dobrze, panie. Słucham pana jak wyroczeni i patrzę końca. Chciałbym jednak pomówić kiedy z panem trochę szczegółowiej...

Wieńkowicz liczy dni zajęte w myśli i powiada:

— Przyjdź pan w sobotę.

— Doskonale! Dziękuję. Potem mówi do Wieńkowicza:

— Ja jestem pierwszy raz w tak licznej gronie i mało kogo znam. Kto to jest ten siwy przy lampie ?

Wieńkowicz robi półgłosem przegląd zebranych ludzi i objaśnia Eustachego. Zbliża się Dulski.

— Czy znacie nową anegdotę o Szolkowskim?

— Znamy. Dulski pędzi dalej.

Ktoś zabiera Wieńkowicza i Eustachy zostaje sam.

Podchodzi do grupy środkowej, niezbyt licznej, gdzie Drewnowski rozprawia głośno i płynnie.

Dwóch starych panów słucha go z powagą i natężeniem, dwóch bardzo młodych patrzy na niego z nabożeństwem. Kiedy Eustachy zbliża się do nich, kilka osób odłącza się i tworzy nową grupę, w której napadają na Drewnowskiego.

— Jak wy możecie pozwolić, by taki osieł

tyłe mówił i pisał? — gniewa się zamaszycie jakiś literat, słowo wy zwracając jakby wprost do wydawcy, młodego, eleganckiego, powolnego chłopca, który ma minę dyplomatyczną.

Adwokat z żywymi oczyma i semickimi rysami uśmiecha się zjadliwie.

— Gdy się go słucha — mówi — to doznaje się wrażenia miłego: mówi płynnie, gładko, dźwięcznie. Ale zastanowić się nad pierwszym lepszym jego zdaniem: z pewnością brak w nim jednego z głównych części mowy: podmiotu albo opowiednika. I tak z każdym zdaniem.

Młody wydawca czuje, że wypada i jemu coś powiedzieć.

— To jest jednak poważny umysł — odzywa się bez nacisku.

Eustachy jest mimowolnym świadkiem tej rozmowy. Pierwszym jego uczuciem jest stanąć w obronie Drewnowskiego; ale nie wie jak to uczynić, przytem czuje, iż adwokat ma wiele słuszności. Obojętne słowo młodego wydawcy robi mu jednak ulgę. Staje na uboczu i rozgląda się. Inaczej sobie wyobrażał to zebranie. Zdawało mu się, że ludzie przychodzą tu kruszyć kopie z zapalem za swoje literackie przekonania i sympatyje, że znajdzie tu to życie, kipiące ideami, którego brak tak raził go w początkach w redakcyi. Widział tymczasem ludzi z twarzami oboje-

tnemi, znudzonemi, powszedniemi, którzy posuwali się po posadzce i przystawali, oddani przypadkowi, niczego tu widocznie nie szukając i nic tu ze sobą nie przynosząc.

Polowa prawie tych ludzi nawet nie przyłączała się do grup, stojąc w milczeniu naokoło ścian i czekając na kolację.

— Może po kolacyi zacznie się życie — pomyślał sobie Eustachy.

I zatrzymał na chwilę przelatującego Dulskiego.

— Panie, czy tu jest Kapturski?

Dulski nie spojrział nawet dokoła. On i tak wiedział najdokładniej, kto tu jest i kogo brak.

— Nie, niema — odpowiedział. Eustachy chciałby poznać ten filar polskiej literatury. Przypomniał sobie, jak pewnego razu, w wieczór zimowy, matka nie mogła oderwać go od jednej z powieści Kapturskiego; jak spać nie chciał pójść, aż musiano mu siłą książkę odebrać, i jak długo w noc usnąć nie mógł, o losy bohaterów niespokojny.

Gdyby kto powiedział był mu wtedy, że jego powieść spotka się kiedyś z powieścią Kapturskiego w redakcyi jednego pisma!...

Żeby on mu tylko w drogę nie wszedł ten Kapturski.

Ale oto drzwi jadalnego pokoju otwierają się na oścież i gospodarz zaprasza na kolację.

Opróżnia się salon.

Eustachy idzie na końcu samym i z tego powodu gospodarz ma trochę trudności w znalezieniu miejsca przy stole dla niego. Ten i ów posuwa się i w końcu Eustachy siada na samym brzegu, obok jakiegoś pana z jasnymi wąsami i łysą głową.

Przedstawiają się sobie. Nazwisko sąsiada nic Eustachego nie objaśnia;

spozstrzega przytem, że i sąsiad nie wie wcale, z kim ma do czynienia. Są dla siebie jednak bardzo uprzejmi, nakłada jeden drugiemu potrawy i nalewa wina, szukają wspólnego przedmiotu do rozmowy, ale go nie mogą znaleźć.

Po obiedzie Eustachy podchodzi do Drewnowskiego, aby zapytać się, kto to był ten uprzejmy blondyn?

Drewnowski powiada mu, że to dość znany akuszer. Eustachy posyła mu spojrzenie i widzi, że akuszer zatrzymał Dulskiego, i że obadwaj patrzą w jego stronę. I on widać pyta, kto jest ten młodzieniec z dużą czupryną.

Drewnowski poznaje Eustachego z Runickim.

— Słyszałem o panu — mówi uprzejmie Runicki.

Eustachy, zadowolony z tej znajomości, mówi Runickiemu, że jedna z jego powieści zrobiła na nim bardzo silne i długie wrażenie.

To ich zbliża.

Runicki bierze Eustachego poufale za ramię,

odprowadza do kąta, sadza na kanapie i wypytuje go o szczegóły różne, tyjące się powieści jego i osoby.

— Różowo się musi panu teraz przedstawiać literatura — mówi Runicki — i mnie się różowo, ba! w tęczach i brylantach przedstawiał świat ten, gdy w niego wstępowałem.

— A teraz? — pyta Eustachy.

— No, no — odpowiada Runicki wymijająco, niemniej jednak złowieszczo — pożyjesz pan trochę w tem, co sam zobaczysz.

Drewnowski odciąga Eustachego.

— Chodźno, chodź — szepcze mu z miną ważną i tajemniczą.

I prowadzi go w drugi kąt salonu, gdzie czeka na nich redaktor «Pochodni Wieczornej».

— Czy pan sprzedał już swoją powieść? — zapytuje Eustachego na wstępie.

Eustachy nie umie narazie odpowiedzieć.

— Jąbym to wziął chętnie i zarazbym drukował. Nie mam właśnie dobrej powieści narazie.

Drewnowski przypomina, że Eustachy wziął zadatek.

— Ale on panu redaktorowi napisze powieść...

— Bardzo proszę. Eustachy promienieje.

— Mam nawet pomysł — bąka.

Redaktor «Pochodni Wieczornej» zaprasza go do siebie:

— W każdy czwartek po pierwszym i piętnastym.

Drewnowski odprowadzając Eustachego szepcze mu:

— Widzisz, zrobiłeś dobry interes, oni tam byle kogo nie biorą.

Eustachy podziękował mu, potem usunął się na bok; poczuł, że ma teraz jakby rozwiązane skrzydła. Obawa, aby Kapturski nie zabrał mu w "Biegunie" miejsca bliższego swoją powieścią, znikła w nim zupełnie.

— Inaczej ja teraz będę mówił z redaktorem — myślał.

I był zdecydowany postawić w razie potrzeby kwestyę na ostrzu noża: albo «Hallali» drukowane będzie natychmiast po ukończeniu «Biegalskich», albo zwróci wziętą zaliczkę i zabierze powieść.

Tymczasem otworzyły się nowe grupy. Podano kawę, gawędzono głośniej i swobodniej. Gospodarz starał się każdemu powiedzieć miłe słowo i częstował cygarami. Coraz luźniej jednak się robiło. Zaczawszy od chwili, w której podniesiono się od stołu, następowała powolna i dyskretna emigracja gości. Kiedy wreszcie gospodarz zdołał zebrać w je-

dną gromadkę pozostałych gości, była ich tylko garść niezbyt duża.

Eustachy czekał ciągle, kiedy zaczną mówić o literaturze.

Ale posypały się teraz jedna za drugą swobodne anegdoty.

— Chodźmy — szepnął mu Runicki, biorąc go pod ramię.

Eustachy dał się wyprowadzić.

— Tak, tak — mówił mu Runicki z goryczą, którą napróżno usiłował osłonić pozorami bezstronności. — Pożyjesz pan, to pan zobaczysz, jak to jest. Nie będzie tu panu błogo, nie. Tu jest ziemia obiecana dla wszelkiej mierności. Jak tylko masz talent, to zaraz po łbie, po łbie i aż do skutku. Każdy chciałby uczynić wokoło siebie pustynię, aby sam na niej był widoczny i duży.

...Redaktorzy? Alboż oni dbają o cokolwiek? Nawet o własny interes nie dbają.

Talent, nie talent — im wszystko jedno. Czemkolwiek się zapycha szpalty:

trocinami i kłakami, tłómaczeniami. Są wyrobownicy, którzy po trzysta i czterysta rubli wypiszą w miesiącu, a ludzie talentu zaczepić się o co nie mają. Nikomu nie leży na sercu talent, nikomu. Zresztą zobaczysz pan sam, jak tu pożyjesz trochę...

...Wydawcy? Alboż u nas są wydawcy? To sklepikarze, panie, sklepikarze! Literat dla nich.

to koń żydowski! Niech zdechnie, byle dobiegł do stacyi. Na całym świecie wydawca podtrzymuje, reklamuje, zachęca swego autora. U nas? Zobaczysz pan, zobaczysz.

...Krytycy? Alboż my mamy krytyków? Jest kilku panów, którzy trzymają się wiernie mądrości, nakazującej rękę myć rękę, a nodze wspierać nogę, i tym jest dobrze, hm! względnie dobrze. A reszta — niech zdycha. Dobrą rzecz napisałeś, złą rzecz napisałeś, wcaleś nic nie napisał — wszystko jedno. Nikt o rozwój talentów, o dobro literatury nie dba.

...A ta publiczność nasza, ta publiczność! Czarna rozpacz ogarnia człowieka, jak patrzy na tę masę bierną, która niczego nie chce, o nic nie dba i wszystko pozwala w siebie wmówić. Jak dziecko nową zabawkę, tak łapie z zachwytem książkę nieznanego autora, bawi się przez rok, dwa, nowem nazwiskiem, a potem — wszystko w ką, na śmiecie. Marny to zawód być u nas literatem; zawód bez przyszłości. Odrazu stajesz na jakimś stołeczku i nic nie wiesz, żeś już był u szczytu, że nie pójdziesz wyżej, że reszta życia, to wolny i długi upadek bez ratunku.

Wspomnisz pan moje słowa.

Runicki mówił głosem niemal cichym i panował widocznie nad sobą, aby w gorzkich jego słowach nie zadzwoniła nuta osobistego bólu i żalu.

Eustachy słuchał go w milczeniu i obojętnie, myśląc sobie:

— Ależ pesymista...

I rozstał się z nim z uczuciem ulgi.

Wrócił zaraz myślami do swoich spraw i przyspieszył kroku, dzwoniąc wesoło obcasami po bruku w ciszy nocnej. Dobrze mu było na świecie, życie się do niego uśmiechało.

XXXI.

Tymczasem powieść Wienkowicza dobiegała końca w odcinku »Bieguna«, a Eustachy, ciągle pod wpływem dążenia do doskonałości, ledwie połowę »Hallali« wykończył ostatecznie, a i w tej wykończonej ostatecznie połowie chciało mu się jeszcze grzebać, tylko się siłą wstrzymywał, rozumiejąc, że może nigdy swojej powieści nie skończyć. Nie martwił się jednak tem, że dopiero połowa przygotowana jest do druku.

— Niech drukują pierwszą połowę — myślał — a ja tymczasem drugą wyglądzę«.

W ostatnich dniach urósł już w pewność siebie i nie spoglądał już na redakcję »Bieguna«, jak na jaki zaklęty pałac, w którym szczęście na niego czeka, lecz przedstawiała mu się ona raczej niby kilka szczebli drabiny jego życia, drabiny, która końcem oparta jest o jakieś niebo. Zaniósł więc, wykończoną połowę do redakcyi, a przewidując, że redaktor może być z tego

niezadowolony i odłożyć druk do chwili, w której będzie posiadał całość w rękę, przygotowany był powiedzieć mu krótko i węzłowato: »Jak nie, to nie« — i zanieść natychmiast »Hallali« do redakcyi »Pochodni Wieczornej«, gdzie ją będzie czytywało dwa razy więcej ludzi i gdzie w dodatku lepiej za nią zapłacą. Ale redaktor nie okazał żadnego niezadowolenia, przeciwnie bardzo mile uśmiechnął się tym swoim ujmującym ludzi uśmiechem, którym się tak doskonale umiał posługiwać. Rękopis »Hallali« oddał zaraz do druku, zapytawszy tylko Eustachego poprostu i bez nacisku:
— Kiedyż reszta? Ujęło to Eustachego.
— Za dwa tygodnie przyniosę koniec — obiecał.
Chciał wiedzieć, w którym dniu mianowicie rozpocznie się »Hallali«. Wezwano więc metrapaży, który obliczy wszy ilość pozostałych w »Biegalskich« wierszy, oznajmił, że już tylko trzy odcinki z tego będzie.
— A więc we środę nastąpi dla mnie dzień uroczysty debiutu — pomyślał Eustachy. I na chwilę gorączka uderzyła mu do głowy, a serce poczęło głośniejsz kołatać w jego piersi. Od miesiąca już życie jego zdawało się zawieszona do tej chwili. Nie było dnia, żeby nie zrywała się w nim wielka niecierpliwość, upa-

jająca jego duszę jakimś uczuciem szczęśliwości; to uczucie wyprowadzało myśl jego na drogę rozmyślań o przyszłości, gdzie zaraz na początku znajdował pewność tryumfu.

Tego dnia spotkał na ulicy niespodziewanie Henryetę.
Chciał ją minąć, ukłoniwszy się grzecznie i chłodno, lecz nagle zmienił postanowienie: zbliżył się do niej i poprosił o pozwolenie towarzyszenia jej do »rogu«.
Odpowiedziała: »Proszę« w sposób obojętny i nie zachęcający, obrażona widocznie za jego niedawne zachowanie się.
— Znowu muszę pani komplementy mówić — zaczął. — Ale bo jaka pani jest piękna!...
W jej oczach zjawiał się na chwilę żywy blask tryumfu, który zaraz przygasł; natychmiast zaczęła myśleć o sposobach odwetu.
Ale wstęp ten Eustachego złudził ją.
— Ile razy ja już się pani wyrzekałem od chwili, w której przekonałem się, że nie potrafię panią wzruszyć — a zawsze na próżno. I to tak trwało, aż do ostatnich czasów, dopóki cień nadziei dawała mi myśl, że pani serce jest wolnem. Teraz nie mogę pocieszać się tą słabiutką nawet pociechą...
Henryeta zrobiła minę szczerze zdziwioną i zwróciła do niego oczy, które najwyraźniej i z ciekawością pytały: »O czem pan mówi?«

Odpowiedział tym oczom wprost:
— Mówię o tym pięknym śpiewaku. Odrzekła głosem zawiedzionej i w ciekawości swojej oszukanej:
— Ach! na myśl mi to nie przyszło... I potem zrobiła ruch głowy przeczący.
— Nie? — zapytał Eustachy.
— To jest — odpowiedziała — podoba mi się, owszem, właściwie: tak sobie. Ale to jest bez konsekwencyi. Flirt, ot!
Po chwili dodała:

— Cóżby to dla mnie była za karyera...

Eustachy pomyślał sobie: »I dla takiego flirtu bez konsekwencji, tak mnie poniżyła bez uwagi i względów...«

Głośno zaś rzekł:

— Tem lepiej przecież dla mnie, żem się mylił. Pomogła mi bowiem ta omyłka wyjść raz z zaczarowanego koła męczeńskiego, w jakie mnie pani wtrąciła. Zrobiłem pod wpływem tej omyłki jeszcze jedno postanowienie wyrzeczenia się pani, tym razem już ostateczne. Dotychczas mi się to nie udawało, ponieważ nie miałem czem wypełnić duszy po wyrzuceniu z niej myśli o pani. Teraz na szczęście mam ją czem zapełnić. Przyszła mi w pomoc praca, sztuka, literatura, powodzenie. Przez głowę gniew jej na chwilę przeszedł:

— Więc to chciałeś mi powiedzieć?... — pomyślała.

I odrzekła, akcentując spokojnie i dobitnie każde słowo:

— Bardzo to ranie cieszy...

Jej oczy i jej twarz mówiły zaś jednocześnie z zimną pogardą: »Jest mi to wszystko jedno...

I zrobiwszy kilkanaście kroków, przystanąła.

— Oto i róg ulicy — rzekła. Powiedział jej na to:

— Żegnam więc panią.

Skinęła mu głową, on uchylił kapelusza, nie podali sobie rąk i rozstali się. Ona poszła dalej, on wrócił. Nie pewny był, czy dobrze uczynił. Ale się uspokoił prędzej, niż się tego spodziewał. »Wszystko jedno« — powiedział sobie. Wydało mu się to rzeczą niezbyt wielkiej wagi.

XXXII.

— Podziękować panu przychodzę — zawołał Eustachy wesoło, wyciągając od progu rękę do Wieńkowicza.

— Jest więc już za co?

— Prawie...

— Siadajże pan i opowiadaj. Eustachy usiadł przy biurku.

— Patrz pan co za ładne kwiaty — zwrócił mu uwagę Wieńkowicz.

— Prześliczne istotnie.

Kilka białych i rozczochranych główek złocieni (chryzantemum) wychylało się na wszystkie strony biurka z małego zaimprovizowanego wazoniku. Wieńkowicz spojrział na nie z jakąś lubością w oczach i uśmiechem naokoło ust.

— To prezent imieninowy od mojej wychowanicy.

— Dziś pańskie imieniny?

— Wczoraj były.

— Żałuję, żem nie wiedział. I ja przyniósłbym panu kwiatek, i z jakąż radością!...

— Opowiadajże pan — przerwał mu Wieńkowicz.

— Panie, bo pan gra dużą rolę w mojem

życiu — nie dał sobie przerwać Eustachy — jest mi pan prawdziwym Mentorem; pod pańską ręką czuję się o lat dziesięć dojrzałszym...

— Panie, jestem ciekaw...

— Nie, proszę pana, ja muszę do końca moje podziękowanie wypowiedzieć. Pan robi porządek w mojem życiu. Ja wiem, że jak będę miał pana blisko siebie, głupstwo wszelkie będzie mnie unikało.

— Dobrze, panie — rzekł Wieńkowicz, przyjmując to wylanie się uczuć Eustachego, aby koniec raz mu położyć. — Więc istotnie nieźle panu idzie?

— Najlepiej.

— Mięknie panna?
— Nie, panie, nie mięknie. Tylko mnie to staje się coraz bardziej wszystko jedno...
— Co pan mówisz?
— Doprawdy...
— Panie, to byłoby najlepsze!
— I ja tak myślę.
Wieńkowicz ucieszył się, a że widocznie miał i własne do radości powody, zatarł ręce, rzekł:
— To doskonale!

I nachylił się nad złocieniami.

Eustachy zaś zaczął kolejno opowiadać jedno i drugie spotkanie się z Henryetą; mówił szczegółowo, co ona robiła, co on robił, co ona powiedziała, co on powiedział.

Wieńkowicz słuchał w milczeniu, ale z uczuciem nieprzyjaznym dla Henryety, które rosło i zdradzało się w ruchach i wyrazie twarzy.

Kiedy Eustachy doszedł do końcowych epizodów, Wieńkowicz, jak chirurg, zapuszczający odrazu i głęboko ostrze noża w owrządzone miejsce, rzekł w uroczysty sposób:

— Panie, ja panu powiadam, że to jest małpa. Eustachy syknął.

— To jest anioł — pośpieszył uspokoić go Wieńkowicz — to jest anioł, tylko, panie, takie anioły dziwnie są podobne do orangutangów... I wiesz pan, kto w pańskim opowiadaniu wychodzi, jak promyczek słońca? Ta druga — Anna. Panie, ta dziewczyna, ja się domyślam, to musi być rozkosz. Ja na pańskim miejscu w niejbym się zakochał.

Eustachy otworzył szeroko oczy.

— W Annie?

Wieńkowicz delikatnym ruchem ręki poprawił złocięń, jeden i drugi.

Ochłonawszy z zadziwienia, Eustachy rzekł:

— Istotnie, to jest złota dziewczyna. I dodał po chwili:

— Wie pan, że ja ją bardzo lubię...

I zaczął mu opowiadać o niej. Oszczędził wiele szczegółów, nie chcąc Wieńkowicza zanadto wtajemniczać w sprawy rodzinne, ale jeszcze i to, co opowiedział, wywołało wiele razy uśmiech na usta Wieńkowicza, który zawołał w końcu:

— Żeś pan rai tego wszystkiego odrazu nie powiedział:

— Tak jakoś... Wieńkowicz zachwycał się nią.

— Ona mi na perłę wygląda.

Zamyślił się na chwilę, rozważał coś, kombinował, spojrział raz i drugi na Eustachego i rzekł wreszcie stanowczo:

— Tylko to także będzie dla pana, o ile mi się zdaje, trudny orzech do zgryzienia.

Eustachy potwierdził to domniemanie kiwnięciem głowy.

— Ale to nic. Próbuje pan. Tym razem to przynajmniej warto sobie zęby łamać. Bo pomyśl pan, jak taka dziewczyna poda panu raz swoje ręce...

Eustachy się uśmiechnął.

— Mówiłeś pan, że ona ma duże ręce...

— Duże, ale prześliczne.

Kiedy Eustachy go żegnał, Wieńkowicz rzekł mu:

— Panie, ale pan wrócisz jeszcze do Henryety.

— O! nie, panie!

— Wrócisz pan, powiadam panu...

— Zobaczy pan.

— Żeby to Anna chciała być pańską pocieszycielką...

Eustachy jasnym jakimś wzrokiem spojrzął w przestrzeń i mocno uściśnął dłoń Wieńkowicza. Ten odprowadził do drzwi młodego swego przyjaciela i wrócił potem lubować się białymi chryzantemami.

A więc to dziś wielkie marzenie życia Eustachego w jawę najrzeczywistszą się obleka, dziś przed publicznością polską staje z nowym dziełem nieznanego autor — autor, który od pierwszych rozdziałów zapowiada, że nie przyjmie byle jakiego miejsca w literackim panteonie...

Tysiące numerów »Bieguna« rozbiegnie się po świecie, roznosząc po domach, dworach, cukierniach, czytelnich nazwisko nowe.

Dzień dzisiejszy chce Eustachy przeleżeć, przemarzyć, prześnić.

Bierze do ręki gazetę i poraz piąty już chyba czyta:

— „Biegalscy”, powieść współczesna przez Stanisława Wieńkowicza — dokończenie”.

Dokończeniu!...

Uśmiechnął się...

Niecierpliwość podsuwała mu nieraz różne myśli dziwaczne i komiczne; kilka razy przyszło mu do głowy:

— A nuż nie dożyję tej chwili...

Miody był i zdrowy, to prawda, ale od czegoż jest wypadek... Gra on przecież w życiu ludzkim pewną rolę, i jaką jeszcze... On to zsyła główny los takiemu, co ma już sporo pieniędzy, on to spuszcza z dachu cegłę na głowę takiego, co jest bardzo jeszcze potrzebny na świecie.

Opiekun ten, na szczęście, nie zajął się losem Eustachego i pozwolił mu spokojnie doczekać uroczystego dnia dzisiejszego i uśmiechać się (łatwym uśmiechem) z wczorajszych obaw.

Kazał Janowi w piecu napalić i wędlin przynieść.

Postanowił wyjść dopiero wieczorem z domu, zając do pierwszej lepszej cukierni i tam zobaczyć »Hallali«.

I doczekał rychłego zmroku dnia jesiennego, chodząc po pokoiku swoim, pełen wielkiej ciszy w sobie i szczęśliwości. Zastanawiał się nad karierą swoją, która wydawała mu się dziwną wielce, i widział w tem wielkiem zdarzeniu dzisiejszem, zwracającym bieg jego życia do jakiegoś wspaniałego i szerokiego łożyska, duży udział czegoś, co nie było jego zasługą. Skąd bo wziął się w nim talent, ta »iskra Boża«, ta moc tajemnicza, zagadkowa, niepodle-

gła? Jak to się stało, gdzie, kiedy, że jemu ją dano? I czy to ona jest u niego na służbie, czy też on u niej? Jak oni żyć będą ze sobą nadal — on i ona — źle czy dobrze, w harmonii czy niezgodnie i gdzie ona go zaprowadzi, czy też gdzie on ją wyniesie?

I spostrzegł, tak się nad sobą zastanawiając, że gdzieś na dnie duszy jest w nim jakieś ziarnko niepokoju i nawet przerażenia.

Ale terazniejszość wnet go ukoiła.

I doczekał się zmięczenia, snując marzenia, jedne takie, które były z tego świata i uśmiechały się do niego czarami nieznanego jeszcze szczęścia, inne, które go wynosiły ponad ziemię, ponad ludzi i ponad czasy, gdzie rozszalała na chwilę ambicyja tworzyła jakiś gorączkowy świat, w którym wszystko jego wszechmocnemu »chcę« było posłuszne.

Wiele razy w ciągu dnia zaglądał myślą do redakcyi.

Dwunasta. Oto redaktor układa numer i powiada do metrapaży:

— No, a w odcinku naturalnie »Hallali«. Słyszy Eustachy jak korektor woła przez tubę głosem jakiegoś złego stworzenia:

— A w odcinku co?

I przez tubę leci odpowiedź zmatowana, ochrypla:

»Hallali«? — woła w tubę korektor niepewny jeszcze.

— Tak! »Hallali!«

O trzeciej metrampaż łamie szpalty i oto widzi Eustachy, jak myśl jego i wyobraźnia jego układa się w pięć kawałków dziwacznych czarnego metalu, które za chwilę utworzą odcinek.

Korektor sam już jest w pustych redakcyjnych pokojach, chodzi zły, z miną starego, zdenerwowanego buldoga, pali papierosa i niecierpliwi się.

— Cóż tam numer, panie? — woła nareszcie w tubę.

— Na maszynie — odpowiadają mu.

I za kilka minut chłopak wbiega do redakcji, trzaskając drzwiami, z mokrym numerem »Bieguna«.

I widzi Eustachy odcinek, litery, które składają się na »Hallali« i mniejsze, które tworzą jego imię i nazwisko i samotną jedynekę rzymską, oznaczającą:

»Rozdział pierwszy«...

Eustachy znajduje dziwną jakąś, wpół słodką, wpół szczypiącą przyjemność w tem odsuwaniu od siebie tej chwili, o której marzył latami, do której drżał od miesiąca. Nie minie go ona, nie może minąć, jakaś katastrofa musiałaby chyba świat wywrócić, aby ta chwila go minęła, chwila ta jest dla niego jednakowo pewna i pożądana — i igra z nią...

I aż się dziwi władzy, którą ma nad sobą; więc, aby się lepiej jeszcze doświadczyć i umocnić w pojęciu o własnej wartości, nowe dalsze terminy sobie ustanawia,

— Zobaczę dzisiejszego »Bieguna« dopiero o dziewiątej — postanawia,

I w parę minut potem nagle niecierpliwość się w nim zrywa i postanowienia opadają natychmiast jak martwe liście od jesiennego wiatru.

»Biegun« powinien już być u Drewnowskiego — przelata mu przez głowę.

I wybiega na korytarz.

XXXIII.

Drewnowski pracował nachylony nad biurkiem, przy świetle lampy, otoczony książkami i notatkami.

— Jest dzisiejszy »Biegun«? — zapytał Eustachy.

Drewnowski wskazał końcem pióra na leżącą gazetę.

Eustachy szybko ją rozłożył i pobladł.

— Co to? Niema »Hallali«? — zapytał przytłumionym głosem.

Drewnowski spokojnym tonem zapytał:

— A co jest w odcinku?

Eustachy podał mu "Bieguna", nic nie mogąc przemówić.

— Nowelka, nowelka babska — mówił Drewnowski — na jeden numer. Marzanna, pseudonim jednej z kuzynek ciotki redaktora. Musiały go baby długo piłować, bo nasz redaktor strasznie nie lubi babskiej literatury. Na tym punkcie ma słuszność. Bo czego się spodziewano

od kobiety, wstępującej do literatury? Że pokaże nam świat fenomenalny pod specjalnym, nowym, indywidualnym kątem załamania. Właściwie nie indywidualnym ściśle, ale indywidualnym zbiorowo, w znaczeniu tej sumy pierwiastków psychologicznych, zorganizowanych w całość, całość typową, duszy kobiecej, wziętej w odróżnieniu, nawet do pewnego stopnia w przeciwieństwie do całości typowej duszy męskiej. Taki kąt załamania...

Pierwsze słowa Drewnowskiego wytlómaczyły Eustachemu przyczynę opóźnienia druku »Hallali«; następnych już nie słuchał. Gniew go ogarnął.

— Patrz! — zawołał do Drewnowskiego, przerywając mu w środku jedno z jego zdań profesorskich. — A obiecał mi natychmiast po »Biegalskich!« Jaki brak szacunku dla własnego słowa!

Zaczął chodzić wzburzony po pokoju.

Drewnowski trochę się zdziwił, widząc go tak wyprowadzonego z równowagi takim drobnym i naturalnym zdarzeniem.

— Bagatela — spróbował go uspokoić.

— Dla ciebie może, mnie na tem zależy, aby dziś właśnie »Hallali« się rozpoczęło.

Głos mu się podnosił.

— Co mnie obchodzą kuzynki jego ciotki? Kpię sobie z całego «Bieguna». I tak czekałem

prawie dwa miesiące cierpliwie. Każde pismo weźmie mi powieść i da mi warunki, jakie będę chciał. Jeżeli dał pierwszeństwo "Biegunowi", to przez przyjaźń dla ciebie, przez stosunek dawniejszy. Choć co to był za stosunek? Dopóki nie okazało się, że jestem kimś, z kim trzeba się powszechnie liczyć, za nic mnie mieli; nikt do mnie nie odzywał się pierwszy, pan redaktor nie raczył spostrzegać mojej obecności. Wszystko mi jedno, ja jutro stanowczo cofam swoją powieść.

I wyszedł rozdrażniony, nie chcąc słuchać mitygujących go słów Drewnowskiego.

— Oto zatrutą mam pierwszą rozkosz — myślał. — A tak słodko marzyłem dzień cały.

O! życie!

Nazajutrz poszedł do redakcyi w południe. We drzwiach spotkał się akurat z metrapażem.

— Ułożony numer? — zapytał go.

— Ułożony.

— Cóż? Czy i dziś może jeszcze nie zaczniecie »Hallali«? — zapytał burzliwie,

— Pan redaktor każe te małe rzeczy naprzód wypchnąć...

— Co? Więc nie idzie »Hallali«?

— Nie.

— I nie zaczęto jeszcze składać?...

— Owszem. Ja miałbym już na dwa nawet odcinki...

Eustachy wleciał do redakcyi i nie witając się z nikim, szukał redaktora.

Znalazł go w ogólnym pokoju.

— Proszę pana — rzekł — przyszedłem cofnąć swoją powieść.

Redaktor podniósł brwi nad oczyma, pełneniemi zdziwienia.

Eustachemu zaczął głos drżeć.

— Obiecał mi pan rozpocząć druk »Hallali« zaraz po skończeniu powieści pana Wienkowicza, tymczasem drugi już dzień daje pan różne głupstwa... Ja nie mogę dłużej czekać, mnie zależy na tem, aby moja powieść zaraz się drukowała.

Współpracownicy powstawali od swoich biur. Robiła się awantura.

Redaktor przerwał ją z godnością.

— Proszę pana, niech pan pozwoi do mego pokoju — rzekł sztywno, poważnie, z energią w głosie i wskazał ręką kierunek.

Eustachy szedł do gabinetu redaktora, myśląc sobie: »Zwróci mi powieść i zerwie stosunki! Wszystko mi jedno!«

Ale redaktor ledwie zamknął drzwi od pokoju, rozpogodził twarz i zwrócił się do Eustachego głosem pełnym wyrozumiałości jakiejś dobrotliwej:

— A toż pana w gorącej wodzie kąpano... Radość się odezwała w Eustachym; teraz

dopiero spostrzegł, że nie chciał ani powieści cofnąć, ani stosunków zerwać i że, stawiając tak ostro kwestię, grał grę niebezpieczną. Odpowiedział miękkiem tonem:

— Bo, panie redaktorze, zależy mi na pośpiechu...

— Rozumiem, rozumiem, gorączka autorska. Widzi pan, nazbierało mi się kilka nowel, których nie mogę nie wydrukować, i chciałem dać je pomiędzy jedną a drugą powieścią. Ale skoro pan się tak niecierpliwisz...

Zawołał metrapaź i dał mu rozkaz:

— Zaczniemy dziś »Hallali«.

— A nowela"?

— Dziś niema miejsca na drugi odcinek?

— Zapchany mam numer, proszę pana redaktora.

— Więc niech czeka.

Eustachy zawstydział się trochę. Zaczął przeproszać redaktora za swoją krewkość.

Redaktor poklepał go po ramieniu:

— Będziesz pan już teraz kontent. Odczuł jednak Eustachy, pomimo uśmiechów i miłych słów redaktora, że zrobił sobie w nim człowieka nieprzyjaznego. Wrócił do ogólnej sali.

Dulski zbliżył się do niego i szepnął mu do ucha z poufałością, nie wyłączającą respektu:

— Doskonale pan zrobiliś: z nimi trzeba energicznie...

Eustachy nic mu nie odpowiedział.

Nie wyzyskując zwycięstwa swego, z miną zwykłą i skromną usiadł przy stole korektorskim i zaczął pisma przerzucać.

Uwagę jego zwrócił jakiś obcy człowiek, starszek, siedzący opodal, który zapytał o coś Dulskiego, i któremu Dulski dał odpowiedź lakoniczną i nieuprzejmą.

— Musi to być jakiś zużyty reporter — pomyślał Eustachy.

Starszek również przeglądał pisma, pokaszlując cicho, z astmą walcząc widocznie. Siwy był, z twarzą w zmarszczki, brodą krótko przystrzyżoną i jasnemi, wypłowiałemi oczyma.

Eustachy zaczął go obserwować mimowolnie, czując, że i starszek rzuca w jego stronę spojrzenia, niepozbawione ciekawości pewnej.

Kiedy Eustachy wstał z krzesła, starszek zwrócił się do niego:

— To teraz pańska powieść będzie się drukowała?

— Moja...

— Z jakiego życia, jeżeli wolno wiedzieć?

— Z życia inteligencji...

— Jakiś ciekawy starszek — pomyślał Eu-

stachy, któremu te pytania nie bardzo się podobały.

Ale przez poczucie ogólnej życzliwości, jaką miał dla rodzaju ludzkiego, rzeki do niego:

— Pozwoli pan, że się przedstawię: Eustachy Żurski.

Starszek podał mu rękę i rzeki:

— Kapturski.

Eustachy cofnął się o krok z zadziwienia. Więc to ten starszek cichy, zbiedzony, lekceważony, jest tym Kapturskim, filarem powieści polskiej, który miał wpływ na duszę Eustachego, którego się niedawno obawiał...

Jakiś przykrem uczuciem ścisnęła się dusza Eustachego; miał wrażenie, jakby mu jedno marzenie umarło.

— Rad jestem, że mogę poznać pana — rzekł — niektóre pańskie powieści wywarły na mnie duży wpływ.

Kapturski skłonił głowę, a wypłowiałe oczy jego zdawały się mówić: »Wszystko mi już jedno, co się dzieje na świecie; stary jestem, wszystko widziałem, wszystko

znam, komplementy nie cieszą mnie, lekceważenie nie dotyka».
— I mnie przyjemnie poznać autora, jak słyszę ze wszystkich stron, zdolnego —
rzekł.
Pomimo wysokiej i spokojnej obojętności, jaką starał się ludziom pokazywać,
Kapturski mó-

wił głosem słodkim, zbyt słodkim, aby mógł być naturalnym.
— Pan ma u nas powieść? — zapytał Eustachy.
— A mam. Czeka na swoją kolej.
I dodał nie zmienionym ani na ćwierć tonu głosem:
— Czeka już dwa lata.
Eustachy powziął podejrzenie, że staruszek, który był obecny przy niedawnej
awanturze, chce oto młokosowi udzielić spokojnej, a jednak wymownej i groźnej
przestrogi życiowej.
Jego słowa obudziły też we wrażliwej duszy młodego autora dźwięczne echo.
Powieść Kapturskiego czeka już dwa lata — na swoją kolej — przychodziło mu raz
po raz na myśl.
I wstydził się okazanej dziś buty.
Zrozumiał, że robiąc sobie w świecie literackim miejsce, spychał innych z
zajętych stanowisk. Wyobrażał sobie, że i Kapturski w swoim czasie wchodził do
redakcyi tak dumny i zuchwały, jak on dziś, i pomyślał, że przyjdzie chwila, w
której młodzież tryumfująca zepchnie i jego na dół i zmusi go do zasłaniania
różnymi pozorami sponiewieranej godności.
Trzeba też myśleć i o innych przystaniach życiowych — postanowił.

I stanęła przed wyobraźnią jego jasna postać Anny, która jest najpiękniejszym
sercem ludzkim, złotą dziewczyną, zdolną przez całe życie świecić radością
wybranemu czło-
wiekowi.

XXXIV.

Pierwszem wrażeniem, jakiego doznał Eustachy na widok wydrukowanego nareszcie
pierwszego odcinka swojej powieści, było uczucie jakiejś przegrody, która
stanęła pomiędzy nim a jego dziełem. »Hallali« w tej nowej szacie stanęło przed
jego oczyma tak jakoś dziwne, wyemancypowane i obce, że czuł potrzebę niemal
przekonania się, że to jest jego twór, myśl, rzecz.
Zaczął czytać odcinek i dopiero po kilkunastu wierszach, kiedy znikły przed
uwagą jego małe czarne znaczki alfabetyczne, a wychylać się z za nich poczęła
figura bohatera powieści, odzyskał poczucie swojej własności.
Przeczytał odcinek raz i drugi jednym tchem, następnie przejrzał numer
»Bieguna«, nie zatrzymawszy się w żadnym miejscu ani na chwilę i czując jakiś
cień niewyraźny wyrzutu za to, że mu tak strasznie obojętnem jest to wszystko,

co tu oto, obok jego powieści, inni ludzie napisali.
Potem przeczytał trzeci raz odcinek, który wydał mu się teraz mniej zajmującym,
niż za pierwszym, i drugim razem.
Wieczorem poszedł do cukierni.
Zaraz na wstępie spostrzegł jakiegoś staruszka, który czytał trzecią stronę
»Bieguna«. Zaczął go obserwować. Staruszek czytał pilnie i bardzo powoli, co
nużyło Eustachego. Wziął w rękę jakąś gazetę, odłożył w końcu. Staruszek ciągle
czytał trzecią stronę. Eustachemu zdawało się, że to trwa już godzinę.

Nareszcie staruszek przewrócił trzecią stronę, przejrzał pobieżnie ogłoszenia, potem pobieżnie również przejrzał stronę pierwszą i odłożył »Bieguna«.

Eustachy poszedł zaraz do jego stolika z zapytaniem:

— Czy wolno? Staruszek skinął głową.

Wziął "Bieguna" i jeszcze raz przeczytał »Hallali«. Tym razem wydrukowane wiersze nic mu nie powiedziały, ani na chwilę wyobraźni jego nie poruszyły, pozostały martwymi rzędami zgłosek, wyrazami jakąś ciężką ręką złożonymi w grupy obojętne, jednostajne i nieme.

Zrozumiał, iż od zbytńskiego natężenia myśli w jedną stronę, stracił wszelkie poczucie war-

tości swojej powieści i zarazem możność wyobrażenia sobie, jak te obojętne dla niego w tej chwili grupy wyrazów uderzą o mózg świeży i obcy. Powieść jego nie mogła przecież być tak zła, jak mu się teraz zdawało; takiej bowiem nie wydrukowałoby żadne pismo. Nie mógł jednak wyperswadować sobie wątpliwości co do rzeczywistej wartości »Hallali«, które cięły jego myśl na podobieństwo złośliwych owadów.

Odłożył »Bieguna« na bok.

Zaraz wziął go do ręki jakiś student.

Eustachy zaczął i jego obserwować.

Student od pierwszej strony zaczął szybko przebiegać artykuł wstępny, niektóre tylko miejsca w nim widocznie czytając, potem nagle przełożył stronę, począł przeglądać wiadomości miejskie, następnie nagłym znowu zwrotem przeszedł do strony trzeciej, przeczytał jeden czy dwa telegramy, potem znowu wrócił do strony drugiej, znalazł tam coś w ostatniej szpalcie na dole (nie wiadomo co), przeczytał to z widocznym skupieniem i nagle znowu rzucił pismo na marmurowy blat stolika.

— Oto, jak u nas pisma czytają — pomyślał z goryczą Eustachy.

Ktoś inny zaraz wziął "Bieguna". Ten zaczął od pierwszej strony również, przejrzał na niej wszystkie tytuły i przeczytał pierwsze wiersze wszystkich artykułów. Potem zatrzymał

wzrok na odcinku i po chwili zaczął go czytać. Przeczytał szpalnę, na jego twarzy Eustachy nie mógł odczytać literalnie żadnego wrażenia — i przewrócił stronę.

Eustachy wstał. Znadto go drażnili ci cukierniani czytelnicy gazet. Zapłacił za herbatę i wyszedł.

Obudziła się w nim teraz potrzeba podzielenia się wrażeniem życia, radością i niepokojem, tryumfem i wątpliwościami z jaką duszą przyjazną, delikatną i inteligentną.

Odrązu przyszła mu na myśl Anna.

— Nikt mnie nie zrozumie lepiej od niej — powiedział sobie.

Anna przywitała go wykrzyknikiem przeciągłym i radosnym:

— Aaa!

Sprawiło mu to przywitanie wielką przyjemność, choć narazie nie rozumiał powodu jej radości. Jedno przecież spojrzenie na stół dopowiedziało mu resztę.

Na serwecie leżał numer dzisiejszy »Bieguna«, nawpół złożony w ten sposób, że »Hallali« samo jedno tylko było widoczne.

Pani Wolska siedziała na niezwykłym miejscu, przy stole.

— Panie mają »Bieguna?« — zapytał rozpromieniony.

— Naturalnie — odpowiedziała Anna.

— I czytała pani »Hallali?«

— Czytałam właśnie mamie na głos. Tylko co nam przynieśli gazetę (tak późno

przynoszą).

— Skończyła pani?

— Nie jeszcze, kawałekzek został.

— To ja nie przeszkadzam. Siadam sobie cichutko w kąciku i słucham.

— Dobrze — rzekła Anna.

Wróciła do stołu, usiadła, schyliła jasną głowę pod światło lampy i głosem niezupełnie równym, inteligentnie, ale bez artyzmu przeczytała końcową część odcinka.

Eustachy zwrócił się przez grzeczność do pani Wolskiej:

— Proszę pani, szczerze! Czy podoba się pani początek?

— Bardzo zajmujący — odpowiedziała cicho, trochę zażenowana, iż się nią zajmują. W jej oczach malowało się zadziwienie.

— A pani? — zapytał Eustachy Anny.

— Ja panu powiem swoje zdanie dopiero, jak przeczytam całe.

Widocznie chciała mu powiedzieć zdanie bezstronne, obmyślane, zważone, zdanie mądre. Była jednak cała rozpromieniona, jaśniejąca i tak podniecona, że nie była w stanie pozostać przez dłuższy czas w jednej pozycji. Wstawała, siadała, odnosiła »Bieguna« i przynosiła go.

Myśl Eustachego rozplynęła się we wdzię-

czności wobec tak gorącego zajęcia się Anny jego powieścią.

— Złota, złota dziewczyna! — powtórzył sobie.

I po raz pierwszy spostrzegł, że była to dziewczyna bardzo piękna, że miała nietylko ręce kształtne, ale i twarzączkę dziwnie jasną i świeżą, i postać całą pełną harmonii i wdzięku; co przecież zdołało ją głównie, to wyraz jej oczu, które zdawały się mówić, że ją ludzie interesują, że gotową jest słuchać z przyjacielską ciekawością ich planów i projektów, że współczuciem ich żalów. W wyrazie tym była zarazem jednak jakaś duma serca, jakieś dziwactwo, coś co mówiło, że nie pragnie ona, aby zajmowano się nią ponad pewną małą miarę. Eustachy mówił sobie, że teraz dopiero rozumie Annę. Przypominał sobie, jaką była wobec jego matki, siostry, ojca, patrzył na nią, jaka jest, i dusza grała mu do niej nieledwie hymn.

Więc też, kiedy Anna zapytała go:

— Musi pan być bardzo szczęśliwy, nieprawdaż?

Odpowiedział jej ze wzruszeniem:

— Tak panno Anno, ale jestem szczęśliwy dopiero od chwili, w której mogę porozmawiać z kimś o moim tryumfie życiowym, z kimś, kto jest zdolny mnie zrozumieć.

Słowa te wywołały inny skutek, niż się spo-

dziewał. Zdawało mu się, że po tych słowach zbliży jeszcze Annę ku sobie. Anna jednak przyjęła je chłodno. Nie odpowiedziała na nie, pokręciła się przez chwilę po pokoju i stanęła przed fortepianem.

— Zagram panu co — powiedziała.

I nie czekając na jego odpowiedź, rozpoczęła »Pieśń wiosenną«.

Eustachy doznał takiego wrażenia, jak człowiek, który wyciągnął rękę i nie spotkał się z inną.

— Dziwaczka jednak jest — pomyślał sobie z urazą. — Zawczasem się pochwaliłem, że ją znam już doskonale.

Nie słuchał jej gry, rozważając doznaną przykrość.

Nagle przypomniał sobie:

— A Henryeta?

Aż do tej chwili nie pomyślał o niej ani razu. Czy niema jej w domu, czy też jest? Wie, że Eustachy przyszedł — i karze go? Zaczął porównywać ją z Anną.

— Gdziem ja miał oczy? — rzekł sobie — gdzie rozum?

Poczuł, że istota moralna Henryety stała się wstrętną jego duszy.
I jeszcze mocniej zabolalo go postępowanie Anny.
— Dlaczego ona nie pozwala mi zbliżyć się

do swej duszy? — myślał. — Czyż ja jestem skazany na to, aby nie mieć gdzie skłonić głowy?
Rozmowa już nie wróciła do tego tonu, w którym ją rozpoczęto. Anna wyglądała tak, jakby ją Eustachy czemś przykro dotknął.
Eustachy zaś, trochę rozdrażniony, mówił do siebie:
— Cóżem ja jej powiedział złego? Mc nie rozumiem!
I pożegnał ją smutny.
W przedpokoju zauważył, że u Henryety było ciemno. Niema jej więc w domu.
Przestał zaraz o niej myśleć.
Wracał do siebie wolnymi krokami. Dzień dzisiejszy, to przecież pierwszy dzień spełnionych jego marzeń. Spodziewał się, że będzie uroczysty.

XXXV.

— Ty już w łóżku?
— Jak widzisz.
— Bardzo ci się chce spać?
— Nie, nie bardzo.
— Poszedłbyś ze mną do knajpy?
— Dlaczego nie! Eustachy odrzucił koldrę.
— A postawisz co? — zapytał wesoło.
— Postawię, co będziesz chciał.
— To się ubieram.
Zaczął z pospiechem wkładać ubranie.
— I w dodatku — zachęcił go Drewnowski — powiem ci coś ciekawego.
I z twarzy Drewnowskiego i z jego propozycji widać było, że znajduje się dziś w wyjątkowo dobrem usposobieniu. Złagodniał ostry zazwyczaj wyraz jego oczu, przywiedła cera zaświeciła młodością, naokoło ust błąkał się lekki uśmiech.
Eustachy nigdy go bodaj takim nie widział od czasów wspólnej ławy szkolnej.

— Spotkało cię co dobrego? — zapytał.
— Tak — odpowiedział Drewnowski krótko.
Dopiero jednak w restauracji, gdy usiedli za białym obrusem i zamówili kolację, Drewnowski powiedział, co go spotkało dobrego.
— Ludzie zaczynają oceniać nareszcie moją pracę i moją wiedzę — rzekł. — Wiesz zapewne o konkursie na dramat historyczny?
— Wiem.
— Otóż dziś właśnie ukonstytuował się ostatecznie sąd konkursowy. Mnie zaproszono na jednego z sędziów.
Drewnowski starał się powiedzieć to poprostu, jako rzecz naturalną; widać było jednak, że nie jest zdolny panować nad swoją radością.
Eustachy szeroko otworzył oczy.
— Ciebie! — zawołał.
W tym wykrzykniku tyle było zdumienia, że Drewnowski mógł się uczuć nim mocno dotknięty. Ale dziś widział wszystko w kolorze różowym, więc zapytanie Eustachego pochlebilo mu jeno.
Zatarł ręce.
— Tak, mnie. Jestem tam jedynym z młodych. Wszyscy inni, to ludzie poważni, zasłużeni i głośni. Widzisz, ziarno prawdziwie płodne, w którym zamknięty jest element życia, musi wydać owoce.

Wziął kartę win do ręki.

— Ale ty dziś jesteś moim gościem.

I kazał podać butelkę dobrego węgryzyna.

Potem snuć zaczął frazesy zwykle o znaczeniu krytyki poważnej, uzbrojonej w wiedzę historyczną i socjologiczną, tonem profesorskim, uroczystym, w którym dziś słyhać było jednak coś miękkiego i lirycznego.

Eustachy zaś ochłonąć nie mógł z zadziwienia.

On? Sędzią konkursu? Eustachy widział go już tonącego w falach życia i myślał o pomocy dla niego; martwił się, że przecież ta zdolność wyrzucania z siebie potoków słów pustych, nie zdoła uczynić mu miejsca na świecie, obiecywał sobie opłacić mu suto za odrobinę pomocy, jakiej od niego doznał. A ot, jak on sam sobie wystarcza i pomaga, i jak szybko w górę idzie. Sędzią poważnego konkursu go zrobiono, sędzią konkursu? Drewnowskiego?

Kieliszki były już nalane.

Drewnowski trącił się.

— No, Stachu, za twoje powodzenie!

— I za twoje! — odrzekł Eustachy. Napili się.

Drewnowski znowu nalał.

— Nie najgorsze, co? — zapytał.

— Wcale dobre. Trącili się znowu.

— I ty, Stachu, nie zginiesz — rzekł — nie

bój się. Niechno tylko »Hallali« się skończy. Możesz liczyć na mnie.

— On mi protekcję okazuje na seryo — pomyślał Eustachy i jakieś przykre uczucie czegoś poziomego i marnego wsunęło mu się do serca. — Będzie chwalił moją powieść, on, który powiedział o niej, że jest niczem?...

Jadł bez apetytu i w milczeniu. Drewnowski ciągle dolewał.

— A przeczytaj sobie w sobotę »Gwiazdę« — rzekł.

— No?

— Jest tam coś dla twojego mentora.

— Dla mojego mentora?

— Dla Wieńkowicza. Napisałem o jego »Biegalskich«.

— Pochlebnie? Drewnowski roześmiał się.

— Musisz przyznać, że powieść jest bardzo dobra — rzekł gorąco Eustachy.

Drewnowski miał widocznie słabą głowę. Po trzech kieliszkach wina oczy zrobiły mu się szklane, a język nieobrotnym. Wbrew swemu zwyczajowi zamiast wkroczyć ostentacyjnie na na pole rozmowań, spuścił głowę i rzekł ze złośliwością widoczną:

— Zobaczysz, zobaczysz!

I dodał po chwili głosem prawie ponurym, przyciszonym, ale bardzo dobitnym:

— Zerznąłem go na wióry! Eustachemu robiło się coraz ciężej na sercu.

— Jeszcze wina! — zawołał Drewnowski. Eustachy zaprotestował.

— Chociaż pół butelki — uparł się Drewnowski.

I wydawszy polecenie garsonowi, zaczął mówić jakby do siebie:

— Tak, tak, grzebie się człowieka, grzebie, to się i zagrzebie powoli...

Po chwili zwrócił się do Eustachego bardziej bezpośrednio, mówiąc powoli i z pewnym trudem:

— W życiu, mój kochany, nie jest łatwo; wszystkie miejsca są zajęte... trzeba walczyć... walczyć i robić sobie sprzymierzeńców... A z drugiej strony nieprzyjaciół... Jak się Ciebie nikt nie będzie bał, toś zginął, mój kochany... Zawsze, widzisz, jest lepiej ganić, rznąć... No, za twoje zdrowie, Stachu, tyś mój przyjaciel... Zobaczysz, powiadam ci... jak tylko »Hallali« się skończy...

Czemu nie pijesz"? Dobre? prawda?... Tak, tak, mój kochany, w życiu nie łatwo, nie... chwał wszystkich, spróbuj, proszę cię, chwał... a wszyscy będą cię lekceważyli... Ech! — powie każdy sobie — taki tam pan!...
Eustachy go nie poznawał.
— To ty taki mądry jesteś — myślał sobie, patrząc na niego.

I resztę przyjaźni tracił dla Drewnowskiego, dając folgę pewnemu uczuciu niezyciowości, które już od pewnego czasu cisnęło się do jego serca.
Godzina była już późna i restaurację zamykano. Drewnowski zapłacił więc rachunek i wyszedł.

— Weźmiemy dorożkę — zaproponował Eustachy.

— Nie, chodźmy pieszo...

— Ale widzisz...

Drewnowski zrobił obrażoną minę:

— Co ty myślisz, że ja jestem pijany? Zobaczysz...

I wysunął się naprzód.

Następnie przystanął, wziął Eustachego pod ramię i szedł z nim czas jakiś w milczeniu.

Potem odezwał się głosem dziwnie miękkim i delikatnym, który brzmiał prawie, jak skarga i rozbrajał Eustachego:

— Dobra powieść, mówisz, dobra powieść... Co to jest dobra powieść? Kto mi powie? Kto mi da miarę, wagę, formułę?... Dobra powieść? Poczem to widać?... Ty myślisz, że mnie to nie męczy?... Zobacz, proszę cię, co ja pracy włożyłem, zobacz... Ty wiesz to, prawda?... Patrz, przestudowałem filozofię, przestudowałem psychologię, wszystkie socjologiczne nauki poznałem, wszystkie teorie estetyczne... wszystkie wy-

kułem, przepisałem... A historia literatury? a etyka?... Wszystko, co ma jakiś związek... Stachu, ty jesteś mój przyjaciel... Ja przed tobą... ja szczerze...
Widzisz, ja przestudowałem, uczyłem się, pracowałem... Wszystko, wszystko, co ma jakiś związek... I patrz, Stachu, ja nigdy nie wiem, co jest dobre, o ile, a co złe?... Chodzę niby po tratwach, które płyną, a pod którymi niema gruntu, tylko woda bieżąca... i gdzie nogę postawię, tam się tratwa ugina, chwieje...
Przystanął.

— Słuchaj, Stachu, ty wiesz, co jest złe, a co jest dobre? Co ma w sobie warunki życia, a co nie?...

— Widzisz — rzekł Eustachy zakłopotany i pociągnięty przez jakiś strumień nowej sympatii ku Drewnowskiemu — ja to jakoś czuję...

Drewnowski znowu wziął go pod ramię.

— Ty czujesz... Ale dlaczego ty czujesz raz tak, raz to, a drugi raz inaczej, drugi raz tamto?... Powiedz mi... Nie powiesz mi! Nikt mi nie powie... Ja już tylko jedno chciałybym wiedzieć: czy są tacy, którzy mają słuszność, czy też wszyscy tak jak ja, na chybił trafił...

Znowu przystanął na chwilę.

— Bo, widzisz, ja nic nie wiem — rzekł energicznie.

I zachwiał się na nogach.

Potem głos jego stał się żalonym.

— Co ja mam robić?... To jest przecież mój fach... Przestudowałem filozofię... psychologię... estetykę... socjologię... historię literatury... Co ja teraz będę robił?... Mam zamiłowanie... Co ja mam robić?... Myślisz, że mnie to nie męczy? Ty mój przyjaciel jesteś, Stachu... Poczekaj, jak tylko »Hallali« się skończy... Niech mi kto powie, niech mnie kto nauczy, po czem poznać arcydzieło?... Ty także nie wiesz, Stachu; tego nikt nie wie... Wszyscy blagują, cały świat

blaguje... Ja nie wiem, ja się przyznaję, sądzicie mnie ludzie, ja się przyznaję,
ja nie wiem...
Eustachy musiał go coraz mocniej podtrzymywać.
Tak doszli nareszcie do domu.
Eustachy doprowadził Drewnowskiego do samego łóżka.
Widok książek zaczął napędzać pijanemu weselsze myśli.
— Dziękuję ci, Stachu — rzekł — trochę sobie podpiłem, ale to nic, to dobrze...
Widzisz, zrobili mnie sędzią konkursu... Poczekaj, tylko ty »Hallali«
wydrukuj...
Eustachy myślał, wróciwszy do siebie:
— Nie znałem go aż do dziś. Oto się odkrył przedemną!...
Nazajutrz wstąpił do niego przed wyjściem na miasto.

Drewnowski do redakcji się wybierał. Skarżył się trochę na ból głowy; mówił o
artykule, który ma napisać.
Oczy świeciły mu dawnym blaskiem, ruchy jego mówiły o pewności siebie, z ust
płynęły mu strumienie nastroszonych frazesów — widocznym było, iż nie pamiętał o
tem, co mówił w nocy.

XXXVI.

Kiedy Eustachy wszedł do domu rodziców, matka wstała od okna, położyła druty i
pończochę i przywitała go szorstko niemal.
— Nie przychodzisz i nie przychodzisz — rzekła. — Nie można się ciebie doczekać.
Myślałam już, żeś wyjechał gdzie.
Gniew prawie czuć było w jej głosie.
Skoro jednak Eustachy nachylił się do jej ręki, matka przycisnęła usta do jego
włosów, następnie ujęła głowę jego w obie dłonie, przyłożyła ją do piersi i
szepnęła głosem, pełnym nagłego wzruszenia:
— Moje drogie dziecko, mój synu ukochany...
Eustachy, przez chwilę zadziwiony tym wylewem uczuć matczynych, przytem
wzruszony, powtórnie ucałował jej rękę.
— No, chodźże, chodź, siadaj — mówiła, prowadząc go do kanapy. — Czy jesteś
głodny?
— Nie.
— Ale kawy tobyś się pewno napił?
— Nie, mammo.

— Akurat nikogo niema w domu — mówiła matka z żalem — służąca poszła do magła...
— A mała?
— Na lekcji muzyki.
Naraz dobra myśl jej przyszła.
— Poczekaj — rzekła — zawołam stróża.
I poszła do kuchni wołać przez otwarty lufcik:
— Walenty!
Eustachy nie sprzeciwiał się, wiedząc, jak matka sama lubiła kawę.
Wysławszy stróża do kawiarni, wróciła do Eustachego, usiadła obok niego i
wymówki mu czynić poczęła:
— Jakże mogłeś, moje dziecko, tak długo nie przychodzić do twej matki? Już
chciałam dziś Ninkę posłać do ciebie...
— Moja mammo, nie wiem, czy jest tydzień, jak byłem.
— Tydzień cały...
I znowu się wzruszyła:
— Mój synu drogi...

— Przyniosłem mamie początek mojej powieści — rzekł, wyjmując z kieszeni cztery numery »Bieguna«.

— Wiem, wiem — powiedziała rozpromieniona.

I potem z wyrazem tryumfu osobliwego w oczach rzekła:

— Czy ty wiesz, że ja zaraz pierwszego dnia, jak tylko to twoje zaczęło wychodzić, to już wiedziałam.

— Skądże, mamó?

— Wiedziałam! — zawołała lakonicznie, jakby dokazała rzeczy trudnej i niespodziewanej.

Potem mu zaczęła tłumaczyć:

— Wyobraź sobie, wpada tu do mnie pewnego wieczoru chłopak od Modzelewskiego — wiesz, tego, który ma ten duży dom tu obok — wpada ci tak, że mało drzwi nie wywali. Powiada, że ojciec się kłania i każe zapytać, czy to syn pisuje do gazet? Ja od razu, powiadam ci, domyśliłam się, o co idzie. Powiadam, że syn. Zaczynam pytać chłopaka. Dowiaduję ci się wszystkiego. Chłopak powiada, że ojciec z mamą założyli się: mama powiada, że »to ten sam Eustachy Żurski z Gołębiej«, ojciec, że «nie może być». Więc ja się pytam chłopaka: w jakim to piśmie? Chłopak powiada, że u nich w domu trzymają »Bieguna«. Mówię więc mu: »Poproś gazetę na pięć minut«. Wyleciał chłopak. Ja czekam — jak czekam: aż mnie tu, w dłoniach paliło, powiadam ci. Kwadrans, nic; pół godziny, nic. Myślę ja sobie: »Co ja będę cudzej łaski prosiła ?« Zawołałam służącą, mówię jej: »Masz dziesiątkę, leć do kiosku!« I przyniosła. Później dopiero o wpół do dziesiątej, już mieliśmy się kłaść spać, przynosi mi chłopak

od Modzelewskich gazetę. Ja też powiadam: »Idź, moje dziecko, odnieś ojcu, podziękuj i powiedz, że już nie potrzeba nam«. Poszedł chłopak, jak zmyty. Zaśmiała się z radości.

Eustachy ucałował jej rękę.

Potem zaczęli pić kawę.

— Na drugi dzień przyniosła mi »Bieguna« panna Anna — opowiada dalej matka — a ja jej swojego »Bieguna« pokazuję. Pyta mi się: "Czy to pan Eustachy przyniósł?" Ja powiadam: »Nie, sama sobie kupiłam za własne pieniądze«.

Napiła się kawy.

— Po południu, wyobraź sobie, przyszedł sam Modzelewski... Ty go musisz pamiętać... On cię zna od małego chłopca. Powiada: »Wie pani, nigdy się nie spodziewałam...« Organista, który u nas mieszkał, także był pytać się. Stara Bolesławska także była. Cała Gołębia ulica, powiadam ci. Niezadługo to i ze Starego Miasta zaczął przychodzić.

Spojrzała z miłością na syna.

— Widzisz — rzekła z przekonaniem — jakiego to cię wychowała!

Eustachy uśmiechnął się.

— Cóż ojciec? — zapytał. — Czy wie?

— Wie, wie. Chodzi, głową kręci, nic nie mówi; pytał tylko raz, czy ja nie wiem, ile ci

za to zapłacili? Odpowiedziałam mu: »Nie wiem, co mi tam«. Ale na mieście się chwali. Słyszała Bartoszkiewiczowa jak do felczera mówił: »Mój syn do gazet pisuje«. Chcesz jeszcze kawy?

— Dziękuję.

— Bo jest.

— Dosyć mam. Wylała więc resztę sobie.

— Widzi mama — rzekł Eustachy — że i ja coś potrafię.

— Widzę, widzę. Ja zawsze przecież wiedziałam, że ty masz głowę.
Miał ochotę przez chwilę przypomnieć matce tak długą i uporczywą do niego nieufność, ale żal mu było zamącić jej szczęście obecne.
Dusza mu przytem nabierała czułością od słów, spojrzeń i pocałunków matki.
— Antek nie pisał? — zapytał.
— Nie pisał — odpowiedziała matka jakoś chłodno:
I zwróciła oczy na Eustachego:
— Mój synu drogi... moja pociecho!...
Kiedy zaś zabierał się do wyjścia, powiedziała głosem poważnym i dźwięcznym, który trafił do głębin jego serca:
— Nie zaniedbuj swojej starej matki, drogie dziecko. Bóg ci będzie błogosławił w pracy i w życiu. Cóż ja mam na świecie oprócz was...

Łzy zaświeciły w jej oczach i skłoniła mu głowę na piersi.
Eustachy odrzekł wzruszony:
— Mateczko, będę przychodził często.
Objął ją ramieniem, przycisnął do siebie i pocałował w siwe włosy.

XXXVII.

Eustachy przez dwa tygodnie nie wziął pióra do ręki, myśl mając rozerwaną przez wrażenia swojego debiutu. Powodziło mu się na polu literackim tak, jakby mu jaka wróżka dobroczynna a potężna najwygodniejsza pod nogi słała ścieżki, on przecież nie robił sobie z tego powodzenia wielkiej rzeczy, uważając, iż to, co go spotyka, jest ledwie ułamkiem jakimś tego, co mu się prawnie od życia i świata należy. A spotykały go wszędzie życzliwość i ciekawość, twarze uśmiechnięte i dłonie otwarte.

»Hallali«, poprzedzone rozgłosem, idącym ze świata literackiego, czytano pilnie w całym mieście i bardzo wiele rozprawiano o nowej powieści poczynającego autora.

Mówiono to i owo. Jedni spodziewali się więcej, inni co innego; tu i owdzie zaczęły podnosić głowę gniewy i syczeć zawiści. Jeden z młodych, ale już firmowych literatów, głośno prze-

ciwko »Hallali« występował, wołając: »Co to jest? co jest?« Inni jeszcze, należący do kół niechętnych »Biegunowi« ze względów konkurencyjnych lub politycznych, pracowali nad tem przy okazji, aby zredukować coraz bardziej wzrastającą dobrą sławę Eustachego. Ale kończyło się ostatecznie na tem, że mówiono: »Talent, talent!«

Tymczasem Eustachy sprzedał wydawcy prawo wydania »Hallali« w książce i zaraz posłał dwadzieścia pięć rubli Annie, jako honorarium za lekcye, z listem dość długim i serdecznym. Poszedł potem na Gołębią ulicę.

— Mamo, mam trochę pieniędzy — powiedział — proszę powiedzieć, co mamie potrzeba?

Matce potrzebnem było nowe ciepłe syberynowe okrycie.

Poszli zaraz je kupić.

Przyszedł do mnie jeszcze raz Modzelewski, powiadam ci — mówiła mu po drodze — jeszcze się o ciebie pytać. Tak mi zazdrościł dzieci, tak mi zazdrościł. "Mnie Pan Bóg nie pobłogosławił" — powiada. Ma on czterech synów, dwaj już dorośli, bizuny takie, powiadam ci, że ha! I co? Uczyć się żaden nie chciał. Jeden dostał się na kolej — na konduktorzyne, Boże zmiłuj się — pobyl coś dwa lata i wyrzu-

cili go; teraz ma dostać miejsce na statku. Drugi nigdy niczem nie był i nie będzie, z łobuzami tylko kompanię trzyma aż go Modzelewski wyrzucił. Teraz chodzi po Gołębiej i strasznie się odgraża. Obywatelskie dzieci! Powiadam ci, stary mało co nie płakał przedemną. Ja też mu mówię: »Trzeba było lepiej wychować dzieci«. I o Antka pytał, i o Ninkę. Powiedziałam mu: »Już mi tylko jedno dziecko pozostało na głowie, ale ja się tam wcale nie martwię: trudniej było chłopców wyprowadzić na ludzi — a ot, czem są!« Więc stary Modzelewski dopiero: »Jak to pani potrafiła pokierować dziećmi!«...

Wróciła matka do domu w nowym okryciu syberynowem pełna tryumfu i dumy. Zaraz je też staremu pokazała.

— Patrz, to syn mi kupił! I oświadczyła mu:

— Nic już od ciebie nie potrzebujemy, ani ja, ani Ninka. Chłopcy wzięli nas w opiekę.

Oburknął się stary i powiedział:

— Nie, to nie!

I kontent był, że go wydatek minął. Wieczorem zaś, udobruchaną minę uczyniwszy, obejrzał uważnie syberynowe okrycie, zapytał czy jest nowe, czy trochę używane i czy na żydach kupione i za ile?

Potem westchnął i wspomniął coś o reperacjach i podatkach.

Matka lekceważąco machnęła ręką.

— Toć cię nie proszę o pieniądze — rzekła. I dodała z zaczepną stanowczością:

— I nigdy nie będę prosiła, bądź pewien.

XXXVIII.

Chciał wrócić Eustachy do pracy, aby jak najprędzej ukończyć przeróbkę »Hallali«. Ciężyc już mu zaczynała jego powieść, przeżył ją i rwał się potrochu do nowej pracy.

Projektował właśnie napisanie noweli do "Pochodni Wieczornej". Była w nim jednak artystyczna uczciwość, która nie pozwalała mu oddać ludziom napisanej kartki pierwej, póki on sam nie nabierze przekonania, że lepiej napisać jej już nie potrafi. Dlatego nie umiał śpieszyć się z robotą.

Czekał więc aż się uspokoi. Ale kiedy ostygł nareszcie z pierwszych wrażeń autorskich i zyskał trwalszy nieco spokój, zaraz poczęło się w nim odzywać serce niezaspokojoną potrzebą kochania.

Któregoś dnia spróbował pisać. Zaraz przecież na początku wyszło mu z pod pióra takie zdanie:

»....jej złote włosy, odsunięte z jasnego czoła w artystycznym nieładzie...«

Urwał więc, bo spostrzegł, że obraz Anny zbyt uporczywie stoi mu na myśli i w pracy przeszkadza. Przecież Helenie, bohaterce »Hallali«, dał powierzchowność Henryety, która ma włosy ciemne, z brązowym na świetle odcieniem...

Rzucił pióro zniechęcony i zaczął przypominać sobie ostatnie z Anną widzenia się. Dlaczego ona nie chciała przyjąć od niego wtedy kilku słów cieplejszych, tak szczerze płynących mu z duszy? Dlaczego nie pozwalała mu zbliżyć się do siebie na taką odległość, z którejby mogła usłyszeć bicie jego serca dla siebie? Czyż nigdy żadna kobieta kochać go nie będzie? Czyż siła, którą poruszyć potrafi on tłumy, nie zdolną będzie utorować mu drogi do jednego kobiecego serca? Czyż nigdy nie będzie mu wolno złożyć u nóg drogiej kobiety swojego tryumfu, swojej sławy?

Po południu Janinka do niego przyszła.

Ucieszył się bardzo, że będzie miał z kim pomówić o Annie i zaraz kazał Janowi

przynieść »furę ciastek«.

— Cóż słyhać, smarkata?

Jest właśnie coś ważnego. Janinka czuje stanowcze i uroczyste powołanie do konserwatorium. Chce być nauczycielką, jak panna Anna,

i kto wie, może artystką. Przychodzi więc rozmówić się z bratem. Jako człowiek poważny i rozsądny przyzna on niezawodnie, iż wobec tego dalsze mordowanie się Janinki na pensyi nie miałyby żadnego sensu. Janinka już wytłómaczyła mamie wszystko, co potrzeba. Mama kazała jej Eustachemu powiedzieć. Eustachy jest »najukochańsze ze wszystkich dziecko«, literat, mądry — niech on postanowi...

— Ani myśl o tem — rzekł Eustachy, wysłuchawszy do końca cierpliwie wywodów siostrzyczki.

Nadaśała się.

— Jeżeli skończysz pensyę dobrze, z nagrodą, to pójdziesz do konserwatorium.

Inaczej ani myśl o tem.

— O! z nagrodą! Jeszcze czego ci się zachciało!

Łatwo mu było doprowadzić Janinkę do porządku. Marszczył się na nią, mówił głosem surowym, ale w duszy cieszył się, że wydobywa się ona z krępujących powijaków apatyi i że myśl jej pulsuje jakimkolwiek energiczniejszym pragnieniem.

Przyniesiono ciastka, ale Janinka nie spojrzęła na nie.

— Nie chcesz?

— Nie.

— Ani jednego?

— Ani jednego.

— Może tortowe?

— Nie.

— Ani z ponczem?

— Nie.

— Może z kremem?

— Nie, nie.

— Ninka! Zastanów się. Całe życie będziesz tego żałowała? Z kremem? Czy słyszysz? Z kremem? Jakie dobre! Jaki świeży krem...

Zaczęła się lekko rozmarszczać.

— Naprawdę taki świeży?

— Spróbuj.

— Nie chcę.

— Spróbuj tylko. Przecież ja cię nie proszę, żebyś jadła...

Wzięła nareszcie ciastko.

— Kiedy nie prosisz, to właśnie będę... Pocałował ją w czoło i zapanowała zgoda.

— Ninka, lubisz pannę Annę? — zapytał.

— Kocham.

— Ja nie wiem, co ty w niej widzisz. Taka brzydka dziewczyna...

— Ona? Brzydka?

— Ładna? Pewno? Co?

— Śliczna.

— Ja mówię poważnie, Ninka, a ty żartujesz.

— Mój drogi, jeżeli ty powiadasz, że ona jest nie ładna, to się wcale nie znasz

— zape-

wniła go z powagą i stanowczością. — Nikt nie powie, że ona jest brzydka, chyba ty jeden.

— Ma takie duże ręce...

— Nie gadałbyś! — zaczęła się już gniewać. — Już co, jak co, ale ręce właśnie to ma prześliczne. Chyba nigdy nie patrzyłeś na jej ręce. Bieluchne, delikatne, zgrabne.

Spojrzała na swoją rękę.

— Żeby to ja miała takie...

— Chciałabyś?

— Nie wiem, cobym za to dała.

— Żartujesz?

— Jak mamę kocham, tak mówię szczerze...

— Zaślepiona w niej jesteś...

— A jakże...

— Bo to już przyznać będziesz musiała, że w niej jednak spore kawałtko jędzy...

Roześmiała się Janinka, tak jej wydało to się zabawnem. Zaczęła przytem zgadywać instynktem, że brat się z nią drażni.

— Właśnie — rzekła.

— Może nie?

— Jędza okropna! Przecież nie przeczę. Powiadam ci, wytrzymać z nią trudno...

— Gniewa się przy lekcyi?

— Ciągle.

— I stawia cię do kąta?

— Stawia.

— I bije?

— Jeszcze jak!...

Zatrzymał siostrzyczkę aż do zmierzchu. Trochę ulgi mu uczyniła na razie rozmowa o Annie. Ale następnie tem mocniej wrywać mu się poczęła do niej dusza.

XXXIX.

Rozdrażniony i smutny poszedł wieczorem na ulicę Hożą.

— Może dziś przecie znajdę ją w łaskawszem usposobieniu — myślał.

Zdarzały się dni, w których była jak miód słodka. Na taki dzień trafić,

wypowiedzieć jej wszystko — i niech będzie co chce.

Kiedy był już przy bramie, przypomniał sobie, że to dziś środa. Koncert

Towarzystwa muzycznego — Anny nie będzie w domu. Wstąpił mimo to w bramę. Liczył

na szczęśliwy przypadek. »A nuż nie poszła dziś właśnie«.

Tak chciałby ją zastać... Co to szkodzi dowiedzieć się.

Zadzwoił.

— Niema panny Anny?

— Niema — oznajmiła Marysia.

— Czy poszła na koncert?

— Na koncert...

W tej chwili jedne z drzwi otworzyły się szybko i na progu ukazała się Henryeta, uprzejma i uśmiechnięta.

— Słyszę właśnie, że pan o Andzię zapytuje?

— Tak, pani...

— Dziś przecież środa... Nie zdarzyło się jej jeszcze, żeby opuściła jaki

koncert. Pan wie przecie, jaka to jest zapalona muzyczka. Mimo to może pan

będzie jednak łaskaw wstąpić na chwilkę...

Zbliżył się do niej pełen zdumienia; po ostatniej ich rozmowie zdawało mu się,

że już nie zamienią w życiu jednego słowa więcej.

Henryeta podała mu rękę i cofnęła się, wprowadzając go tym sposobem do swego pokoju.

— Nie usiądzie pan — powiedziała niemal ze słodyczą. — Nie miałam jeszcze dotychczas sposobności powinszowania panu powodzenia i sławy...

— Och! sławy! — zaprotestował przez poczucie taktu.

— Czytam oczywiście pańską powieść — ciągnęła dalej ożywiona, miła, grzeczniutka — i szalenie mi się podoba. Dziś właśnie była o niej mowa na naszej pensyi. Ma pan wielkiego wielbiciela w naszym profesorze języka polskiego, który mówi o »Hallali« poprostu z entuzjazmem. Przełożona również jest zachwycona. Zdziwili się wszyscy, jak powiedziałam, że ten sławny

autor »Hallali« jest moim dobrym, starym znajomym i przyjacielem. Musiałam im dać mnóstwo szczegółów o panu.

Eustachy jeszcze przyjść do siebie nie mógł. Mój dobry, stary znajomy i przyjaciel?... Co to jest? Nigdy jej taką dla siebie nie widział.

Ale ochłonął wreszcie ze zdumienia i pomyślał:

— Marna...

Popatrzał na jej twarz, zwróconą ku niemu z tak widoczną intencją podobania się, z iskrą niepewności i niepokoju w szarych oczach i chciał powiedzieć jej:

»Więc teraz jestem dobrym, starym znajomym i przyjacielem pani, teraz, kiedy mam stanowisko i powodzenie, i ludzie o mnie wiedzą, a kiedyś ubogi, nieznan i nieszczęśliwy leżał u nóg pani, tom był dla ciebie niczem...«

Ale uczucie pogardy ścisnęło mu usta.

Henryeta mówiła ze wzrastającym ożywieniem:

— Czytając »Hallali«, oczekiwałam z niecierpliwością ukazania się bohaterki powieści. Wchodzi ona dopiero w piątym odcinku. Mówił mi pan niegdyś, pamiętam, że dał jej pan moją powierzchowność...

— Poznała pani siebie?

— Oho! Chciałabym tak wyglądać, jak pan opisał Helenę.

— Chcesz komplementu — pomyślał — poczekaj.

I powiedział jej szyderczo i z cynizmem:

— Pióro moje zbyt nieudolne, aby mógł opisać panią tak piękną, jak pani jest.

I spojrzął jej wyzywająco w oczy. Ona się uśmiechnęła.

To go oburzyło. Spodziewał się prędzej policzka, niż uśmiechu.

— Uwierzyła! — pomyślał zdumiony.

Henryeta mówiła mu jeszcze o jego powieści, czego już nie słuchał. Stała mu się ona obojętną już od chwili, kiedy okazał się zdolnym do przeprowadzenia porównania pomiędzy nią a Anną.

Czy obojętność była skutkiem porównania, czy też porównanie stało się możliwym wskutek obojętności?... Wszystko jedno. Dość, że Henry eta w bardzo krótkim czasie stała mu się obcą, jak setki ludzi ledwo znajomych lub miliony wcale nieznanym.

W tej chwili przecież ta fala, która odnosiła od niej jego duszę, poszła dalej; ogarniać go zaczęło jakieś przykre i ciężkie uczucie wstrętu.

Myślał sobie:

— Więc to ono mizerniutkie stworzonko trzymało w swoich rękach moją niedolę i szczęście.

Zdawało mu się, iż to nie może być prawdą na żaden żywy sposób. Wiedział przecież, iż

tak to było, rzeczywiście i długo — lat kilka. Więc go ogromny wstyd zdjął za siebie.

Henryeta go właśnie na herbatę zapraszała, uśmiechnięta ciągle, nie rozumiejąca nic, co się z . nim dzieje, zadowolona w swojej próżności, przekonana, iż

wystarczyło jedno jej łaskawe słowo, ażeby go odzyskać.
Otworzyła też szeroko oczy z zadziwienia, kiedy Eustachy bez żadnej ceremonii odmówił, pożegnał ją i wyszedł.
— Ja — ją — kochałem? — usiłował sobie uprzytomnić. — Kochałem przecie, kochałem...

XL.

Nazajutrz znowu próbował pracować i znowu mu pióro z ręki wyleciało. Nie był w stanie zająć się żadnym przedmiotem dłużej i systematycznie — myśl jego wyskakiwała z łożyska, w którym usiłował bieg jej zamknąć; jakaś siła, stale czynna, ciągnęła myśl tę w jedną stronę; jego wyobraźnia nie umiała nic innego przedstawić mu, jak tylko jedne obrazy Anny.
— Czy ja nie zamało okazuję energii, inicjatywy? — powiedział sobie wreszcie. — Ja przecież nic nie działałam...
To nieokreślone uznanie potrzeby działania ulgę jakąś nieznaczną mu przyniosło, i sądząc, że mu na świecie łatwiej, niż w ciasnym jego pokoiku coś jeszcze dobrego na myśl przyjdzie, wyszedł na ulicę.
Szedł bez celu, ale przyzwyczajenie zaprowadziło go do redakcji "Bieguna". Wienkowicz wychodził stamtąd właśnie.

— Cóż słyhać? — rzucił Eustachemu w przelocie.
Eustachy skrzywił się zamiast odpowiedzi.
— No? — rzekł Wienkowicz.
Ale nie miał czasu pomówić z Eustachym; pilno mu gdzieś było.
— Zajdź-że pan do mnie kiedy — powiedział mu, uścisnął mocno rękę i wyszedł.
W ogólnym pokoju redakcji był jakiś nieznamy Eustachemu pan, który głośno i z werwą opowiadał treść pewnego artykułu zagranicznego o sprawach miejscowych. Gdy skończył, Dulski zapoznał go z Eustachym, widząc jednak, że nazwisko Eustachego nic mu nie powiedziało, dodał:
— Autor »Hallali«...
— »Hallali« — powtórzył ten, nie wiedząc wcale, o co idzie.
— Powieści, którą drukujemy obecnie.
— Nie wiedziałem. Zdawało mi się, że wyście Wienkowicza...
— Tamta już oddawna skończona... Eustachy nie raczył otworzyć ust.
— Mój panie, kto to był? — zapytał potem Dulskiego na stronie, z zadziwieniem bardzo podkreślonym.
— On pisuje w »Pochodni wieczornej«.
— Więc to literat?
— Literat.

— Co za bydle! — pomyślał sobie z oburzeniem Eustachy. — Literat i nie wie, co się w świecie literatury dzieje. A to przecież już dwa tygodnie jak drukuje się »Hallali«. Co za okaz szczególny. Wystawie go, doprawdy, warto... I literat jeszcze...
Zabrał się do przeglądania pism. Smutną i nudną wydawała mu się dziś redakcja; posiedział więc chwilę tylko i wyszedł. Na ulicy było jednak tak samo smutno i nudno, i jeszcze zimno w dodatku. Uwagę jego zatrzymali na chwilę dwaj chłopaki, którzy stali przed szybą sklepu kwociarskiego, zmarzli, ale z minami iskrzącymi się, z nosami zaczerwienionymi, z rękami w kieszeniach, bijący obcasami kamienny chodnik.
Eustachy przystanął. Co za lato tam za szybą! Ściana mocnej i żywej zieleni, a w niej wszystkich kolorów gwoździki, pęki róż żółtych z delikatnie odwiniętymi brzeżkami, paciorki białych kwiatów bzu.

Szczęśliwa myśl przyszła Eustachemu do głowy.
— Stanowczo ja za mało okazuję energii i inicjatywy!
Wstąpił do sklepu, Avybrał dużo pięknych kwiatów, kazał złożyć je w bukiet i posłać Annie z biletem wizytowym.
Przez chwile był bardzo kontent.

Ale niezadługo wątpliwości go opadły. Czy bo nie krzykliwe jest jego postępowanie? Nigdy Annie kwiatów nie posyłał — nawet w dniu jej imienin, a tu raptem teraz ni stąd, ni zowąd...

— Smarkacz jestem! — oddał sobie sprawiedliwość.

To mu jednak nie ulżyło. Przez chwilę chciał wrócić do sklepu i odwołać obstalunek, ale wstyd mu było. Powoli uspokoił się jednak.

— Posłałem kwiaty nauczycielce mojej siostry... Są one podziękowaniem, spłaceniem długu, wdzięcznością.

Żałował tylko, iż sadził się na bukiet tak wspaniały — skromniejszy w każdym razie zrobiłby lepsze wrażenie.

— Na drugi raz będę mądrzejszy!... Chciało mu się dziś zaraz pójść do Anny, a czuł, że nie wypada, poszedł więc nazajutrz wieczorem, mając trochę nadziei, iż kwiaty powiedziały jej jednak co dobrego o nim.

Zanim otworzył usta, aby dodać do kwiatów ułożony komentarz, usprawiedliwiający je, Anna podziękowała mu za nie w kilku wyrazach tak suchych, chłodnych, zawierających ledwie konieczną dozę grzeczności, że Eustachy do żywego dotknięty, nie był w stanie znaleźć słowa odpowiedzi. Czuł przytem, że gdyby i znalazł

co, nie będzie w stanie przemówić, głos go zdradzi, drzeć będzie.

Gniewem się tylko zapalił.

— Ostatni raz tu jestem — postanowił. I milczał.

Anna milczała również, obojętnie i spokojnie, jak ten, który nic niema do powiedzenia.

— A gdyby tak natychmiast pożegnać się i wyjść, słowa jednego nie przemówiwszy?

— przyszło Eustachemu do głowy.

Już gotów był to uczynić, kiedy weszła Henryeta do pokoju.

Była dla Eustachego uprzejma, jak nigdy, i pewna siebie, jak zawsze.

— Nie umiem panu powiedzieć — rzekła witając go uściskiem ręki poufnym i mocnym

— jak zazdrościłam Andzi wczoraj tych kwiatów. Są istotnie prześliczne i o tej porze...

Eustachy bąknął:

— Nasi ogrodnicy, proszę pani... potrafią już...

— Szczególniej gwoździki, mój ulubiony kwiat, takie piękne... Chciałam jej, doprawdy, ukraść choć jeden... Coby pan powiedział na to, panie Eustachy?

Choć wzburzony był i czem innym zajęty, zrozumiał, że Henryeta kokietuje go.

Rozdrażniało go to jeszcze więcej.

— Kwiaty należą do panny Anny — rzekł.

Henryeta podeszła do niej i objęła ją ramieniem.

— A ty, cobyś powiedziała na to, Andziu? Anna natychmiast uwolniła się od jej uścisku, podeszła do wazonu i zapytała:

— Gwoździków chcesz?

I zaczęła wyjmować z bukietu gwoździki jeden po drugim; wyjęła tak dużo, że ledwie dwa, czy trzy pozostawiła w zupełnie oszpeconym w ten sposób bukiecie i podała je Henryecie:

— Proszę cię...

Eustachy powtórnie, z większą siłą postanowił:

— Noga moja nie przestąpi już nigdy przez próg tego domu...

I wyszedł bardzo gniewny.

Ale zrozumiał prędko, że gniew tylko chwilowo głuszy w nim ból, który wkrótce całą duszę jego zabierze, jak swoją własność — i jasność słońca mu zasłoni, i młodość całą mu zmarnuje, i życie jego całe, to życie, które mogłoby być tak pięknym, złamie jak burza drzewo urodzajne.

Taka więc jest jego dola!...

XLI.

Wieńkowicz dnia tego nie zupełnie był tym człowiekiem, jakiego Eustachy znał i wielbił; jego słowo nie miało tej co zwykle sprężystości, twarz nie była tak pogodną, otwartą i jasną, oczy nie posiadały całkowitego wyrazu dumnej trochę i spokojnej pewności siebie. Słuchał Eustachego uważnie, ale bez zwykłego sobie uśmiechu i nie szukał, wypowiadając swoje zdanie, sposobów efektownych a niespodziewanych, które czyniły go towarzyszem tak zajmującym i pożądanym. Eustachy, choć całą duszą we własnej sprawie utopiony, odczuł więcej, niż zauważył zmianę w swoim mentorze; nie przyszło mu jednak na myśl, że i on może posiadać swoje troski, ponieważ mocno był przekonany, iż nad głową człowieka, mającego tyle życiowej mądrości, może świecić tylko jasne niebo, żadną chmurką nie poplamione.

Wysłuchawszy do końca opowiadania Eustachego, Wieńkowicz głową pokiwał:

— Oj, młody też pan jesteś, młody... Eustachy przerwał mu:

— Ja sam to wiem, iż jestem smarkacz. Ale niech mi pan powie, czym ja sobie bardzo wszystko popsuł?

— Nic pan sobie nie popsuleś. Ale jaki to pan jesteś wrażliwy, zmienny, jakie to pan masz łatwe zniechęcenie, jaką tanią rozpacz...

— Niech pan wymyśla, ale niech pan radzi — rzekł Eustachy.

Wieńkowicz przez chwilę zdawał namyślać się.

— Powiedz że mi pan, czy naprawdę pan ją aby kochasz?

— Och, panie...

— Może to jest kaprys, fantazja, proste pożądanie...

— Dyabła tam, panie...

— Niedawno kochałeś pan przecież tamtą?...

— Dziś patrzeć na nią nie jestem w stanie...

— A jeżeli i z tą tak będzie?

— Nigdy, nigdy! Zupełnie inaczej, proszę pana, kocha się kobietę dobrą, a inaczej kobietę marną...

Wieńkowicz jakby się ocknął na chwilę dawnym człowiekiem.

— Ot! prawdę pan powiedziałeś. Zapamiętaj pan to sobie: to się panu przyda jako powieściopisarzowi. Masz pan słusność, wielką słusność. Po złej kobiecie nawet pamięć nie zostaje. No, ale powiedz że mi pan, czy pan chcesz ożenić się z Anną?

— Żeby ona mnie chciała, panie!

— A jeżeli ona pana zechce?...

— Będę u nóg jej leżał!

Wieńkowicz znowu w myślach się zagłębił. Eustachy zaś czekał z bijącym sercem jakby los jego od tego człowieka właśnie zależał.

Te wstępne zapytania śledcze, wydawały mu się, iż coś dobrego wróżą. Przytem sama obecność Wieńkowicza działała na niego umacniająco.

— Ja nie wiem, czy to będzie dobrze — rzekł wreszcie Wieńkowicz — jak ja panu powiem, co myślę. Może toby lepiej było dla pana samego, dla pańskiej przyszłości, dla pańskiego szczęścia, gdybyś pan jeszcze pomarynował się w

rozpaczy chociaż przez miesiąc.

— Panie, miej pan litość nademną. Wieńkowicz uśmiechnął się dziś po raz pierwszy.

— Więc słuchajże pan, co panu powiem — rzekł z dawną sprężystością słowa. — Moje przekonanie, mocne i stanowcze jest...

Pauzę zrobił dla efektu.

— Że ona pana kocha.

To było tak niespodziewane i tak dalekie od myśli Eustachego, że, po raz pierwszy, nie wierzył słowom mentora, pomimo całej ich emfazy.

— Gdyby to było prawdą — powiedział, głowę smutno zwiesiwszy.

— Niezawodnie to jest prawdą — ciągnął Wieńkowicz. — I ja to już oddawna wiedziałem. Całe jej postępowanie wskazuje na to. Te lekcje -muzyki, jakie daje siostrze pańskiej, ta sympatya, jaką okazuje pańskiej matce, nawet, jak pan mówiłeś, ojcu. Skądże to się wzięło? Przecież to jest prawdziwie ni stąd, ni zowąd? A to zainteresowanie się pańską powieścią? Zaprenumerowanie "Bieguna?" Nie powiesz pan przecież, że ona jest taka literatka!... Mówisz pan, że ona jest z panem raz miła, raz nieznośna; że nie wiesz pan nigdy, czego się z nią trzymać... Jedna wskazówka więcej. Przypomnij pan sobie jednak dobrze — ona wydaje mi się zbyt rozsądną dziewczyną na to, aby kierować się fantazjami — przypomnij pan sobie dobrze, czy te jej kaprysy nie odpowiadały zwiększonym pańskim czułościom dla Henryety?... Może pokazywały się one wtenczas, gdy pan z nią o tamtej chciał rozmawiać? Ja jestem niemal pewien, że tak mniej więcej było...

Serce podskoczyło w Eustachym z radości. Zaczął sobie przypominać.

— Może... może... — rzekł.

— Patrz-że pan — ciągnął Wieńkowicz głosem profesora, który czyni jakąś naukową demonstrację — jak jasno i zrozumiale rysuje się ostatnia choćby wczorajsza scena z tymi nieszczęśliwymi kwiatami. Anna nie wie nic, że w pańskim sercu taka zaszła zmiana. Ona ciągle myśli, że pan Henryetę kochasz. Wprawdzie, powiedziałeś pan Henryecie, jak jest, powiedziałeś jej pan wyraźnie i węzłowato. Ale, panie, jeżeli kiedy napiszesz pan powieść ze swojego życia, nie wsadź pan w nią sceny, w której Henryeta, dowiedziawszy się od pana nieprzyjemnej nowiny (taka nowina jest zawsze dla kobiety nieprzyjemna) leci zaraz do Anny: »Wiesz, Andziu, Eustachy już się we mnie nie kocha!« Naprzód ona w to wcale nie uwierzyła, a następnie, gdyby i uwierzyła naprawdę, jeszczeby nikomu o tem nie powiedziała. Pan Annie także o tem nie powiedziałeś. Więc ona nic nie wie. Jakże więc ona ma sobie wytłómaczyć pańskie umizgi? »Pociechy u mnie szuka. Ona go odpycha, więc on do mnie lezie«. A że to jest dziewczyna dzielna — więc nie chce tej resztki podejrzanego uczucia. To jedno. Ale ja myślę, że ona bodaj jeszcze gorzej o panu mniema. Pamiętasz pan, jakeśmy tu we dwóch układali

grę? Ja wtedy nie wiedziałem, co prawda, tyle o Annie, ile wiem dzisiaj — inaczej nigdybym panu tej myśli nie podsuwał. Otóż, niestety, pańskie najszczerze intencje i najuczciwsze zamiary przybrały pozór gry właśnie. Wiesz pan, co ona sobie pomyślała, otrzymawszy ten wspaniały bukiet kwiatów? »On chce drażnić mną Henryetę...« A jeżeli samej odrazu ta myśl nie przyszła, to, bądź pan pewien, Henryeta odrazu skierowała ją na tę drogę. Już ona znalazła sposób powiedzenia jej: »Te kwiaty przyszły pod twoim adresem, ale jeżeli myślisz, że to wyłącznie dla ciebie...« Tylko w ten sposób, panie, wytłómaczyć można sobie to jej wrywanie tych gwóźdźków z bukietu. Taki postępek, bez tej przyczyny, zupełnieby się nie zgadzał z jej charakterem.

Zatrzymał się na chwilę Wieńkowicz i dodał innym tonem:

— Ona mi się podoba, ta dziewczyna, ona mi się bardzo podoba!
Eustachy patrzył na Wieńkowicza, jak słonecznik w słońce.
— Więc teraz, co ja mam robić? — zapytał.
Wieńkowicz nagle chmurny się zrobił, jak gdyby pod wpływem przykrego przypomnienia. Milczał przez chwilę, potem wstał i rzekł:

— Ja na pańskim miejscu przeżegnałbym się na odwagę i poszedł upaść jej do nóg...
Eustachy zaczął go ścisnąć:
— Ja tak też zrobię.
I wyszedłszy, myślał sobie o Wieńkowiczu:
— Oto jest prawdziwy — magister vitae...

XLII.

— Jeżeli to prawda?... Jeżeli to prawda?... Aniołowie Pańscy!!! Czy to jednak jest możliwe, aby człowiek tak jasnowidzący, jak Wieńkowicz pomylił się?... Wieńkowicz?... Nie! Taki się pomylić nie może. A skoro się nie myli... A jednak jest coś w duszy Eustachego, co protestuje przeciwko tej wierze, i mocno protestuje, i zawzięcie.
— Co to jest?...

Eustachy przeczuwa i zgaduje, co to jest. To człowiek z natury swojej ułomny, żyjący nie pełnem tylko życiem na źle urządzonej świecie, nie jest w stanie uwierzyć w możliwość całkowitego szczęścia wymarzonego rajy.
Przeżegnać się na odwagę i do nóg Anny upaść...
Łatwo to postanowić, ale jak wykonać?...

Eustachy postanawia upaść jej do nóg listownie. Na to bez przeżegnania nawet się zdobędzie. Siada i pisze:

Szanowna Pani!
Nie. Cóż znowu? Jaki styl!
Pani!
I to nie dobrze. Źle mu to słowo łączy się z pierwszym zdaniem, którego zresztą jeszcze wcale nie ma.
Lepiejby już może było:
Panno Anno!
O! słodkie imię. Jak dźwięcznie drży ono na ustach. Panno Anno! Panno Anno! i jak posłusznem jest ono pieścoci, Anuś, Anula, Anulka... Nie, czy istotnie przyjść może chwila taka w życiu jego, że będzie mógł szepnąć tej jasnej dziewczynie, temu ukochaniu serdecznemu, w uszko samo: Anuś... i Anula... Nie, to możliwem nie jest. Jednak Wieńkowicz...
Panno Anno! Nie jest dobrze. Za poufale i zarazem nie dość miękko.
Droga pani!
To najlepsze. Droga! o droga! najdroższa pani moja...
Tylko, że te słowa mówią na początku to, co na końcu powinno być powiedziane. A może wcale tytułu nie dawać? To byłoby najlepiej.
Zresztą, list naprzód napiszemy, potem go we właściwym tonie zatytułujemy.
Wstaje Eustachy od stołu i zaczyna chodzić po pokoju, szukając pierwszego zdania.

Chodzi, chodzi, nareszcie rzuca się na pióro. Przynajmniej pierwsze słowo

znalazł.

Pisze więc.

Oddawna...

Następnie zastanawia się, powoli kładzie pióro, porwane przed chwilą z takim impetem, wstaje i znowu chodzi po pokoju. Rozmaite zdania przychodzą mu do głowy, prezentują, mu się całkiem gotowe, jedno po drugim, jedno od drugiego piękniejsze — wszystko zdrajcy! Żadne nie wypowiada tego, czem dusza Eustachego jest pełna. Żadnemu zaufać nie można, żadnemu tak wielkiej sprawy nie można powierzyć.

Bo tu idzie o to, aby takie słowa znaleźć, które Annę przekonają, przekupią, wzruszą, zabiorą, którym uwierzy i odda się...

Skąd tu takich słów wziąć?

Boże, Boże! Jak to trudno czasem napisać kilkanaście wierszy — nawet kiedy się jest znakomitym literatem.

XLIII.

Poszedł Eustachy na ulicę Gołębią.

Matka przy oknie pończochę robi; mała dłońmi uszy sobie zasłoniła i w pół głośno lekcyi się uczy; ojciec chodzi po pokojach, z rękoma w tyle, z głową spuszczoną, ponury. Kilka razy wzrok jego skrzyżował się z spojrzeniem syna, wzrok smutny, jakby wyrzutem nabrzmiały. Eustachy go nie odczytywał — on nie miał ojca.

Usiadł przy matce.

— Dawno panna Anna tu była? — pyta półszepem.

— Nie, niedawno. Przypominać sobie zaczyna.

— W poniedziałek bodaj.

— I ciągle mama ją lubi? Matka druty zatrzymuje w biegu.

— Wiesz, mój synu — powiada niemal ze wzruszeniem — tak ją lubię, że zdaje mi się, iż rodzonej córki nie lubię więcej.

— Ja nie jestem zazdrosna o pannę Annę, mamusiu — mówi Janinka, która jedno uszko odsłoniła w porę.

— No, no! Ty się ucz, nie słuchaj — mówi surowo mama.

Janinka się uśmiecha.

— Żebyś ty to taką była! — dodaje matka.

— Jak pójdę do konserwatorium, to będę taką, a jak nie, to nie.

Matka skarży się przed Eustachym:

— Zachciało ci się jej tego konserwatorium, powiadam ci. Nic, tylko konserwatorium. Rano, konserwatorium, w południe konserwatorium wieczorem konserwatorium.

— Co panna Anna na to?

— To samo, co ty. Mówi, żeby naprzód pensję skończyła...

— Ja nie chcę! — mruczy Janinka, nie przestając się uczyć.

Matka do Anny wraca:

— To złoto, nie dziewczyna. Jemu o tem mówić!

Ojciec zatrzymuje się przed synem.

— Jakże ci się powodzi? — pyta łagodnym głosem.

— Dobrze — mówi Eustachy chłodno i krótko.

— Dobrze? — zapytuje ojciec.

— Dobrze.

Ojciec chwilkę stoi, potem wzdycha, idzie

powoli do kuchni, bierze na siebie palto i wychodzi.

— Co mu się stało? — pyta Eustachy. Matka ręce podnosi.

— Anibyś go poznał teraz. Chodzi z kąta w kąt, wzdycha, smutny jest. Skarży się, że sam, że nikt o niego na stare lata nie dba, że wszystkim jest obojętny, że żona go nie kocha, że dzieci go nie szanują...

Zdziwił się Eustachy.

— Ma, na co pracował — mówi surowo.

— To od czasu, jakeśmy przestali żądać od niego pieniędzy. Teraz sam się pyta: Może na to chcesz, może na tamto. Ja mówię: Dziękuję ci, mam pieniądze, mogę sobie sama kupić.

Janinka wtrąca się:

— Dziś mnie ojciec pytał: Może ci potrzeba na kajety?

— O! zmienił się, powiadam ci, zmienił się. Codzień do kościoła chodzi. A jak przyjdzie, to narzeka. Mówi: Jaka żona, jakie dzieci! Ja nic już nie mówię, nie chcę zadrażniać! zresztą i na co toby się przydało? Co się stało, to się już nie odstanie.

Machnęła ręką.

— Więc żal mu? — zapytał Eustachy.

— Zjadł krokodyl dzieci swoje i nad niemi płacze — powiedziała.

I wróciła do pończochy.

Eustachy zaczął się namyślać, w jakiby sposób oddalić Janinkę.

— Idziesz dziś na lekcję muzyki?

— Nie.

— To słuchaj, mała. Masz pół rubla, idź, przynieś sobie ciastek albo cukierków. Warunek tylko — abyś kupiła je w takiej cukierni, która najmniej jest stąd o kwadrans drogi.

— Masz interes do mnie? — zapytała matka.

— Bardzo ważny.

Ciekawość żywa zaświeciła w jej oczach. Janinka ubrała się posłuszna i wyszła.

Matka pończochę odłożyła.

— Moja mamó — rzekł Eustachy poprostu — ja chcę się żenić.

— Co ty mówisz? — wykrzyknęła zadziwiona.

— I mama musi mnie oświadczyć.

— Co? Ja?

— Tak, mamó.

Wielką radość sprawiło jej to, że syn do niej się zwrócił przy tak ważnym kroku.

— Z kimże, powiedz?

— Z panną Anną.

Spojrzała na niego, jakby chcąc, aby to powtórzył; ponieważ milczał, zapytała go:

— Z panną Anną?

— Tak, mamó.

Wyglądała trochę, jak człowiek zawiedziony.

— Namysłileś się już dobrze? — rzekła po chwili, widocznie nie śmiąc tak odrazu opozycyi stawiać.

Widocznem było jednak, iż ją projekt syna nie uszczęśliwił.

Eustachy odczuł to.

— Widzi mama — powiedział — jak ją mama kocha, będzie ją mama miała za córkę.

Wzięła w milczeniu druty i zaczęła znowu robić pończochę.

— Moje dziecko... — powiedziała i urwała.

— Oto, o co mi idzie — rzekł Eustachy ze stanowczością — kocham pannę Annę, ale jej nie śmiem tego wyznać, choć mam powody przypuszczać, że nie jestem jej obojętny. Proszę więc mamy o zapytanie jej, czy zgodziłaby się zostać moją żoną, Wobec stanowczego jego tonu odpowiedziała:

— Dobrze.

Milczeli przez chwilę. Wreszcie Eustachy rzekł:

— Widzę, że nie bardzo mamie podoba się przyszła synowa...
— Moje dziecko — odpowiedziała — mnie się zdaje, iż niepotrzebnie się śpieszysz...
— Po co odkładać szczęście. Byle tylko ona mnie zechciała.
Matka ramionami wzruszyła.
— Co też ty gadasz...

Eustachy matkę znał i rozumiał. Anna wydawała jej się zbyt małą partyą dla jej syna. Kochała ją ona, kochała bardzo — ale na synowę...
Nie chciał mu się łamać jej możliwego uporu; wiedział, że nie przekona on matki nigdy do tego stopnia, aby się na dobre zrozumieli. Postanowił więc użyć wybiegu, choć ten był mu niemiły.
— Moja mamó — rzekł, nadając swoim słowom szczególne znaczenie — już ja wiem, co robię.
Zaraz się ożywiła.
— No? — zapytała.
Eustachy zachował minę tajemniczą.
— Chyba dałem dowody, iż nie jestem głupi. Więc powtarzam mamie: Wiem, co robię.
Nachyliła się do niego i zapytała z ciekawością, którą ubrała w pieszczotę:
— Powiedzże mi jednak, mój Stasiuleczku, przecież musiałeś się dobrze wywiedzieć, więc ile ma?
— Tego, co wiem, jest już sporo. A jest jeszcze, o czym nie wiem — odpowiedział.
I nie chciał już więcej o tem mówić; naprzód, bo to wystarczyło już, co powiedział, a następnie, bo choć go ta komedia trochę bawiła, była mu jednak wstrętną w gruncie.
Matka już miała inną minę.

— Dlaczego nie, mój synu — mówiła — jeżeli chcesz koniecznie, jeżeli się dobrze zastanowiłeś — i wiesz napewno — toć nie dzieciak jesteś. Ja się nie wymawiam. Matka przecież jestem, mam prawo i obowiązek o twoim losie myśleć...
Eustachy już tylko tem się zajmował, aby jak najprędzej do interwencji matczynej doprowadzić. Było to wszystko, co wymyślił, ale kontent był z tego. Matka zrobi to, czego on nie śmie, a jej pośrednictwo da rzeczy właściwą wagę i uroczystość. Ułożyli więc, że jutro Janinka na lekcji poprosi Anny, aby przyszła do nich. Powoli pogodziła się matka z projektem Eustachego, wzruszyła się nawet i poczęła głośno wycierać nos w chustkę.
Objęła go za głowę:
— Mój synu, moje drogie dziecko, najukochańsze ze wszystkich, żebyś tylko był szczęśliwy!...
Eustachy sam się wzruszył:
— To od niej zależy, mamó.
Uściskała go znowu serdecznie i czule, kiedy się żegnał; przy drzwiach tylko zrobiła jeszcze jedną próbę wyciągnięcia od niego więcej informacji. Ale on powiedział poważnie:
— Moja mamó, o wszystkim przecież do-

wie się mama w swoim czasie. Już niech mi mama zaufa...
— No, dobrze, mój drogi synu. I rozplakała się.
Eustachy ucałował jej rękę.
— Do jutra, mamó.
— Do jutra, drogie moje dziecko.

XLIV.

Jak one rozmawiają długo! Bez końca, bez końca! O czym one mogą tyle mówić? Wszakże tak krótka jest sprawa. Czy dobrze uczynił powierzywszy ją matce? Czy nie zepsuje ona raczej wszystkiego, mimo całej jej chęci przysłużenia mu się jak najlepiej?

...Doprawdy, że chyba dwie godziny już rozmawiają... Żeby choć słyhać było cokolwiek z drugiego pokoju. Ale nic. Szepty jeno, szmer jednostajny, z którego nie sposób kilka choćby wyrazów wyłowić. Nie zawsze nawet może rozróżnić, kto mówi w danej chwili: matka czy ona?

Słyszał odgłos pocałunków. Zdawało się mu, iż wszystko już skończyło się i że za chwilę niebo mu zostanie otworzonym.

Drzeć począł, jak liść osikowy.

Zdawało mu się, że w tej chwili oto wejdzie matka, aby wziąć go za rękę i zaprowadzić przed Annę...

Tymczasem zamiast tego nowe szepty.

..... Więc jad wątpliwości zaczął mu się w myśl sączyć.

Ona odmówiła...

Co za męka czekać tak na rozstrzygnięcie swego losu, co za męka okrutna!

.....I to trwa dwie godziny.

Ależ nie. Wszakże tu oto zegar wisi. To trwa ledwie dwanaście minut.

Dwanaście minut? Nie sposób! Ileż to przeżyć można w dwanaście minut.

Byle prędzej był koniec — jakikolwiek, byle był koniec.

Naraz słyszy głos matki wołający:

— Stasiu!

Oto koniec. Jaki? Jaki?

Eustachy wchodzi do dużego pokoju, nogi go same niosą, nie wie jak. Chce od jednego rzutu oka odgadnąć wszystko. Spojrzał na Annę, spojrział na matkę — i niczego się nie dowiedział.

Matka wstaje i wychodzi, aby samych zostawić.

Eustachy oczy swoje wlepił we wzrok matki. Matka jakby mu odpowiedziała: »sam się dowiesz« — i wyszła.

Stoi więc na środku pokoju w jakimś strasznym zawieszaniu, bez sił i bez władz, bez myśli i bez czucia, jakby dusza z niego uciekła.

Długo milczą oboje.

Eustachy ani ma siłę, ani intencję powiedzenia cośkolwiek.

Anna widocznie panuje nad sobą, spostrzega jego nieprzytomność i mówi mu:

— Niechże pan siada.

Eustachy idzie ku oknu i siada na krzeselku przy kanapce, na której siedzi panna Anna.

Anna czuje, że to ona winna ująć ster rozmowy i zresztą przygotowaną jest na to.

— Panie Eustachy — zaczyna głosem trochę drżącym, nad którym jednak szybko zapanowuje — matka pana powiedziała mi przed chwilą rzecz ważną, na którą wcale nie byłam przygotowana.

Eustachy od chwili kiedy Anna się do niego zwróciła, szybko wraca do przytomności.

— Czy istotnie było to dla pani niespodzianką? — pyta nierównym i łamiącym się głosem.

— Najkompletniejszą — odpowiada panna Anna.

Z tonu jej głosu, ze sposobu, w jaki mówi do niego, odgaduje Eustachy, że odpowiedź nie będzie zupełnie straszna.

To zdwaja jego odwagę.

— Ja tyle razy starałem się dać poznać... — mówi.

— Mnie się zdawało, że pana serce — (wy-

mówiła z pewnym króciutkiem wahaniem słowo: serce) bije dla kogo innego.

»Złota, dzielna!« — pomyślał Eustachy, uszczęśliwiony, że mu zaraz daje sposobność do wytłómaczenia się.

— To przeszłość, pani! — zawołał z zapałem. Przeszłość, na której położyłem już krzyż. Przeszłość tak umarła, że moje wspomnienie nigdy w nią nie będzie zaglądało.

— I czy ta, którą pan kochałeś, wie o tem?...

— Wie, proszę pani. Powiedziałem jej to szczerze i otwarcie.

Anna umilkła i przez dłuższą chwilę zdawała się namyślać.

Rzekła wreszcie z powagą:

— Żąda pan mojej odpowiedzi. Powinien pan rozumieć, że ja nie jestem w stanie dać jej panu, panie Eustachy. Choćbym ja uwierzyła w to, co mi pana matka powiedziała, czy pan może sam sobie wierzyć, sam siebie być pewnym? Tak niedawno kochał pan inną i ta miłość jest dla pana dziś przeszłością, której nawet pamięci nie chce pan chować. A czy wtedy, gdy pan ją w sercu nosił, nie był pan pewien, że to jest miłość prawdziwa i jedyna? Jesteśmy przyjaciółmi, panie Eustachy, zostanmy nimi, zostanmy rok, dwa. Niech pan sam się przekona, czy i tym razem pan się nie omylił.

— Rozumiem panią — zawołał gorąco — i uwielbiam. Więc daję mi pani nadzieję? Uśmiechnęła się leciutko.

— Nie, panie Eustachy, ja nie to chciałam powiedzieć...

— Ale mi nie mówisz pani: nie! — podchwycił.

— Postąpmy, jak ludzie roztropni, panie Eustachy... Tak jak ludzie roztropni.

Małżeństwo to rzecz ważna, na całe życie, panie Eustachy...

I przekładała mu spokojnie, rozsądnie, po przyjacielsku; mówiła, jak dziewczyna poważna, która choć tylko z książek zna życie, ale zna je z książek dobrych, która wie, że miłość bywa często uniesieniem, a choć ono nieraz jest piękne, budować na niem nie można...

Nie można, panie Eustachy.

I czuć w jej słowach, że nie ma ona zbyt wiele zaufania do ciebie, panie

Eustachy, że nie zupełnie ci wierzy, chociażby i chciała...

Chociażby i chciała, panie Eustachy.

A Eustachy patrzy w nią, jak w słońce i myśli:

"Ależ ma słuszność, złota!... Ależ ma słuszność, promienna!..."

Jak on ją będzie kochał! To, co jest teraz — to nic jeszcze!

— Więc dobrze, panno Anno — powiada i ośmiela się tak, że z krzeselka na kanapę się

przenosi — dobrze. Niech będzie rok próby. Ile pani każesz, ile mi naznaczysz.

Będziemy przyjaciółmi, serdecznymi i szczerymi przyjaciółmi, i będziemy widywali się często — wolno mi będzie panno Anno? I pani się przekona, pani zobaczy...

Anna poważnie odpowiada:

— Dobrze, ułożymy to sobie. Przecież sama przyjaźń, to taka piękna rzecz, panie Eustachy...

— Jaka piękna! — woła Eustachy.

I pod wpływem nagłego natchnienia chwyta mocno jej duże piękne ręce, ściska je, nachyla się ku niej i gorąco, a zuchwale szepcze jej w same oczy, jakby przez nie do duszy chciał trafić:

— Moja jesteś, słyszysz! Biorę cię!

Przez jedną chwilę odbija się we wzroku Anny straszne oburzenie, potem zaraz zamienia się ono na wyraz rozpacz, następnie Anna drzeć zaczyna i powoli, z

rezygnacją zapuszcza powieki na oczy.

XLV.

Leci Eustachy do Wieńkowicza wielką swoją radością z nim się podzielić, a przede wszystkim podziękować mu, podziękować. Wieńkowicza to dzieło przecie — szczęście Eustachego; on to ten mąż silny, ten mentor pełen mądrości, ten magister życia oczy mu raz po raz otwierał, na dobrą drogę popychał, on go wśród ciemności oryentował i przeszkody przed nim obalał.

Co to za człowiek nadzwyczajny? Czy Eustachy, choćby przy pomocy całego talentu, jaki posiada, dorówna mu kiedykolwiek.

Ale na drugi plan uwielbienie. Leży teraz przed Eustachym obowiązek do spełnienia, obowiązek wdzięczności, z którego pilno mu się wypłacić, który wypełni gorąco, całym sercem.

Gdzież byłby on teraz, żeby nie ten mistrz?

U stóp Henr... Brrr...

I może nawet nigdy na myśl (głupiemu), by nie przyszło, że jest kochany przez dziewczynę najpiękniejszą, najgodniejszą miłości.

Dzwoni Eustachy gorączkowo niemal do mieszkania Wieńkowicza.

Nic...

Niema go w domu.

Schodzi ze schodów i na podwórzu podnosi oczy na okna Wieńkowicza, Dziwne...

Światło się pali w mieszkaniu.

— Hm... Bądźmy dyskretni — powiada sobie Eustachy.

I myśli, że taki człowiek, jak Wieńkowicz, to tylko ma trochę trudu z wybieraniem pomiędzy najpiękniejszymi kobietami w mieście...

Wstępuje do »Pompei«, aby trochę muzyki posłuchać i pomarzyć marzeniem, które się rzeczywistością dla niego, wybranego, stało.

— Dobry wieczór! — słyszy nad uchem. To Leoński, kolega szkolny, Panienska,

— Można się przysiąść?

— Ależ proszę!

W ruchach, w sposobie mówienia Leońskiego odczytuje Eustachy wielki dla siebie szacunek.

To budzi w nim chęć okazania się dobrym kolegą i prostym człowiekiem. Jest więc miłym, przystępnym, poufałym; mówi mu »wy«.

— Czytam wasze »Hallali« — powiada Leoński.

Eustachy nie unika wcale rozmowy o swoim dziele, nie myśli wcale ukryć zadowolenia, jakie mu powodzenie sprawiło, powiada koledze

szczerze, iż chce teraz napisać coś prawdziwie kapitalnego... tylko, że nie zaraz zabierze się do pisania...

To wytwarza atmosferę przyjazną i nawet przyjacielską.

Eustachy wreszcie rozciepla się coraz bardziej i zaczyna uczuć potrzebę powiedzenia koledze o szczęściu, które mu poprostu rozsada piersi.

— Darujcie mi — mówi w końcu — jeżeli dziś wydaję się wam może roztargniony. Ale bo, widzicie, dziś to wielki dzień w moim życiu...

Szukał przez chwilę formy, w której o szczęściu swoim mu powie; najbanalniejsza wydała mu się najpiękniejszą.

— Dziś moje zaręczyny...

Kolega z wyrazem radości uderzył pięścią w stół.

— Żenicie się?

— Żenię.

— A! jak Boga Kocham!

I dodał po chwili cały jaśniejący:

— Bo widzicie i ja się żenię.

— Patrzenie, no...

Uścisnęli sobie przez stół mocno dłonie.

— I powiem wam, że wy nawet znacie moją narzeczoną — powiada Leoński.

— Ciekawym?

— Widzieliście ją raz jeden.

— Gadajcież prędzej.

— Panna Aurelia.

— Panna Aurelia? Kuzynka Wieńkowicza!...

— Ech! jaka tam kuzynka! Niby tam coś...

— Wychowanica.

— Trochę niby... Eustachy się zdumiał.

— I żenicie się?

— Właśnie to się w tym tygodniu wyklarowało nareszcie. A kłopot miałem, powiadam wam...

— No? Nie chciała z początku?

— Nie, ona chciała odrazu, oddawna. Tylko on nie chciał...

Wieńkowicz...

— Właśnie.

— Dlaczego?

Leoński ramionami ruszył.

— Zdaje mi się — rzekł po chwili — że jemu samemu chciało się z nią ożenić...

Eustachy zaprotestował:

— Eee...

Leoński zrobił minę człowieka dyskretnego, ale zupełnie pewnego, co mówi.

— No, no, ja już wiem...

I widząc wrażenie, jakie to zrobiło na Eustachym, zląkł się, czy nie za wiele powiedział, albo czy jakiej niewłaściwości nie popełnił.

Zwrócił więc rozmowę bardzo niezręcznie na muzykę.

Eustachy odpowiadał mu monosylabami, wypił piwo, bąknął, że się spieszy i pożegnał go.

— Czy to być może? — myślał sobie.

I jeszcze raz pobiegł dzwonić do mieszkania Wieńkowicza. Tym razem nie dał się pozbyć.

— Przepraszam pana — rzekł, kiedy mu Wieńkowicz drzwi w końcu otworzył — żem taki hałas podniósł...

— Proszę, proszę! — odpowiedział Wieńkowicz.

I zaprowadził go do pokoju.

— Co słyszeć? — zapytał, siadając w fotelu.

— Dobrze.

— Dobrze?

— Doskonale!

— To chwała Bogu!

Eustachy patrzył zdumiony na niego. To nie był ten sam człowiek chyba. Twarz jego nic nie wyrażała, w oczach jakieś światełka przygasłe, coś martwego, automatycznego w ruchach; słucha bez uwagi, mówi bez dźwięku, patrzy bez inteligencji.

Eustachy rzucił okiem na biurko.

Nie było na nim fotografii tej twarzyczki okrągłej, w loczkach.

— Nie pora teraz mówić mu o szczęściu — myśli Eustachy.

Wieńkowicz mówi mu:

— Ja zagranicę się wybieram. Oddawna mam ten projekt. Czekałem aż się skończy moja powieść...

— Na długo?

— Me wiem, nie wiem...

Eustachy przeprosza go za najście domu, ściska mu rękę i odchodzi.

Więc to prawda! Więc to prawda! Mąż silny!... Magister vitae!... Więc cała siła i rozum takiego człowieka zatrzymać się oto muszą przed »Nie chcę!« jednej dziewczyny! Takiej panny Aurelii... która woli tego »Panienkę«...

— Smarkacz jestem — myślał Eustachy. Czuł się tak w tej chwili, jakby dał mu kto porządną i zdrową lekcję — kijem. Powoli spuszczał się ze schodów.

— Ot, życie... — myślał — nie, ja jeszcze jestem niedojrzały do napisania rzeczy kapitalnej, arcydzieła. Trzeba naprzód pożyć lat kilka...

KONIEC.